

**Buck Pearl Sydenstricker**

**Matka**

"Twarz matki nie była piękna, świadczyła jednak o jej namiętnej naturze i dobroci. Można by powiedzieć: oto kobieta porywcza, która jest jednak serdeczną żoną...". Taka była matka, zanim miejskie rozrywki wywabiły jej męża z domu. Zanim została sama, zmuszona radzić sobie z trudami codziennego życia, ze ślepotą córki i faktem, że syn dostał się w sidła nowej, niebezpiecznej ideologii...

Wspaniała powieść psychologiczna, która jak w krzywym zwierciadle ukazuje odwieczny dramat samotnej matki.

przełożyła Anna Bartkowicz

Tytuł oryginału: *The Mother* Projekt okładki: *Lucyna*

*Talejko-Kwiatkowska* Redakcja: *Jolanta Urban* Redakcja techniczna:

*Zbigniew Katafiasz* Korekta -. *Maria Nowakowska*

© 1934 by Pearl S. Buck Copyright © renewed 1962 by Janice C. Walsh,  
Richard S. Walsh, John S. Walsh, Henriette C. Walsh, Mrs. Chieko  
Singer, Edgar S. Walsh, Mrs. Jean C. Lippincott and Carol Buck. All  
rights reserved © for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2008 ©  
for the Polish translation by Anna Bartkowicz

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA Warszawa 2008

## I

W kuchni niewielkiej, krytej strzechą wiejskiej chaty, na niskim bambusowym stołku, koło glinianego pieca, siedziała matka i zręcznymi ruchami dokładała siana do ognia płonącego pod żeliwnym kociołkiem. Chrust zajął się dopiero co, więc matka to poruszała jakąś gałązką, to dorzucała garść liści, to znowu dokładała siana zebranego jesienią na zboczach pagórków. W kącie kuchni, tuż przy piecu, przycupnęła stara, pomarszczona kobieta opatulona w grubo watowany kaftan z jaskrawoczerownej bawełny, którego końce wystawały spod drugiego - niebieskiego i połatanego. Stara kobieta była prawie ślepa, jej oczy, zaatakowane przez wrzody, miały niemal zupełnie sklezione powieki. Mimo to przez wąskie szparki widziała jeszcze całkiem sporo. Obserwowała teraz, jak matka silnymi, zręcznymi dłońmi podsycy strzelające w górę płomienie.

- Ostrożnie z tym dodawaniem do ognia - odezwała się, a słowa z cichym sykiem wydostały się spoza jej zapadniętych, bezzębnych dziąseł. - Nasze zapasy bardzo zmalały. A wiosna dopiero przyszła i dużo czasu upłynie, zanim trawa wyrośnie na tyle wysoka, żeby dało się ją ścinać.

Tymczasem ja jestem taka słaba... Wątpię, bym jeszcze kiedyś mogła nazbierać chrustu. Tak, tak. Prawdziwa ze mnie starucha. Nie przydaję się na nic... Już lepiej, żeby umarła.

Te ostatnie słowa staruszka wypowiadała codziennie wiele razy. I za każdym razem czekała, aż usłyszy, jak żona jej syna odpowiada:

- Nie mówcie tak, stara matko! Bo co my byśmy bez was zrobili. Gdyby was nie było, kto pilnowałby drzwi w czasie, gdy pracujemy w polu? I kto by baczył, żeby dzieci nie powpadały do stawu?

I tym razem synowa powtórzyła to samo, a stara, słysząc jej słowa, aż zanosła się kaszlem i, wciąż kaszląc, przyznała:

- To prawda, robię to wszystko. W takich okropnych czasach drzwi trzeba pilnować, bo teraz wszędzie pełno rabusiów i złodziei. Gdyby się tu pojawili, dopiero bym wrzask podniosła, moja córko! Za moich czasów inaczej bywało. Człowiek mógł na noc zostawić motykę, a o świcie zastawał ją tam, gdzie była wcześniej. Latem przywiązywało się zwierzęta do skobla, a one na drugi dzień dalej stały pod drzwiami. A znowu...

Jednak młoda matka, choć śmiała się i wołała: „Naprawdę, stara matko”, nie słyszała słów starej kobiety, która mówiła tak przez cały dzień, bezustannie. Nie, nie. Gdy starczy głos snuł swoje opowieści, ona zastanawiała się, czy opalu wystarczy do zakończenia wiosennych robót polowych, to znaczy do chwili, gdy będzie już wreszcie miała czas, by wziąć nóż i pójść naciąć drobnych gałązek oraz nazbierać chrustu. Co prawda tuż za drzwiami kuchni, na samym skraju klepiska, w składziku, znajdowały się jeszcze dwie sterty słomy ryżowej, porządnie osłonięte daszkiem z ubitej gliny dla ochrony przed wilgocią, jaką niosły ze sobą deszcze i śniegi. Jednak słoma ryżowa była zbyt cenna, by nią palić. Słomą ryżową palili w piecu tylko ludzie w mieście. Natomiast młoda matka albo jej mąż w wielkich pękach na drażu nosili ją do miasta i tam wymieniali na srebro. Tak, słomą ryżową palono tylko w miejskich domach.

Matka dokładała siana do pieca stopniowo, całkiem pochłonięta tym zajęciem. Blask ognia padał na jej szeroką, znamionującą siłę twarz o pełnych wargach, ciemnobrązową i zarumienioną od wiatru i słońca. Jej czarne oczy błyszczały w świetle padającym z paleniska, oczy bardzo czyste, osadzone pod mocnymi, prostymi brwiami. Twarz matki nie była piękna, świadczyła jednak o jej namiętnej naturze

i dobroci. Można by powiedzieć: oto kobieta porywcza, która jest mimo to serdeczną żoną i matką i która z wielką dobrocią traktuje żyjącą w jej domu staruszkę.

Stara kobieta gadała nadal. Ponieważ jej syn wraz z żoną pracowali zwykle w polu, ona sama przez cały boży dzień przebywała jedynie w towarzystwie małych dzieci. Wyglądało więc na to, że teraz ma bardzo wiele do powiedzenia tej swojej synowej, którą naprawdę kochała. Jej starczy, zachrypnięty głos nie cichł, choć stara kobieta przerywała od czasu do czasu, by zakaszleć, drażnił ją bowiem dym wydobywający się z pieca.

- Zawsze mówię, że głodnemu mężczyźnie, zwłaszcza takiemu, co to, jak mój syn, jest młody i krzepki, trzeba do klusek wbić jajko...

Staruszka podniosła głos, by przekrzyczeć dwoje marudzących dzieci, które uwiesiły się u ramion pochylonej nad ogniem matki.

Jednak matka nie przerywała pracy. Nadal dokładała do ognia, i czyniła to z twarzą spokojną i odprężoną. Tak, była spokojna jak ktoś, kto wcale nie słyszy marudzenia chłopca i dziewczynki, ani bezustannego gadania staruszki. Myślała też o tym, że dziś wieczorem jest trochę spóźniona.

Wiosną w polu było mnóstwo roboty, dzisiaj więc została tam dłużej, żeby zasadzić ostatni rząd fasoli. Dni były teraz ciepłe, a noce łagodne, wilgotne i pełne rosy - należało je zatem jak najlepiej wykorzystać.

Dlatego kobieta zasadziła ten ostatni rząd i przysypała go ziemią.

Zrobiła to po to, by już tej nocy w suchych ziarnach fasoli zaczęło budzić się życie. Teraz na myśl o tym poczuła się bardzo zadowolona. Tak, tak, myślała, całe pole, cała ta wilgotna i ciepła ziemia zacznie tej nocy potajemnie wypełniać się życiem. Mężczyzna został jeszcze w polu.

Wciąż tam pracował. Mocno ubijał ziemię stopami. Kobieta jednak pospieszyła do domu, bo ponad polami przypląnęły głosy wołających ją dzieci.

Zgłodniałe powitały ją, stojąc u drzwi kuchennych. I jedno, i drugie płakało. Chłopiec łkał cicho, ale bez przerwy, z całkiem suchymi oczyma, a dziewczynka zanosila się od płaczu, gryząc piastkę. Tymczasem stara

kobieta siedziała nieruchomo, słuchając ich z pogodnym spokojem. Przedtem przez pewien czas usiłowała je uciszać. Teraz jednak nie zdawało się to już na nic. Dzieci wciąż były niepocieszone, zostawiła je zatem samym sobie. Jednak matka, zjawiwszy się, nie odezwała się ani słowem. Podeszła tylko pospiesznie do pieca, schylając się po drodze po opał. I to już wystarczyło. Chłopiec przestał zawodzić i pobiegł za nią co sił w pięcioletnich nóżkach, a w jego ślady pospieszyła, drepcząc, niespełna trzyletnia dziewczynka.

Teraz w kociołku bulgotała już gotująca się strawa, a spod drewnianej pokrywki wydobywały się kłęby pachnącej pary. Stara kobieta wciągnęła powietrze głęboko w nozdrza i poruszyła lekko bezzębnymi szczękami. Płomienie pod kociołkiem strzelały wysoko. Zderzywszy się z jego dnem i nie znajdując ujścia, rozplaszczają się, po czym wystrzelały w górę ponownie, wytwarzając gęsty dym, który zasnuwał izbę. Matka cofnęła się, odciągając dziewczynkę. Ale gryzący dym dotarł już do oczu dziecka, które zamrugało i zaczęło je z krzykiem trzeć brudnymi piąstkami. Matka wstała wtedy swoim zwykłym szybkim i zdecydowanym ruchem, podniosła dziecko i posadziła je przed kuchennymi drzwiami.

- Zostań tu, malutka! - powiedziała. - Dym szkodzi ci na oczy, a ty i tak wiecznie pakujesz w niego głowę.

Stara kobieta słuchała, jak zwykle gdy mówiła jej synowa, i jak zwykle znalazła doskonały temat do podjęcia własnej gadki.

- Tak - odezwała się. - Zawsze mówiłam, że gdybym przez tyle lat nie musiała podsycać ognia, nie byłabym teraz na wpół ślepa. To dym mi tak zaszкодził i przez dym teraz nie wi...

Ale matka nie słyszała głosu staruszki. Docierał do niej tylko krzyk małej dziewczynki, siedzącej teraz płasko na ziemi, trącej oczy i próbującej je otworzyć. To prawda, że oczy dziecka były wciąż czerwone i zaropiałe. Mimo to, gdy ktoś pytał matkę: „Czy twoje dziecko ma chore oczy?“, ona odpowiadała: „To wszystko przez to, że ona zawsze pakuje głowę w dym, kiedy podsycam ogień“.



Jednak płacz dziewczynki nie poruszał jej teraz tak bardzo jak kiedyś. Teraz bowiem miała zbyt dużo roboty, a poza tym dzieci, jedno po drugim, pojawiały się na świecie tak szybko. Kiedy urodził się jej pierwszy syn, nie mogła w ogóle znieść jego płaczu. Wydawało jej się wtedy, że gdy dziecko płacze, matka powinna je jakoś uspokoić, pocieszyć. Dlatego na dźwięk płaczu małego odkładała każdą robotę i dawała mu piersi. A wtedy mężczyzna zaczynał się złościć, nie chciał bowiem, by ona tak często przerywała pracę.

- Co?! - wrzeszczał na nią. - Co ty sobie myślisz?! Chcesz zwalić całą robotę na mnie?! Dopiero zaczęłaś rodzić. Czy mam się spodziewać, że przez kolejne dwadzieścia lat będziesz wciąż zajęta karmieniem? I że ja będę musiał to znosić? Nie jesteś żoną bogacza, która nie musi nic robić, która tylko rodzi i karmi, a w polu pracują za nią wynajęte sługi! Odplacała mu wtedy zawsze pięknym za nadobne, bo oboje byli młodzi, porywczy i namiętni.

- A co? - wołała. - Może nie należy mi się coś za moje trudy? Czy to ty miesiącami chodzisz do roboty z brzuchem? I czy to ty odczuwasz bóle podczas porodu? Nie. Kiedy wracasz z pola do domu, to sobie odpoczywasz. A na mnie po powrocie czeka gotowanie i opieka nad dzieckiem, i pocieszanie starej kobiety, i mnóstwo innych zajęć... Klócili się za każdym razem zajadle, jednak żadne z nich nie wychodziło z takiej utarczki ani zwycięsko, ani pokonane - tak dobrze dobrana była z nich para. Wkrótce zresztą kłótnie ustały, bo piersi matki wyschły. Poczęcie dziecka przychodziło jej bowiem tak łatwo jak zdrowemu i dobrze utrzymanemu zwierzęciu. Teraz też nie miała już mleka, choć jedno dziecko straciła przedwcześnie zeszłego lata, kiedy potknęła się o pług... No cóż, dzieci muszą jakoś sobie radzić. Jeżeli płaczą, to trudno. Ona przecież nie może biec na każde zawołanie, by dać im piersi. Więc kiedy zgłodnieją, muszą zaczekać. Tak mówiła. Jednak jej serce okazywało się bardziej miękkie niż słowa. I dlatego spieszyła się bardzo, słysząc wołanie dzieci.

W kociołku gotowało się już dosyć długo, a dym zdążył się pomieszać z zapachem ryżu. Matka zatem poszukała miski i napełniła ją po brzegi. Następnie postawiła miskę na stole w większej izbie, gdzie wszyscy razem mieszkali, a potem zaprowadziła tam staruszkę, nie słuchając prawie jej trajkotania.

- ... jeżeli pomieszać groch z ryżem... to smakuje tak wybornie...

Stara kobieta urwała, po czym, usadowiwszy się przy stole, chwyciła miskę obiema zimnymi, wychudzonymi dłońmi. Nagły przyływ apetytu sprawił, że wstrząsnął nią dreszcz, a z kącików ust popłynęła ślina.

- Gdzie łyżka? - zaczęła marudzić. - Nie mogę jej znaleźć. Matka wsunęła trzonek porcelanowej łyżki w szukającą po omacku

starczą dłoń i zaraz wyszła po dwie małe blaszane miseczki. Napełniła je potem, wyszukała dwie małe pary bambusowych pałeczek i pierwszą miseczkę podała dziewczynce, bo ta wciąż płakała, trąc oczy brudnymi piąstkami. Dziecko siedziało na zakurzonym klepisku z twarzą mokrą od łez i pomazaną błotem. Matka podniosła je i postawiła na nóżki, po czym przetarła mu buzię szorstką, ciemną dłońią. I w końcu rąbkim płatanego dziecięcego kaftana otarła dziewczynce łzy. Zrobiła to delikatnie, bo dziecko miało oczy zaczerwienione i obolałe, a powieki wywiniete na zewnątrz i zaognione. Kiedy mała odwróciła głowę, krzywiąc się i pojękując, matce zrobiło się jej żal, zmartwiła się cierpieniem dziewczynki. A potem postawiła blaszaną miseczkę na topornym stole z niemalowanego drewna, który stał przed domem, i przemówiła do córki głośno, dobrotliwie:

- Chodź... jedz!

Dziewczynka podeszła chwiejnym krokiem i uczepliła się stołu.

Przymknęła zaczerwienione oczy, chroniąc źrenice przed rażącym światłem przedwieczornego słońca, i wyciągnęła rączki po miseczkę.

- Uważaj... to gorące! - zawołała matka.

Dziewczynka cofnęła ręce i zaczęła dmuchać najedzenie, chcąc je ostudzić. Matka tymczasem nie spuszczała jej z oka, wciąż zatroskana.

- Kiedy on następnym razem będzie wybierał się do miasta, żeby sprzedać ryżową słomę - mruknęła do siebie - poproszę go, żeby zaszedł do sklepu z medykamentami i kupił taki balsam, co pomaga na chore oczy.

Teraz zaczął marudzić chłopiec. Był niezadowolony, że matka nie dała mu jeszcze jeść. Matka pospieszyła więc po kolejną miseczkę i postawiła ją na stole. Wtedy na jakiś czas zapadła cisza.

A matka w tej ciszy poczuła się bardzo zmęczona. Tak, była wręcz zmordowana, nawet jeść nie miała teraz ochoty. Westchnęła więc tylko, przyniosła sobie mały bambusowy stołek, postawiła go przy drzwiach i usiadła, aby odpocząć. Odetchnęła głęboko, obiema dłońmi przygładziła swoje szorstkie, zbrązowiałe od słońca włosy i rozejrzała się wokoło.

Niskie pagórki otaczające dolinę, w której leżały ich pola, robiły się powoli coraz ciemniejsze, aż w końcu ich sylwetki zarysowały się czernią na tle bladożółtego nieba. A tymczasem w samym sercu doliny, w małej wiosce, rozpalano ogień przed wieczornym posiłkiem. Dym z kominów wznosił się ospale, bo było pogodnie i bezwietrznie. Kobieta, patrząc na niego, poczuła zadowolenie. Z sześciu czy siedmiu chat, z których składa się nasza wioska, pomyślała nagle, nie ma choćby jednej, w której matka opiekuje się dziećmi lepiej ode mnie. Niektóre z tych kobiet były bogatsze od niej. Żona oberżysty, na przykład, miała bez wątpienia srebra w nadmiarze, bo nosiła dwa srebrne pierścionki, a także srebrne kolczyki, o jakich matka marzyła od lat dziewczęcych i jakich nigdy nie dostała.

Zresztą gdyby nawet miała własne srebro, to wolałaby przeznaczyć je dla dzieci. Tymczasem oberżysta, tak przynajmniej plotkowano, karmił swoje maluchy resztkami pozostawionymi w miskach przez gości.

Natomiast ona, matka, swojej dwójce dawała jedynie dobry ryż, który wraz z mężem uprawiali na polach. I gdyby tylko dziewczynka miała zdrowe oczy, wszystko z jej dziećmiakami byłoby w porządku, bo -

krzepkie i wyrosnięte - cieszyły się swoją energią i siłą. Chłopiec, choć miał dopiero pięć lat, wyglądał na siedmio-, a nawet ośmiolatka. Tak, jej dzieci

były naprawdę zdrowe. A tamto trzecie, gdyby nie urodziło się przedwcześnie i nie zmarło, wydawszy zaledwie jedno tchnienie, byłoby teraz ślicznym chłopcem, który już wkrótce próbowałby chodzić.

Matka znowu westchnęła. No cóż, następne dziecko jest w drodze, pojawi się za miesiąc lub dwa. I o tym teraz trzeba myśleć. Więc myślała - z zadowoleniem. Tak, tak, była zadowolona i szczęśliwa, czując je w brzuchu. Cieszyła się bardzo, nosząc w sobie nowe życie...

W tej chwili z chaty stojącej po drugiej stronie wiejskiej uliczki ktoś wyszedł. Pomimo dymu zasnuwającego drzwi matka poznała żonę kuzyna swego męża.

- A, więc i ty gotujesz! - zawołała. - Ja właśnie skończyłam!

- Tak... tak... - rozległ się głos tej drugiej, radosny i beztroski. - Mówiłam właśnie, że mogę przysiąc, że już skończyłaś. Ty zawsze wszystko robisz tak szybko.

Na co matka odkrzyknęła skromnie:

- Nie, nie, to nie ja... to tylko moje dzieci robią się tak szybko głodne!

- Naprawdę bardzo sprytna, szybka z ciebie kobieta! - zawołała znów żona kuzyna i wróciła do swojej chaty, niosąc siano, po które wychodziła. Matka siedziała jeszcze przez jakiś czas pośród zmierzchu z półuśmiechem na twarzy. Tak, tak, mogła być dumna, dumna z własnej siły, dumna z dzieci, dumna ze swojego mężczyzny. Odpoczywała. Jednak jej spokój nie trwał długo, bo nagle stanął przed nią chłopiec z miseczką w dłoniach.

- Mamo, jeszcze! - zawołał.

Wstała więc, by napełnić miseczkę ponownie, a kiedy wróciła przed drzwi chaty, słońce spoczywało już w zagłębieniu między wzgórzami na skraju pola, na którym wcześniej przez cały dzień pracowała. Zatrzymało się tam, schwyte na chwilę między pagórkami, i zawisło bez ruchu, ogromne i całe ze złota, a potem zsunęło się powoli za wzniesienie i znikło. A ona w tej samej chwili zobaczyła, że z mroku, który natychmiast zapadł, wychodzi jej mąż. Wyłania się z tego mroku i idzie ścieżką, niosąc motykę na ramieniu i zapinając kaftan. Mąż

czynna szedł lekko i sprężyste niby miody kot. I nagle zaczął śpiewać. Uwielbiał śpiewać, głos miał wysoki, drżący i czysty. I znał tyle pieśni, że nieraz, przy święcie, ludzie prosili, żeby zaśpiewał w herbaciarni dla wszystkich, by ich zabawić. Zbliżywszy się do chaty, zniżył głos, a gdy w końcu znalazł się na progu, śpiewał bardzo cicho, lecz wciąż tym wysokim, drżącym, przyprawiającym o dreszcz głosem, wyrzucając z siebie szybkie, rytmiczne słowa. Oparł motykę o ścianę, a stara kobieta, słysząc go, ocknęła się z drzemki, która spłynęła na nią po jedzeniu, i zaczęła trajkotać tak, jakby nigdy nie przerywała:

- Już mówiłam, że mój syn przepada za takim pysznym, słodkim grochem z ryżem...

Mężczyzna roześmiał się swobodnie i beztrosko, po czym wszedł do chaty, wołając swoim miłym głosem:

- Tak, stara matko, uwielbiam go!

Przed drzwiami chaty, opróżniwszy swoją miseczkę, siedziała dziewczynka, bierna i syta. Teraz, gdy słońce już zaszło, otworzyła trochę szerzej oczy i rozglądała się swobodniej, bez marudzenia. Matka weszła ponownie do kuchni, skąd wyniosła parującą miskę ryżu dla mężczyzny. Była to duża miska z grubej biało-niebieskiej porcelany, napełniona po wrąbek. Do ryżu matka wbiła jajko od jednej z tych nielicznych kur, które hodowali, i teraz świeże białko zaczynało się ścinać. Mężczyzna po ciężkiej pracy musi zjeść trochę mięsa albo jajko. Mimo częstych kłótni, matka cieszyła się, wiedząc, że dobrze nakarmiła męża. A zresztą wszystkie te nasze utarczki, myślała sobie w duchu, to tylko słowa. Dlatego, choć czasami jej język dawał mu się we znaki, uwielbiała patrzeć, jak mężczyzna je.

- Dodałam waszemu synowi do ryżu świeżo zniesione jajko! - zawołała teraz do starej kobiety. - Dałam mu też kapusty.

A staruszka, słysząc jej słowa, natychmiast zaczęła trajkotać:

- O tak... świeżo zniesione jajko! Zawsze powiadam, że jajko prosto od kury... to coś najlepszego dla młodego mężczyzny. Takie jajko odbudowuje siły...

Jednak nikt nie słuchał tego, co mówiła. Mężczyzna jadł żwawo, bo głód zdążył mu potężnie dokuczyć i wkrótce zawołał na matkę, żeby ponownie napełniła mu miskę. Uderzał przy tym miską o stół, bo chciał, żeby się pospieszyła. Gdy miska znowu była pełna, matka przyniosła wreszcie także strawę dla siebie. Nie usiadła jednak obok męża. Nie, przycupnęła na swoim niskim stołku w składziku i jadła ryż z wyraźną przyjemnością, bo uwielbiała jeść - tak jak uwielbia jedzenie zdrowe zwierzę. Od czasu do czasu wstawiała, żeby nabrać sobie trochę kapusty z miski mężczyzny, a jedząc, wpatrywała się w ciemnoczerwone niebo między dwoma pagórkami. Po kilku chwilach nadeszły dzieci i opierając się o matkę, otworzyły buzie. Matka, widząc, że chcą jeść, podawała im pałeczkami niewielkie kęsy. A one, wcale już niegłodne, ale przeciwnie, całkiem syte, uznały, że to, co dostały z miski matki, jest znacznie lepsze niż całe jedzenie, które jadły z własnych miseczek. Nawet płowy pies podwórzowy zbliżył się z ufnością. Przedtem siedział pod stołem, jednak otrzymawszy kopniaka od mężczyzny, wyniósł się chyłkiem, chwytając sprytnie kawałki ryżu, które parę razy rzuciła mu matka.

Trzy razy matka wstawiała i napełniała miskę mężczyzny, a on, najadłszy się do syta, odchrząknął wreszcie z zadowoleniem. Wtedy matka naląła mu do miski wrzątku, który wypił, siorbiąc głośno, podniósłszy się uprzednio ze swego miejsca i stanąwszy w drzwiach chaty. Kiedy już kończył pić, matka wzięła od niego miskę. Mężczyzna nie drgnął nawet, stał tylko przez jakiś czas bez ruchu, spoglądając na pograżony w nocy wiejski krajobraz. Wszedł już młody wiosenny księżyc i zawisł na niebie, mały i kryształowo blady wśród gwiazd. Mężczyzna, wpatrując się w niego, zaczął cicho śpiewać jakąś pieśń, której melodia wiła się w łagodnych splotach.

Z innych chat w wiosce zaczęli także wychodzić mężczyźni. Niektórzy coś wołali, umawiali się do gospody, gdzie zaczęto już grę, a inni stali na progach, ziewając i gapiąc się przed siebie. Młody mąż przestał nagle śpiewać i spojrzał na drugą stronę uliczki. Stała tam

tylko jedna chata, a jej gospodarz wciąż pracował, gdy inni już odpoczywali. Tym pracowitym mężczyzną był jego kuzyn. Co z niego za człowiek!, pomyślał. Potrafi tyrać nawet w nocy. Kuzyn siedział przy drzwiach swojej chaty i z pochyloną głową wyplatał kosz z wierzbowych witek. No cóż, niektórzy ludzie są tacy, pomyślał młody mąż. Jednak gdy idzie o mnie, to... trochę gry nie zaszkodzi... Odwrócił się też zaraz, by coś powiedzieć do kobiety. Napotkał jednak jej wrogie, domyślne spojrzenie, a widząc je, zaklął w duchu. Harował przecież przez cały boży dzień, czyż więc teraz nie może sobie trochę pograć? Czy jego życie ma być tylko jedną wieczną harówką? Spuścił oczy, nie mogąc znieść tego uporczywego, gniewnego spojrzenia żony. A potem otrząsnął się, rozdrażniony niczym dziecko, i powiedział:

- Po dniu takiej ciężkiej harówki... No cóż, pójdę spać! Jestem dziś zbyt zmordowany, by zajmować się jeszcze grą.

To powiedziawszy, wszedł do chaty, rzucił się na łóżko, przeciągnął się i ziewnął. A wtedy jego stara matka, nic nie widząc w mrocznej izbie, gdzie nie było lampy, zawołała:

- Czy mój syn położył się spać?

- Tak, matko - odrzekł mężczyzna gniewnie. - Bo cóż innego można robić w takiej dziurze... tylko tyrać i spać... tyrać i spać...

- Tak, tak, tyrać i spać - potwierdziła pogodnie stara kobieta, nie zauważając jego gniewnego tonu.

A potem podniosła się i po omacku znalazła drogę do własnego kąta, gdzie za niebieską bawełnianą zasłonką znajdowało się jej ubogie posłanie. Ale mężczyzna już spał.

Matka, słysząc jego oddech, wstała z miejsca, a za jej przykładem, czepiając się jej kaftana, poszły dzieci. Matka opłukała miski resztką zimnej wody z dzbana, który stał przy kuchennych drzwiach, a potem ustawiła naczynia we wnęcie w glinianej ścianie. Następnie wyszła za dom, a tam, w słabym świetle księżyca, spuściła drewniane wiadro do płytkiej studni, zanurzyła je, wyciągnęła i napełniła dzban wodą. A potem wyszła z chaty raz jeszcze - tym razem, żeby odsznurować bawołu

przywiązanego do wierzby rosnącej koło domu. Dała mu jedzenie - słomę i trochę czarnego grochu. Gdy zwierzę się już najadło, wprowadziła je do chaty i przywiązała do nogi łóżka, na którym spał mężczyzna. Kury, siedzące już pod łóżkiem, zagdakały sennie, kiedy weszła, a potem ucichły.

Matka wyszła z chaty po raz kolejny i zawołała z cicha. A wtedy z ciemności ozwało się chrumkanie świni. Nakarmiła ją w południe, więc nie musiała karmić teraz. Poszturchując i popychając, zapędziła swinię do chaty. Tylko płowego psa zostawiła w spokoju, bo jego obowiązkiem było leżeć na progu.

Gdy wykonywała wszystkie te czynności, dzieci przez cały czas chodziły krok w krok za nią. Staraly się przy tym nadażyć za matką, bo ona krzątała się energicznie, nie czekając na nie. Kiedy wreszcie przystanąła, uchwyciły ją z płaczem za spodnie. Matka schyliła się i wzięła młodsze w ramiona, a potem, prowadząc starsze za rękę, weszła z dziećmi do chaty i zamknęła porządnie drzwi. Po czym zbliżyła się do łóżka i ułożyła dzieci w nogach mężczyzny. Po cichutku zdjęła z nich wierzchnie ubranie, rozebrała się też sama, a następnie, wsunawszy się między mężczyznę i jego dzieci, naciągnęła na wszystkich kołdrę. Leżała teraz wyciągnięta i nieruchoma, a jej silne ciało odczuwało zdrowe zmęczenie. Leżąc tak w ciemności, miała serce wypełnione czułością. Tak, ta kobieta za dnia niecierpliwa i porywcza, dająca się nieraz ponieść nagłej złości, w nocy była cała czułością. Namiętną czułością w stosunku do mężczyzny, gdy ten zwracał się ku niej w łóżku; czułością wobec dzieci, bezbronnych i pogrążonych we śnie; czułością dla starej kobiety, zanoszącej się nieraz kaszlem i wstającej, by wziąć sobie trochę wody; czułością nawet dla zwierząt, gdy te się poruszały, strasząc się nawzajem i gdy wołała do nich: „Uspokójcie się... śpijcie... do dnia jeszcze daleko...”. Ta czułość sprawiała, że nawet one, na dźwięk jej pocziwego, chropawego głosu, uspokajały się i zasypiały.

Gdy tak leżała w ciemności, chłopiec wtulił się w nią, szukając po omacku jej piersi. Ogarnięta ciepłą sennością, pozwoliła mu ssać. Jej



pierś, choć sucha, była miękka i dostarczała dziecku zapamiętanego w przeszłości ukojenia. Matka wiedziała, że wkrótce obie jej piersi wypełnią się ponownie.

Za chłopcem leżała dziewczynka z zaciśniętymi, wiecznie swędzącymi oczyma, które zasypiając, tarła piąstkami. A gdy już zasnęła, tarła je bezwiednie dalej.

Wkrótce wszyscy już spali. Tak, spali wszyscy - snem ciężkim i głębokim. A gdy pośród nocy zaszczekał nagle pies, spali dalej. Nic budził się nikt, prócz matki, bo dla nich były to zwykłe dźwięki nocy. Matka jednak budziła się, by nasłuchiwać i uważać, co się dzieje. Kiedy okazywało się, że to nic, że nie musi wcale wstawać, zapadała ponownie w sen.

## II

Czy w życiu matki istniał taki dzień, który różnił się od innych?

Matka budziła się i wstawała przed świtem. Zostawiwszy rodzinę pogrążoną we śnie, otwierała drzwi chaty, wypuszczała kury i świnie, a potem wyprowadzała na podwórze bawołu. Następnie sprzątała po zwierzętach. Wszystko, co pozostawiły na klepisku w nocy, zmiatała na kupę piętzącą się w kącie podwórza. Gdy reszta rodziny spała jeszcze w najlepsze, szła do kuchni, rozpalała ogień i grzała wodę dla mężczyzny i dla starej kobiety, by mogli się napić, kiedy już wstaną. Część gorącej wody wlewała do drewnianej balii, żeby trochę ostygła, zamierzała bowiem przemyć nią oczy dziewczynki.

Bo każdego ranka powieki dziecka były mocno sklezione. Dziewczynka nic nie widziała, dopóki matka ich nie przemyła. Ten stan z początku przerażał i małą, i matkę. Ale babka dziewczynki zapewniała je piskliwym głosem:

- Ja miałam tak samo, kiedy byłam mała. I wcale od tego nie umarłam! Teraz, całkiem już do tego przyzwyczajone, wiedziały, że dzieci tak czasem mają i nie umierają od tego. Matce rzadko udawało się nalać wody, zanim zbliżyły się dzieci. Bo one podchodziły cichutko, przy czym chłopiec prowadził za rękę dziewczynkę. Nie budziły mężczyzny, bojąc się jego gniewu, ponieważ on - chociaż potrafił być wesołym człowiekiem, kiedy tego chciał - potrafił też się rozzłościć i szturchnąć je z wściekłością. Działo się tak zwłaszcza wtedy, kiedy się go obudziło za wcześnie. Teraz dzieci stały już przy drzwiach.

Chłopiec mrugał zaspany, a mała dziewczuszka czekała cierpliwie z zaklejonymi oczyma.

Widząc to, matka wyprostowała się pospiesznie, z kołka wbitego w ścianę wzięła szary ręcznik, zanurzyła jego koniec w bali i powolutku przemyła nim oczy córki. Dziecko jęknęło bezgłośnie, wstrzymując oddech, a matka, jak co rano, pomyślała: No cóż, muszę dopilnować, żeby mała dostała ten balsam, który pomaga na oczy. Tak, tak, przy najbliższej okazji nie mogę o tym zapomnieć. Gdy sprzedamy słomę ryżową, powiem mu, żeby poszedł do sklepu z medykamentami... Wiem, że taki sklep mieści się w małej uliczce na prawo od miejskiej bramy... W tej samej chwili do drzwi podszedł mężczyzna. Szedł, ciągnąc za sobą ubranie, ziewając głośno i drapiąc się w głowę.

- Kiedy zawieszysz słomę ryżową na sprzedaż - odezwała się do niego matka - zajdź koniecznie do sklepu z medykamentami przy Wodnej Bramie i poproś o balsam albo jakieś inne lekarstwo, które pomaga na chore oczy.

- Nie mamy za wiele pieniędzy - odrzekł niecierpliwie wciąż zaspany mężczyzna. - Dlaczego mielibyśmy je wydawać na jej chore oczy, skoro ona i tak od tego nie umrze? Ja też w dzieciństwie miałem zaropiałe oczy, a ojciec nie wydał na mnie ani grosza, chociaż byłem jego jedynym synem, który przeżył.

Matka zrozumiała, że zagadnęła go o to w niewłaściwym momencie. Nie powiedziała zatem nic więcej. Poszła do kuchni i naląła wody do czarki męża. Ponieważ była na niego trochę zła, postanowiła mu jej nie podawać. Postawi ją na stole i mężczyzna będzie musiał sam po nią sięgnąć. Tak właśnie uczyniła, nie mówiąc przy tym ani słowa. Odsunęła od siebie teraz myśl o całej sprawie. No bo przecież wiele dzieci chorowało na oczy, lecz potem, gdy podrosły, choroba ustępowała. Tak właśnie zdarzyło się jej mężowi, na którego powiekach, kiedy patrzyło mu się prosto w twarz, można było dostrzec małe blizny, a jednak widział dość dobrze, pod warunkiem że oglądany

przez niego przedmiot nie okazał się zbyt mały. Ale to mu nie przeszkadzało, bo nie był przecież żadnym uczonym i nie musiał zarabiać na życie, ślęcząc nad książkami.

Nagle poruszyła się stara kobieta. Zawołała na matkę słabym głosem, a ta podała jej zaraz czarękę z gorącą wodą, by mogła się napić, zanim wstanie. Stara kobieta wypła wodę, siorbiąc głośno, a potem jej się odbiło, dzięki czemu uszły z niej złe wiatry. I w końcu stęknęła, bo starość sprawiała, że rano czuła się słaba.

Matka wróciła do kuchni, by zająć się przygotowywaniem porannego posiłku, a dzieci usiadły blisko siebie na ziemi. Czekwały skulone w chłodzie poranka. Po pewnym czasie chłopiec wstał i podszedł do matki, która dokładała do ognia. Dziewczynka natomiast siedziała nadal sama. Nagle ponad wschodnim wzgórzem ukazało się słońce, zalewając ziemię wielką jasnością. Promienie światła zaatakowały oczy dziewczynki, która zamknęła je pospiesznie. Kiedyś rozpląkałaby się w takiej chwili, teraz jednak - niczym osoba dorosła - wstrzymała tylko oddech i siedziała bez ruchu z zaciśniętymi mocno zaczerwienionymi powiekami. Nie poruszyła się aż do chwili, gdy poczuła, że matka wciska jej do rąk miskę z jedzeniem.

Tak, to prawda, że wszystkie dni w życiu matki były takie same. Jednak ona nigdy nie odczuwała nudy, a wszelkie codzienne czynności wykonywała z wielkim zadowoleniem. Gdyby ją o to zapytać, odpowiedziałaby, otwierając szeroko swoje błyszczące czarne oczy: „Ale przecież ziemia od chwili siewu po żniwa zmienia się bezustannie. Jest zbieranie plonów z naszych własnych pól i płacenie ziarnem właścicielowi tych, które dzierzawimy, są też święta, jest nowy rok. Tak, nawet dzieci zmieniają się i rosną, a ja trudzę się, rodząc następne. Dla mnie nie ma niczego prócz zmiany. Zmian jest tyle, że muszę pracować od świtu do nocy. Przysięgam, że tak właśnie jest”.

Jeżeli znalazła wolną chwilę, odwiedzała inne kobiety mieszkające w wiosce. Raz tę, co miała rodzić, innym razem tę, która opłakiwała śmierć dziecka, a kiedy indziej tę znającą nowy wzór kwiatów do ozdabiania pantofli albo nowy krój kaftana. Bywały też dni, kiedy udawała się do miasta, żeby sprzedać ziarno albo kapustę. Chodziła tam razem ze swoim mężczyzną i widywała rzeczy tak niezwykle, że mogła o nich potem myśleć w wolnych chwilach. Prawda jednak była taka, że całkowicie zadowalała ją życie tylko dla męża i dzieci, i nie myślała o niczym więcej. Doświadczać czystej namiętności mężczyzny, począc co jakiś czas jego dziecko, wiedzieć, że we własnym ciele rośnie życie, wyczuwać, jak to życie przybiera kształt i się rozwija, rodzić, a potem czuć niemowlęce usta przy piersi - to jej wystarczało. Wstawać o świcie, karmić swoich, zajmować się zwierzętami, zasiewać pole i zbierać z niego plony, ciągnąć wodę do picia ze studni, spędzać całe dni na wzgórzach, ścinając dziką trawę, i czuć na swym ciele dotyk słońca i wiatru - nie potrzebowała niczego więcej. Smakowała całe to swoje życie - porody, pracę w polu, jedzenie, picie i spanie, zamiatanie i porządkowanie z grubsza domu, słowa wiejskich kobiet chwalcących jej robotę i szycie. Nawet kłótnie z mężczyzną były dobre i dodawały smaku ich wzajemnej namiętnej miłości. Dlatego kobieta każdego ranka budziła się ze snu i wstawała z przyjemnością i ochotą.

Tego dnia, gdy mężczyzna już zjadł, westchnął, wziął motykę i trochę niezdecydowanie udał się w pole, opłukała miski i posadziła starą kobietę w ciepłych promieniach słońca, a potem kazała dzieciom bawić się blisko domu i nie zbliżać się zbyt do stawu. Następnie wzięła swoją motykę i ruszyła do pracy. Po drodze raz czy dwa razy przystanąła, żeby się obejrzeć. Jej uszu dobiegł niesiony wiatrem, cienki i słaby głos starej kobiety. Matka, słysząc go, uśmiechnęła się i poszła dalej. Stara kobieta potrafiła teraz jedynie pilnować drzwi. I wykonywała to zadanie z dumą. Choć słaba już i na wpół ślepa, zauważała jednak, gdy do chaty zbliżał się ktoś niepożądany. Potrafiła też w razie potrzeby narobić prawdziwego rwetesu. Matka miewała

z nią kłopoty, opieka nad starą kobietą nie była bowiem łatwa. Staruszka, gorzej niż niejedno dziecko, często z wielkim uporem obstawała przy swoim. A przy tym - inaczej niż dziecka - nie można jej było przecież przywołać do porządku szturchańcem. Jednakże gdy pewnego dnia żona kuzyna powiedziała: „Ulży ci, moja siostrze, kiedy ta starucha wreszcie umrze. Jest przecież taka stara, taka ślepa, taka zboląta i kwękająca”, matka odrzekła łagodnie i ze zwykłą u siebie czułością: „To prawda, ale bardzo się w domu przydaje. Pilnuje drzwi i mam nadzieję, że będzie żyła, dopóki dziewczynka nie podrośnie”.

Tak, matka nigdy nie była dla staruszki surowa i bezwzględna. Nieraz co prawda słyszała inne kobiety, kiedy chwaliły się, jaką to wojnę prowadzą w domu z teściowymi, i gdy narzekały, że nie są w stanie znieść starczych humorów. Sama jednak taka nie była. Ona traktowała starą kobietę jak jedno ze swoich dzieci. Staruszka była naprawdę dziecinna. Jak dziecku zachciewało jej się to tego, to znów czegoś innego. Wiosną młoda matka nieraz uchodziła sobie nogi, szukając dla niej jakiegoś ziele. A mimo to kiedy któregoś lata wioskę nawiedziła epidemia okropnej biegunki i zmarło od niej dwóch silnych mężczyzn, kilka kobiet i dużo, dużo małych dzieci, a stara kobieta wydawała się umierająca i już kupili najlepszą, jaką mogli, trumnę, by czekała gotowa, młoda kobieta naprawdę się ucieszyła, gdy matka jej męża, uczepiwszy się życia, wróciła do niego jeszcze na trochę. Tak, tak, ta staruszka była naprawdę wytrzymała. Przecież zdążyła już znieść dwa śmiertelne przyodziewki. I matka cieszyła się z tego, cieszyła się, że jej teściowa wciąż żyje. Stare życie nie dawało za wygraną i śmiała się z tego cała wioska. Czerwony kaftan, który młoda matka uszyła, by ją w nim pogrzebać, stara kobieta nosiła pod kaftanem niebieskim, tak jak to było w tych stronach w zwyczaju. Nosiła go, dopóki się całkiem nie zniszczył. A wtedy tak długo grymasiła, aż żona syna uszyła jej nowy. Teraz chodziła w tym nowym, i kiedy ktoś zawołał: „Więc jeszcze tu jesteś, stara?”, odkrzykiwała wesoło ciekawym głosem: „Tak, jestem tutaj, w swoim śmiertelnym przyodziewku! No

szę go na grzbiecie aż się zużyje i nie potrafię powiedzieć, ile podobnych będę miała po nim!".

Po takich słowach zanosila się chichotem, zachwycona tym swoim doskonałym żartem. Bo czyż to nie był świetny żart: żyje wciąż i żyje, i nie może umrzeć?

Teraz idąc w pole, matka przypomniła sobie o tym z uśmiechem. A równocześnie do jej uszu dobiegł głos starej kobiety:

- Uspokój serce, dobra córko. Ja pilnuję drzwi domu!

No tak, kiedy staruszka umrze, młodej matce będzie jej brakowało.

Będzie za nią tęskniła. Jednak jakież sens ma tęsknota? Życie przychodzi i odchodzi o ustalonej godzinie i próżno się temu sprzeciwiać.

Dlatego matka szła swoją drogą spokojna.

### III

Kiedy fasola, którą zasadziła na polu, zakwitła, kiedy wiatry przynosiły najpiękniejsze wonie, kiedy dolina zrobiła się żółta od kwiatów rzepaku, który uprawiali dla oleju wyciskanego z ziaren - matka urodziła swoje czwarte dziecko. W tej małej wiosce, inaczej niż w miasteczku czy dużym mieście, albo nawet w dużej wsi, nie można było wynająć położnej, więc kobiety w potrzebie pomagały sobie nawzajem. Babki starszki pouczyły wnuczki, co mają robić, gdy coś pójdzie nie tak - kiedy dziecko się przekreśli albo gdy podczas porodu zdarzy się coś zaskakującego. Jednak matka nie miała takich problemów. Była dobrze zbudowana - ani zbyt drobna, ani zbyt szczupła - elastyczna i giętka w biodrach. I nigdy na nic nie chorowała. Więc nawet wtedy, gdy upadła i wydała dziecko na świat zbyt wcześnie, uczyniła to z łatwością. I nie przejęła się tym zbyt, jeśli nie liczyć żalu po stracie dziecka i niezadowolenia z daremnego trudu. Gdy zbliżał się jej czas, odwiedzała żonę kuzyna, a gdy żona kuzyna potrzebowała jej pomocy, przychodziła do niej. Teraz, pewnego pięknego, wietrznego wiosennego dnia, kobieta poczuła, że nadchodzi jej godzina. Przeszła więc przez pole, oparła motykę o ścianę chaty i zawołała żonę kuzyna, która nadbiegła zaraz z drugiej strony drogi. Biegając, wycierała ręce w fartuch, bo wezwanie matki zastało ją przy praniu nad stawem. Żona kuzyna była dobrą, życzliwą kobietą o okrągłej brązowej twarzy, czerwonych ustach i nieco zadartym nosie. Ruchliwa i hałaśliwa, gadała jak dzień długi, żyjąc u boku swego milczącego mężczyzny. Na wezwanie matki zjawiała się natychmiast, zaaferowana i roześmiana.



- No cóż, moja gosposiu - wołała, biegnąc co sił w nogach - zawsze powtarzam, że to bardzo dobrze, że nie rodzimy razem. Obserwowałam cię od jakiegoś czasu, zastanawiając się, która będzie pierwsza: ty czy ja. Okazuje się, że w tym roku jestem jakaś powolna. Ty już rodzisz, a ja dopiero zaczęłam nosić w sobie dzieciątko!

Na dźwięk tych słów z innych chat rozległy się wesołe kobiece głosy:

- Przyszedł już twój czas, gosposiu? Zatem życzymy ci szczęścia! I syna! Jedna z kobiet - wdowa i plotkarka - zawołała żałobnym tonem:

- Tak, tak, wykorzystuj swojego mężczyznę, dopóki go masz! Bo spójrz tylko na mnie: też ze mnie dobra baba do rodzenia, a nie mam już męża! Matka nic na to nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko blado i z twarzą spoconą i zakurzoną weszła do chaty. Stara kobieta podążyła za nią, gadając przy tym i śmiejąc się z radości, że nadeszła oczekiwana chwila.

- Zawsze mówiłam - oznajmiła - zawsze mówiłam w chwili, gdy przyszła moja godzina, a wiesz, córko, że urodziłam aż dziesięcioro dzieci, i wszystkie dorodne i zdrowe, a więc zawsze mówiłam...

Jednak matka jej nie słyszała. Wzięła niewielki stołek i usiadła na nim bez słowa. A potem obiema rękami odgarnęła włosy z twarzy. Jej dłonie stały się mokre od potu - nie był to przy tym pot zraszający każdego, kto pracuje w polu, tylko nowy pot, pot wywołany bólem. Matka, ująwszy rąbek kaftana, otarła sobie twarz, rozplotła swoje gęste, długie włosy, a następnie związała je mocno ponownie. I w tej samej chwili złapał ją silny ból, więc pochyliła się cicho i czekała.

Stara kobieta tuż obok wciąż mełła językiem, a żona kuzyna śmiała się głośno. Zauważywszy jednak, że matka zgina się wpół, podbiegła do drzwi i dobrze je zamknęła. I zamarła w bezruchu, czekając. Zapadła cisza, którą jednak zaraz przerwało głośne dobijanie się do drzwi. To chłopiec, który zauważył, że są zamknięte - a tego się

przecież w dzień nie robiło - i że matka znajduje się w środku, przestraszył się bardzo, zaczął płakać, domagając się, by go wpuszczono do izby.

- Niech on tam zostanie, bo chcę urodzić w spokoju - powiedziała matka, na co żona kuzyna podeszła do drzwi i zawołała przez szparę:

- Zostań na trochę na dworze, bo twoja matka rodzi!

- Zostań tam, mój maleńki - niby echo zawtórowała jej stara kobieta - a dam ci grosz na orzeszki ziemne. Baw się grzecznie, a zobaczysz, jaki prezent sprawi ci za jakiś czas mama!

Ale chłopiec, bardzo przestraszony, obstawał przy swoim. Zaraz też dołączyła do niego dziewczynka, która na widok płaczącego brata zaczęła zawodzić, uderzając w drzwi swoimi rachitycznymi piąstkami. Matka tego nie wytrzymała. Rozdrażniona bólem dźwignęła się ze stołka, podeszła do drzwi i trzepnęła chłopca mocno.

- Ty mnie chyba wykończysz! - zawołała. - Nigdy nie słuchasz, co się do ciebie mówi! A teraz jeszcze rozwrzeszczała się i ona! Druga taka sama jak ty!

Jednak w tej samej chwili, kiedy go uderzyła, poczuła, że serce jej mięknie, a gniew ustępuje i opuszczają zupełnie.

- No dobrze już, dobrze - powiedziała udobruchana - wejdz, skoro musisz. Ale wiedz, że nie ma tu nic ciekawego do oglądania. Zostaw drzwi uchylone - dodała, zwracając się do żony kuzyna - bo dzieci źle się czują oddzielone ode mnie, a nie są do tego przyzwyczajone.

Wypowiedziawszy te słowa, usiadła, chwyciła się za głowę obiema rękami i w całkowitym milczeniu poddała się bólowi. Chłopiec tymczasem wszedł do środka. Po czym, nie widząc nic ciekawego, a czując na sobie karcące spojrzenie żony kuzyna, wyszedł z chaty. Jednak dziewczynka usiadła obok matki na klepisku, zasłaniając dłońmi chore oczy.

I tak czekały - jedna kobieta w milczeniu i zboląła, a dwie pozostałe pogadując o tym i owym. Mówiły, co się dzieje w wiosce, opowiadały

sobie o mężczyźnie mieszkającym na jej skraju, który poszedł dziś uprawiać hazard, zamiast zająć się czekającą na niego pracą w polu. Rozmawiały o jego straszliwej kłótni z żoną po tym, jak ta zorientowała się, że jej mąż gagatek wynosi z domu wszystkie pieniądze. Biedaczka nie zdołała go przegadać, a kiedy już wyszedł, usiadła na progu, zawodząc wniebogłosy.

- On nigdy nic nie wygrywa - stwierdziła żona kuzyna. - I nigdy nic nie przynosi do domu. Potrafi tylko przegrywać. Wciąż mu się to zdarza i dlatego właśnie żona tak rozpacza.

Stara kobieta przyjęła ten komentarz z westchnieniem, po czym splunęła na podłogę.

- Tak, tak - powiedziała - to prawdziwa rozpacz, kiedy mężczyzna potrafi tylko przegrywać. Ale niektórzy tacy właśnie są. Wiem o tym dobrze, choć dzięki bogom coś takiego nie ma miejsca w moim domu, bo mojemu synowi zawsze szczęści się w grze.

Zanim staruszka skończyła mówić, młoda matka wydała głośny okrzyk. Po czym odwróciła się od dziewczynki, rozluźniła pas i pochyliła się w przód na stołku. Żona kuzyna zerwała się na równe nogi, podbiegła do niej i nader zręcznie chwyciła w obie dłonie maleństwo, na które wszystkie czekały. I które okazało się chłopcem.

Gdy było już po wszystkim, matka podeszła do łóżka i położyła się, żeby odpocząć po porodzie. Odpoczynek okazał się słodki - młoda kobieta spała twardo i długo. Tymczasem żona kuzyna umyła dziecko, zawinęła je i położyła obok śpiącej, która nie obudziła się nawet wtedy, kiedy rozległo się słabe kwilenie maleństwa. Żona kuzyna zostawiła matkę i dziecko i wróciła do domu, do własnych zajęć. Zanim jednak odeszła, przykazała starej kobiecie, by ta, gdy matka się już obudzi, przysłała po nią chłopca.

I po pewnym czasie chłopiec przybiegł do jej chaty.

- A wiesz - zawołał - mam teraz braciszka!

Wtedy żona kuzyna pospieszyła z miską zupy, śmiejąc się i przekomarzając z małym.

- Przecież sama go sprowadziłam na świat - powiedziała. - Jakże więc mogłabym nie wiedzieć?

Chłopiec, bezgranicznie zdumiony, wlepił w nią oczy.

- Więc on nie jest nasz? - zapytał. - Nie zostanie u nas?

Na co trzy kobiety wybuchnęły śmiechem. Staruszka śmiała się bardzo głośno pełna podziwu dla zmyślności małego. Matka natomiast z wdzięcznością wypila zupę, po czym cichym głosem zwróciła się do żony kuzyna:

- Masz takie dobre serce, siostró.

- A czyż ty - odrzekła tamta - nie robisz dla mnie tego samego, kiedy przychodzi moja godzina?

I obie poczuły, że łączy je prawdziwa przyjaźń. Bo przecież taka godzina przychodzi na każdą z nich. I tak to już jest, że musi przyjść jeszcze wiele razy.

#### IV

M teraz o mężczyźnie. W jego oczach czas nie przynosił żadnej zmiany. Dla niego dzień następował po dniu - pozbawiony wszelkiej nadziei na cokolwiek nowego. Niczego nowego nie było nawet w pojawianiu się dzieci, które jego żona kochała tak bardzo. Dla mężczyzny wszystkie dzieci rodziły się jednakowe, podobne jedno do drugiego jak dwie krople wody. I wszystkie trzeba było wyżywić i odziać, a potem, gdy dorosły, należało je kolejno pożenić lub wydać za mąż. A wszystko po to, by znowu rodziły się kolejne dzieci. W oczach mężczyzny wszystko było takie samo - każdy dzień przypominał poprzedni i następny. I nigdy, przenigdy nie pojawiała się nic nowego.

Mężczyzna urodził się w tej małej wiosce i, poza niewielkim miasteczkiem położonym za wzgórzem na brzegu rzeki, nigdy, przez całe życie nie widział niczego poza nią. Obudziwszy się rano ze snu, dostrzegął wokół siebie zawsze te same niskie i łagodnie zaokrąglone pagórki na tle zawsze tego samego nieba. Potem szedł do pracy, która trwała przez cały dzień aż do zmierzchu. Gdy ją kończył przed nocą - znów były te same pagórki na tle tego samego nieba. Mężczyzna wracał z pola do domu, w którym się urodził, i kładł się do łóżka, w którym od małego sypiał z rodzicami. Tak, sypiał tam z nimi, dopóki nie podrośł na tyle, że wstyd im było sypiać razem, i dopóki rodzice nie urządzili mu posłania na sienniku.

Teraz w tym samym łóżku sypiał z własną żoną i dziećmi, podczas gdy jego stara matka spała na sienniku. I było to dokładnie to samo łóżko i ten sam dom, w którym nie przybyło nic poza kilkoma

drobiazgami. Drobiazgi zakupiono z okazji jego ślubu, a były wśród nich: nowy czajnik, niebieska kołdra, nowe świeczniki i nowy bóg z papieru na ścianie. Ten bóg, bóg bogactwa - wesoły staruszek w czerwono-niebiesko-żółtych szatach - nie przyniósł jednak zamożności jego domowi. Mężczyzna często przeklinał go w głębi serca za to, że tak radośnie spogląda z glinianej ściany na izbę, która wciąż jest tak samo uboga.

Czasami - w drodze do domu z miasta po jakimś święcie albo w deszczowy dzień z małej wiejskiej gospody, gdzie oddawał się hazardowi, gdy wracał do tej swojej małej chatki i do kobiety rodzącej mu dzieci, które trzeba było wyżywić, pracując w pocie czoła - nawiedzała go okropna myśl, że oto do końca życia nic się już nie zmieni. Dzień w dzień będzie musiał wstawać wczesnym rankiem i iść w pole, by uprawiać ziemię, której tylko spłachetek był ich własnością, resztę bowiem dzierżawili od posiadacza ziemskiego, który żył sobie wygodnie w dużym mieście. Tak, myślał sobie dalej mężczyzna, do końca życia będę spędzał całe dni na dzierżawionej ziemi, dokładnie tak jak to przedtem czynił mój ojciec. Do końca życia będę wracał po pracy do domu, by dzień w dzień zaspokajać głód tą samą okropną strawą, a najlepsze owoce ziemi zachowywać na sprzedaż, by zjedli je inni. I do końca życia będę kładł się spać tylko po to, by nazajutrz skoro świt wstać do tych samych zajęć. Z goryczą uświadamiał sobie, że nawet plony zebrane podczas żniw nie należały w całości do niego. Ich część musiał bowiem oddawać posiadaczowi ziemskiemu, a część przeznaczać dla mieszczucha, który był tego posiadacza pośrednikiem. Myśli o tym ostatnim nie mógł wprost znieść, bo człowiek ten uosabiał jego własne pragnienia - chodził ubrany w miękkie jedwabie, skórę miał bladą, jasną, gładką i natłuszczoną, jak każdy mieszczuch, który pracę ma lekką i który się dobrze odżywia. Gdy mężczyznę nawiedzały wszystkie te myśli, gdy nieproszone cisnęły mu się do głowy, stawał się gburowaty i zgryźliwy. Nie odzywał się prawie wcale do kobiety, otwierał usta tylko po to, żeby obrzucić

żonę przekleństwami, krytykując ją za jej powolność. A kiedy ona, z właściwą sobie porywcznością, zaczynała się bronić, kłócił się z nią głośno i zajadle, czerpiąc z tego dziwną, złośliwą przyjemność. Przynosiło mu to pewną ulgę, choć kobieta często była górą. Przewyższała go bowiem zapalczywością, która malała jedynie wtedy, gdy zezłościła się na dzieci. Tak, tak, ten mężczyzna nawet złościć się nie potrafił tak długo jak jego kobieta. Złość go męczyła, więc musiał zaraz zająć się czymś innym. Natomiast ona pałała największym gniewem, kiedy jej mąż uderzył któreś z dzieci albo też krzyknął na nie, gdy zapłakało. Tego wprost znieść nie mogła. Rzucała się wtedy na niego tak, jakby chodziło o ratowanie życia dziecka. I zawsze to dziecko miało rację, a on nie miał jej nigdy. Tak, tak, mężczyzna musiał przyznać: to, że kobieta przedkłada dzieci ponad niego, złości go najbardziej.

Gdy opadały go takie myśli, zapominał nawet o tych świętach, na które sobie pozwalał, zapominał o dniach, kiedy się ucztowało, a także o długich, spędzanych w beczynności dniach zimowych, kiedy tylko spał albo oddawał się hazardowi. Musiał przyznać, że w hazardzie sprzyjało mu szczęście. Kiedy wracał do domu, miał zawsze w kieszeni większą sumę niż wtedy, gdy z niego wychodził. Gdybym był samotnym mężczyzną, myślał, i miał do wykarmienia tylko siebie, moje życie byłoby naprawdę proste. Uwielbiał związane z hazardem ryzyko, uwielbiał wiążącą się z nim radość i podniecenie. Uwielbiał chwile, gdy wszyscy inni mężczyźni tłoczyli się, żeby zobaczyć, jak świetnie idzie mu gra. Naprawdę w jego palcach mieszkało szczęście. Palce te były zwinne, gdyż pług ani motyka nie zdołały ich jeszcze usztywnić, bo mając zaledwie dwadzieścia osiem lat, nigdy nie pracował więcej, niż musiał. Tak sobie myślał, a tymczasem matka nie miała pojęcia, co dzieje się w sercu ojca jej dzieci. Że kocha grę - to wiedziała. Grał - to prawda - ale nie przegrywał, więc jakie ta jego namiętność do hazardu mogła mieć znaczenie? Matka była nawet z niego dumna, bo - gdy inne kobiety skarżyły się głośno na własnych mężów, którzy przy stole

w gospodzie tracili marny zarobek uzyskany z ziemi - ona nie miała powodu do narzekań. Gdy któraś z kobiet zwracała się do niej, mówiąc: „Ach, jakże bym chciała, żeby to moje diabelskie nasienie przypominało twojego przystojniaka, gosposiu, ach, gdybyż miało takie jak on zaczarowane palce. Co ja bym dała za to, żeby pieniądze pchały mu się do rąk tak jak twojemu”, uśmiechała się zadowolona i nie obwiniała go za to, że lubi grać, chyba że gra służyła jako pretekst dla usprawiedliwienia jakiegoś innego występku.

Nie winiła go też za to, że - inaczej niż ona sama - nie potrafi mozolić się w polu wytrwale, godzina po godzinie. Nie winiła, choć czasami czyniła mu ostre wyrzuty. Wiedziała bowiem, że mężczyźni mają serca dzieci i nie potrafią pracować tak jak kobiety. A poza tym w głębi duszy bardzo go kochała i przyzwyczała się już do tego, że sama trzodzi się wytrwale, podczas gdy on ciska motykę i położywszy się na porośniętej trawie między, śpi przez kilka godzin. Tylko czasami w takich chwilach zaczynała zrzędzić. A wtedy on odpowiadał:

- Tak, śpię i będę spał, bo na własne utrzymanie zdążyłem już zapracować.

Na co ona miała ochotę powiedzieć: „Czyżbyśmy nie mieli dzieci i czy nie powinniśmy oboje czynić, co w naszej mocy, by zarobić więcej ze względu na nie?”. Powstrzymała się jednak, bo wyglądało na to, że dzieci są jedynie jej dziećmi, gdyż mężczyzna nic prawie dla nich nie robił. A poza tym kobieta nie dorównywała mu pomysłowością w znajdowaniu ciętych odpowiedzi.

Czasami przecież unosiła się gniewem i zrzędziła bardziej niż zwykle. Zdarzało się to po kilkakroć w ciągu wiosny czy lata. I wtedy kłócili się bardzo, a ją język wyjątkowo ponosił. Zdarzało się to, kiedy mężczyzna za srebro zarobione na sprzedaży kapusty kupił w mieście jakąś głupią błyskotkę albo kiedy upił się w dzień, który nie był dniem świątecznym. Wtedy kobietę ogarniał taki gniew, że zapomniała, że w głębi serca go przecież kocha. Ten gniew, głęboki i zajadły, tlił się



w jej sercu i wybuchał płomieniem na długie godziny. Tak, tak, płonął jeszcze wtedy, kiedy mężczyzna prawie już zdążył zapomnieć, co zrobił. A zapominać wszystko, co było mu niemiłe, miał w zwyczaju. Kiedy więc gniew kobiety powracał, stawała się wobec niego całkiem bezradna i w końcu dawała za wygraną.

Pewnego jesienno dnia zdarzyło się tak, że mężczyzna wrócił do domu ze złotym pierścieniem na palcu - a w każdym razie twierdził, że pierścień jest złoty. Kobieta na ten widok zawrzała gniewem.

- Kupiłeś go sobie ty, który nie chcesz dźwigać z nami zwykłych ciężarów życia! - zawołała. - Wydajesz nasze nędzne dochody na jakiś głupi pierścionek! I wkładasz go sobie na mały palec! Kto to słyszał, żeby uczciwy, przyzwoity biedak nosił na palcu pierścień? Bogaczowi taka rzecz przystoi. Ale gdy robi to biedak, czy ma to jakiś sens? Złoto! Kto słyszał, żeby złoty pierścień można było kupić za miedziaki?!

- Mówię ci, że to jest złoto! - krzyknął mężczyzna z miną zbuntowanego dziecka, odymając czerwone wargi. - Pierścień skradziono z jakiegoś bogatego domu. Człowiek, który mi go sprzedał, powiedział mi o tym. Pokazał mi pierścień ukradkiem na ulicy. Trzymał go pod kaftanem i pokazał mi go, gdy przechodziłem...

- Tak - zadrwiła kobieta - a tym, kogo miał przed sobą, był głupi wieśniak, którego da się łatwo oszukać! Zresztą przypuśćmy, że to złoto. A jeżeli tak, to co będzie, kiedy ktoś w mieście zobaczy ten pierścień na twoim palcu i kiedy cię złapią i wsadzą do więzienia za kradzież? Jak my cię stamtąd wykupimy albo jak wyżywimy w więzieniu? Daj mi go!

Sprawdzę, czy jest ze złota!

Ale mężczyzna nie chciał jej dać tej swojej zabawki. Zachnął się tylko jak naburmuszone dziecko. A wtedy kobieta poczuła nagle, że wprost nie może go znieść. Rzuciła się na niego z pazurami, podrapała po ładnej, gładkiej twarzy, a potem biła pięściami tak mocno, że zabrakło mu tchu ze zdumienia. Zerwał więc pierścień z palca - z pogardą, ale też trochę przestraszony - i zawołał:

- Masz! Bierz go sobie! Wiem bardzo dobrze, że się wściekasz, bo kupiłem go nie na twój palec, tylko na swój własny!

Słyszając to, kobieta ponownie zapłonęła wielkim gniewem. Uświadomiła sobie bowiem ze zdumieniem, że mąż ma rację. Tak, cierpiała w. duchu, bo jej mężczyzna - inaczej niż inni mężowie - nigdy nie kupił swej żonie żadnej błyskotki, którą mogłaby nosić w uszach albo na palcu. Tak właśnie sobie pomyślała, gdy zobaczyła pierścień. Teraz wpatrywała się w niego bez słowa, a mężczyzna, głosem łamiącym się z żalu nad sobą i swoim ciężkim losem, odezwał się znowu:

- Ty zawsze mi zazdrościsz. Tak, zazdrościsz mi nawet najdrobniejszej rzeczy, którą robię dla siebie. Wszystko, co mamy, ma być według ciebie przeznaczone dla tych małych bachorów, które rodzisz!

To powiedziawszy, zaczął płakać. Płakał, wielce przejęty swoją niedolą, a potem rzucił się na łóżko i leżał tak przez jakiś czas, zanosząc się głośnym szlochem. Ten szloch przeznaczony był dla uszu kobiety, a także dla uszu jego starej matki, która parę chwil wcześniej przysłuchiwała się kłótni, a teraz podbiegła do syna i zaczęła go pocieszać. Pocieszała go jak kogoś chorego, mierząc przy tym synową wrogim spojrzeniem. Tak, tak, patrzyła wrogo na tę kobietę, którą przecież kochała. A dzieci, widząc, że ojciec płacze, także się rozpląkały, uznawszy matkę za osobę twardą i okrutną.

Tymczasem matka jeszcze nie ochłonęła. Wciąż rozgniewana, podniosła pierścień z zakurzonego klepiska, na które mężczyzna go cisnął. A potem włożyła go między zęby i nagryzła. Zrobiła to na wszelki wypadek, bo gdyby pierścień okazał się rzeczywiście złoty, mogliby go korzystnie sprzedać. Kobieta wiedziała bowiem, że czasami rzeczy kradzione sprzedawano niedrogo. Rzadko jednak, pomyślała, żądano ceny aż tak niskiej. Choć z drugiej strony mężczyzna z czystego strachu mógł skłamać, znacznie tę cenę zaniżając. Tak rozmyślając, kobieta nacisnęła pierścień swoimi twardymi, białymi zębami. Jednak metal wcale się nie poddał, co miałoby miejsce, gdyby był czystym złotem. Ogarnięta więc ponownie złością, kobieta zawołała:

- Gdyby był złoty, to... czy nie okazałby się miękki? Czy nie poddałby się moim zębom? Metal, z którego jest zrobiony, to mosiądz! Na dodatek bardzo twardy... - Nagryzała pierścień przez chwilę, a potem wypluła żółtą pozłotkę. - Zobacz, nie jest nawet porządnie pozłacany!

Myśl, że mężczyznę oszukano niby jakieś głupie dziecko, była jej tak nienawistna, że pognała z domu w pole, do pracy. I szła tam z sercem stwardniałym do tego stopnia, że nie zważała na szlochające dzieci i nie słyszała drżącego głosu staruszki.

- Za moich młodych lat - mówiła jej teściowa - pozwalałam mężowi na małe przyjemności... Jest powinnością żony pozwolić mężowi cieszyć się jakimś drobiazgiem...

Ale do matki nie docierało nic, co mogłoby rozproszyć jej gniew.

Wyszła w pole i zabrała się do pracy. Po pewnym czasie owiał ją tam łagodny jesienny wiatr, sprawiając, że jej serce mimo woli ostygło.

Szybujące liście i brązowe zbocza pagórków, na których zgasło już zielone lato, szare niebo i dalekie wołanie dzikich gęsi lecących na południe, nieruchoma ziemia i cała spokojna melancholia chylącego się ku końcowi roku - wszystko to zakradło się do jej serca i sprawiło, że złagodniała. I matka, rzucając szerokim zamachem ręki ozimą pszenicę w miękka i dobrze uprawianą ziemię, poczuła, że w jej serce znowu wstąpił spokój, i przypomniała sobie, że przecież kocha tego swojego mężczyznę. Widząc oczyma wyobraźni jego roześmianą twarz, powiedziała do siebie, poruszona i skruszona:

- Przygotuję mu smakowite danie na dzisiejszy południowy posiłek. Bo w końcu o co była ta moja złość? O taką małą sumę!

Zaczęła się spieszyć, pragnąc jak najprędzej wrócić do domu, a tam przygotować mężczyźnie posiłek i pokazać, że zaszła w niej zmiana.

Kiedy jednak dotarła do chaty, okazało się, że jej mąż, wciąż wściekły, leży na łóżku. Odwrócony tyłem, nie odezwał się do niej ani słowem.

Zajęła się więc przygotowywaniem posiłku. Wyłowiała nawet ze stawu kilka krewetek, by okrasić nimi danie, tak jak lubił. Kiedy jednak go zawołała, on nie chciał wstać ani jeść.

- Nie mogę jeść - oznajmił słabym głosem człowieka chorego - bo ty, kobieto, wypędziłaś ze mnie duszę swoimi przekleństwami.

Matka nic na to nie odpowiedziała. Odstawiła tylko miskę i milcząc, z zaciśniętymi ustami wyszła z powrotem do pracy. Nie przyłączyła się do starej kobiety, gdy ta błagała syna, żeby coś zjadł. Nie mogła go błagać, bo wspomnienie niedawnego gniewu było zbyt świeże. Gdy kierowała swe kroki na pole, podbiegł do niej zgłodniały pies i zaczął się łaścić.

Kobieta wróciła wtedy do kuchni i wyciągnęła rękę po miskę mężczyzny.

- W porządku, dam to psu - mruknęła do siebie.

Nie potrafiła jednak tego zrobić. Przecież była to strawa przeznaczona dla ludzi, nie należało jej zatem marnować. Matka wstawiła więc miskę do wnęki w ścianie, psu natomiast dała trochę zimnego ryżu. I wyszła, zapewniając własne serce, że wciąż się gniewa.

Jednak w nocy, kiedy położyła się koło mężczyzny i kiedy dzieci zwinięte w kłębek przytuliły się do niej w ciemności, gdy poczuła ich ciała z jednej strony, a z drugiej ciało mężczyzny - jej gniew ustąpił. Pomyślała wtedy, że mężczyzna to takie samo dziecko jak ich trzy maleństwa. I że cała ta czwórka, jak wszystko w tym domu, zdana jest na jej opiekę.

Zatem kiedy zaświtał ranek, wstała z łóżka bardzo już łagodna i spokojna.

Nakarmiła staruszkę i dzieci, a potem podeszła do męża, nakłaniając go

przymilnie do tego, żeby wstał i się posilił. A wtedy on, widząc ją tak

zmienioną, podniósł się z posłania powoli jak ktoś, kto był złożony

chorobą. Skosztował przygotowanej przez kobietę potrawy, a potem zjadł

ją do końca, bo bardzo mu zasmakowała. Stara kobieta tymczasem

patrzyła na syna z miłością, trajkocząc przy tym bez przerwy.

Mężczyzna nie chciał jednak iść tego dnia w pole do pracy. Usiadł na

stołku w drzwiach, gdzie zaglądało słońce, i kręcąc głową, oznajmił:

- Czuję w sobie taką jakąś słabość... Czuję ból, który drży u ujścia mojego serca. Odpocznę więc dzisiaj.

Słyszając to, matka doszła do wniosku, że nie miała racji, napadając na niego w ten sposób. Pożałowała swego gniewu.

- Odpocznij więc - powiedziała, chcąc go pocieszyć. A potem wyszła w pole.

Kiedy się oddaliła, mężczyznę ogarnął niepokój. Zaczęła go też nużyć gadanina staruszki, gdyż ta bardzo poweselała na myśl, że syn zostanie cały dzień w domu i że będzie mogła do niego mówić. Mówiła więc bez przerwy, choć wiedziała, że bezczynne siedzenie, patrzenie, jak bawią się dzieci, i słuchanie jej słów mogą go znudzić. I rzeczywiście, mężczyzna, nie mogąc tego wszystkiego znieść, wstał z miejsca i mruknął, że chce się napić gorącej herbaty. Po czym udał się do przydrożnej gospody, którą prowadził w wiosce jego daleki kuzyn. A tam zastał innych mężczyzn przy herbacie. Wszyscy oni gwarząc, siedzieli na zewnątrz pod płóciennym baldachimem, gdzie gospodarz wystawił i nakrył stoły. Lubili tak siadywać, gdyż do gospody zachodzili nieraz podróżni, od których można było usłyszeć różne dziwne historie. Czasami zjawiał się tu nawet bajarz, który snuł swoje opowieści. W gospodzie panował więc gwar i było naprawdę wesoło.

W drodze do gospody mężczyzna natknął się na swego poważnego kuzyna, który wracał właśnie do domu na pierwszy poranny posiłek. Szedł z pola, gdzie od świtu zdążył wykonać solidny kawał roboty.

- Dokąd ty idziesz? - zawołał, widząc mężczyznę. - Dlaczego nie pracujesz?

- Ta moja uprzykrzona kobieta - odrzekł mężczyzna słabym głosem - swoimi przekleństwami wpędziła mnie w chorobę. Ma do mnie pretensje o jakiś drobiazg, doprawdy sam nie wiem o co i naprawdę nie ma na nią sposobu. Kleła wczoraj tak, że przez całą noc ciężko chorowałem. Moja choroba przeraziła nawet tę jędzę. Kazała mi zatem dzisiaj odpoczywać. Idę właśnie napić się gorącej herbaty, która pomoże mi na żołądek.

Kuzyn splunął tylko na to i poszedł bez słowa. Był bowiem człowiekiem milczącym z natury. Mówił jedynie wtedy, gdy musiał, a swoje nieliczne myśli zachowywał przeważnie dla siebie.

Tak więc mężczyzna był zniecierpliwiony. Niecierpliwiło go jego własne życie. Uznał, że tak dalej być nie może. To niemożliwe, myślał, by w moim życiu nie zdarzało się nic nowego, by trwał tylko ten wieczny kierat, rok po roku, aż do mojej starości i śmierci. Wszystko to było nie do zniesienia - tym bardziej że wędrowcy zachodzący do przydrożnej gospody opowiadali rzeczy dziwne i cudowne. Snuli opowieści o tym, co dzieje się poza kręgiem otaczających wioskę znajomych pagórków, a także u ujścia przepływającej w pobliżu rzeki. Daleko, u swego ujścia, rzeka spotyka się z morzem, powiadali wędrowcy. I stoi tam ogromne miasto pełne ludzi o różnych odcieniach skóry. A w mieście pieniądze przychodzą ludziom łatwo, prawie bez pracy. Na każdym rogu znajduje się dom gry, gdzie śpiewają śliczne dziewczęta, jakich mężczyźni w wiosce nigdy nie widzieli na oczy i jakich do końca życia nie zobaczą. Ulice w mieście są tak gładkie jak klepisko, znajdują się tam także wszelkiego rodzaju pojazdy, domy wysokie niby góry i sklepy o wystawach pełnych towarów z całego świata, przywiezionych na statkach z zamorskich krajów. Człowiek może tam spędzić całe życie, oglądając te wystawy. A także jedząc różne pyszności, na przykład ryby morskie i inne dary morza. Nasyciwszy się nimi, może udać się do wielkiego domu rozrywki, pełnego atrakcji i nierzowniejszych cudów, z których jedne skłaniają go do tego, by śmiać się do rozpuku, inne są niezwykle i dzikie, a inne znów dowcipne albo wręcz wstrętne dla oczu. A najdziwniejsze w tym wszystkim okazało się to, że w wielkim mieście nocą jest widno jak w dzień. Mają tam bowiem takie lampy - niesporządzone ludzkimi rękami - lampy, w których nie płonie żaden płomień, tylko świecące czystym światłem schwytanym prosto z nieba.

Czasami mężczyzna grał trochę z takim wędrowcem i zdarzało się, że ten, bardzo zdziwiony jego zręcznością, wołał:

- Dobry człowieku, przysięgam, wy macie w grze takie szczęście jak mieszkaniac wielkiego miasta. I moglibyście zagrać w miejskim domu rozrywki!

Mężczyzna uśmiechał się na to i pytał z powagą:

- Naprawdę tak sądzicie?

I myślał: To prawda, że w tej nudnej, zapadłej dziurze nikt nie ma już odwagi grać ze mną i że nawet w mieście dorównałbym w grze różnym mieszczuchom.

Ta myśl sprawiła, że ogromnie zapragnął porzucić swoje dotychczasowe życie, a zwłaszcza znieawidzoną pracę na roli. Często zatem, wznosząc motykę i rozbijając nią grudy ziemi, pomrukiwał do siebie:

- Oto ja, przystojny i młody człowiek, którego palcom towarzyszy szczęście, utknąłem tutaj niby ryba w studni. Nie widzę nic prócz tego okręgu nieba nad głową, bez względu na to, czy pada deszcz, czy świeci słońce. A w domu mam wciąż tę samą kobietę i dzieci, które przychodzą na świat jedno po drugim. I które wrzeszczą i płaczą, i wiecznie domagają się strawy. Dlaczego tak ma być? Dlaczego ja, człowiek przystojny i młody, muszę zapracowywać się na śmierć po to, żeby ich wszystkich wykarmić? Dlaczego nie mam w życiu żadnej uciechy?

Kiedy matka poczęła, a potem urodziła ostatniego syna, boczył się na nią i złościł. Miał do niej pretensję o to, że urodziła z taką łatwością i w tak niedługim czasie po poprzednim porodzie. Tak, miał jej to za złe, choć wiedział, że żonie należą się za to pochwały i że prawo do narzekania na niesprawiedliwy los miałyby tylko w wypadku, gdyby była bezpłodna. Tymczasem ona rodziła co roku o właściwym czasie, i to przeważnie synów.

Ale w sercu mężczyzny nie mieszkała sprawiedliwość, ponieważ w pewnym sensie był on wciąż jeszcze chłopcem. Chłopcem, jak to chciał zwyczaj panujący w tych stronach, młodszym od żony o jakieś dwa lata. Serce miał przy tym porywcze i niecierpliwe, a fakt, że był ojcem synów, nic dla niego nie znaczył. Mężczyzna ten pragnął bowiem jedynie przyjemności i różnych atrakcji, pragnął wielkomięjskich uciech.

Tak, tak, mężczyzna ten był człowiekiem, którego niebiosy stworzyły dla uciech. Dobrze zbudowany i niewysoki, a przy tym silny, szczupły i pełen gracji, kości miał drobne i delikatne. Miał też ładną twarz i błyszczące czarne oczy. Gdy nie był markotny i ponury, śmiał się chętnie, a gdy znalazł się w dobrym towarzystwie, potrafił śpiewać. I znał mnóstwo pieśni. Język miał przy tym giętki i dowcipny, potrafił nieraz powiedzieć coś, co z pozoru proste, było równocześnie rozumne i trochę rubaszne, a wieśniacy to uwielbiali. Swoimi piosenkami i żartobliwą mową potrafił rozweselić ludzi. Lubili go wszyscy - zarówno mężczyźni, jak i kobiety.-Gdy słyszał, jak się śmieją, rosło w nim serce. Cieszył się wtedy z mocy, którą nad nimi posiada. Kiedy jednak po powrocie do domu widział poważną twarz żony, kobiety energicznej i krzepkiego ciała, wydawało mu się, że tylko ona go nie docenia. Zdawało mu się tak, gdyż kobieta nigdy go nie chwaliła. Dlatego mężczyzna we własnym domu nigdy nie żartował. Rzadko też bawił się i weselił z własnymi dziećmi. Swoją dobry humor, uśmiech i sympatyczny wygląd zdawał się mieć jedynie dla obcych.

Kobieta dobrze o tym wiedziała. Złościła się więc, cierpiąc równocześnie, gdy sąsiadki zwracały się do niej, wołając:

- Ach, ten twój mąż, gosposiu! Jest taki zabawny! Język ma prędkie, a minę zawsze taką wesołą.

Odpowiadała wtedy spokojnie:

- Tak, tak, wielki z niego wesołek, naprawdę.

A potem, chcąc ukryć swoje cierpienie, zmieniała temat, bo w głębi duszy go przecież kochała. I zdawała sobie sprawę, że w jej obecności nigdy nie bywa wesoły.

Pewnego letniego dnia, po tym, jak urodziła swoje czwarte dziecko, między nią a mężczyzną wybuchła straszliwa kłótnia. Zdarzyło się to w szóstym miesiącu roku, w początkach lata. Dzień był tak piękny, że skłoniliby każdego mężczyznę do marzeń o jakiejś nowej uciezce. Dla



tego mąż matki marzył przez cały ranek. Ogarnięty łagodnym ciepłem, widząc świeżą zieleń liści i trawy, a także błękit nieba, wprost nie był w stanie tego dnia pracować. Nie mógł też spać, bo ten dzień wypełniało życie. Dawał się słyszeć bezustanny śpiew i świergot ptaków, a słodki wiatr przynosił ze wzgórza różne wonie. Kwitły tam bowiem pachnące żółte lilie, a dzika wistaria zwieszała swoje bladofioletowe girlandy. Wiatr niósł też po niebie wielkie, skłębione, białe niczym śnieg obłoki. Płynąc po jasnym sklepieniu, obłoki zaciągały na przemian mrok i światło ponad wzgórze. Był to widok rzadkiej urody. Raz robiło się jasno, a raz ciemno - i dzień ten nie znał spoczynku. Był zbyt wesoły na pracę i sprawiał, że serce nie znajdowało spokoju.

Tego właśnie dnia, w samo południe, zdarzyło się, że w tę okolicę zawędrował przekupień, sprzedający letnie materiały. Szedł, niosąc je na ramieniu, a miał ich bardzo wiele. Tak, ten przekupień niósł materiały wszelkich kolorów i odcieni, niektóre w kwiatowe wzory.

- Tkaniny, piękne tkaniny sprzedaję! - wołał, idąc przez wioskę.

Mężczyzna, kobieta, stara matka i dzieci siedzieli właśnie w cieniu wierzby, jedząc południowy posiłek, gdy przybysz zatrzymał się przed ich domem.

- Czy mogę tu zostać, gosposiu, i pokazać wam moje materiały?

- Nie mamy pieniędzy na zakupy - odrzekła na to matka. - Chyba że znaleźlibyście stopę czegoś taniego i całkiem zwyczajnego dla mojego najmłodszego synka. Biedni z nas wieśniacy. Nie stać nas na nowe ubrania ani na piękne tkaniny. Musimy się zadowalać najtańszymi, dbając tylko o to, byśmy nie chodzili nadzy!

- Tak, tak, to prawda, co mówi moja synowa - poparła ją swoim przenikliwym głosem staruszka. - A poza tym w dzisiejszych czasach materiały są bardzo liche. Po kilku praniach zostają z nich strzępy. To nie to, co za mojej młodości. Wtedy nosiłam kaftan jeszcze po swojej babce. Wystarczył mi aż do ślubu, bo wówczas duma kazała mi sprawić sobie coś nowego. Ale kupiłam to sobie jedynie ze względu na nią, bo ten kaftan po babce wcale nie był znoszony. A teraz co?

Donaszam już drugi śmiertelny przyodziewek i zaraz potrzebny mi będzie trzeci. Tak, tak, dzisiaj materiały są bardzo liche...

Słyszając to, przekupień zbliżył się, bo wyczuł, że jednak zanosi się tutaj na jakieś zakupy. Chcąc do nich zachęcić, zaczął przymi-lać się do matki, a także przemawiać do starej kobiety nader miłymi słowami.

- Stara matko - powiedział - mam tu materiał tak samo dobry jak te z dawnych czasów. Nada się nawet dla waszego najmłodszego wnuka. A wy spójrzcie, gosposiu, oto kawałek, który został z tego, co zakupiła pewna bogaczka w wielkim mieście dla swojego jedynaka. Wziąłem od niej godziwą zapłatę, jednak tę resztkę oddam wam prawie za bezcen. Tak, tak, moja gosposiu, chcę bowiem uczcić przyjście na świat tego małego synka, którego trzymacie przy piersi.

Wypowiadając te słowa gładko i prawie jednym tchem, przekupień wyciągnął resztkę pięknego materiału w kwiecisty wzór przedstawiający peonie na tle zielonym niby trawa.

Stara kobieta, widząc materiał, wydała okrzyk zachwyty. Bo choć oczy miała słabe, intensywne barwy dostrzegła bardzo wyraźnie. Matce tkanina także ogromnie się spodobała. Spojrzała na niemowlę u swojej piersi, które, jeżeli nie liczyć szmacianej opaski na brzuszku, było zupełnie nagie. Przyszło jej na myśl, że jest to naprawdę tłuste, dorodne dziecko, najładniejsze z całej trójki i podobne do ojca. I że to dziecko przepięknie by wyglądało w ubranku z tej kwiecistej tkaniny.

- No to ile kosztuje ten kawałek? - zapytała, czując, że serce jej mięknie. - Zresztą i tak go nie kupię, bo naprawdę brak nam pieniędzy. Musimy przecież wyżywić dzieci i staruszkę, a także płacić za dzierżawę posiadaczowi ziemskiemu. Nie stać nas na kupowanie pięknych materiałów, w jakie bogaczki odziewają swoich jedynaków.

Słyszając to, stara kobieta bardzo się zasmuciła, a dziewczynka zsunęła się ze stołka i przysunęła bardzo blisko, chcąc przyjrzeć się jaskrawej tkaninie swoimi chorymi oczami. Tymczasem starszy chłopiec

jadł dalej, nie dbając o to wszystko, a mężczyzna siedział, podśpiewując, bo wcale go nie obchodziło, czy żona kupi materiał dla dziecka.

Przekupień przysunął materiał do niemowlęcia - jednak nie za blisko, żeby go nie zabrudzić, bo wtedy już nikt by go nie kupił - po czym przemówił niskim, przymilnym głosem:

- To taki piękny materiał... i mocny... i co za kolory. Przez moje ręce przeszło wiele tkanin, zapewniam was, gosposiu, ale żadna mu nie dorównywała. Gdybym miał własnego syna, zachowałbym ten kawałek dla niego. Jednak ja mam tylko biedną, bezpłodną żonę, która nie może dać mi dziecka. Więc po cóż miałbym marnować ten piękny materiał dla kogoś takiego jak ona?

- Co za szkoda! - zawołała stara kobieta, ubawiona opowieścią o bezpłodności żony przekupnia. - A z was przecież taki wspaniały mężczyzna! Dlaczego nie weźmiecie sobie młodej żonki, dobry człowieku? Dlaczego nie spróbujecie jeszcze raz? Może coś da się zrobić? Zawsze powtarzam, że mężczyzna musi wypróbować trzy kobiety, zanim się ostatecznie przekona, że brak dzieci to jego wina.

Matka nie słyszała jej słów. Siedziała zamyślona i niepewna, a serce coraz bardziej jej miękło. Bo patrząc na swojego synka, na to dziecko o czerwonych policzkach i złocistej skórze, wyobrażała sobie, jak pięknie by mu było w ślicznym nowym ubranku. I wreszcie uległa.

- A więc jaka jest wasza najniższa cena? - zapytała. - Bo nic ponad to zapłacić nie mogę.

Przekupień wymienił sumę. Cena okazała się niezbyt wygórowana i serce matki drgnęło z radości. Pokręciła jednak poważnie głową i wymieniła sumę o połowę niższą. W tych stronach bowiem panował zwyczaj, że tak się targowano. Suma była tak niska, że przekupień szybko schował materiał. A następnie zrobił taki ruch, jakby zamierzał odejść. Wtedy matka, przez wzgląd na swoje śliczne dziecko, podała trochę wyższą cenę. I tak, po długich targach, przekupień wyciągnął wreszcie materiał, zgadzając się na cenę trochę niższą niż pierwotna. I matka wstała, żeby wyjąć pieniądze z kryjówki w glinianej ścianie.

Przez cały ten czas mężczyzna siedział beczynnie, podśpiewując coś sobie głosem wysokim i łagodnym. Przerywał tylko od czasu do czasu, żeby - jak zwykle po posiłku - napić się gorącej wody, ale nie brał udziału w tych targach. Tymczasem przekupień - człowiek nader sprytny i potrafiący wykorzystać każdą sytuację - gestem z pozoru niedbałym rozpostarł inny materiał, utkany z dzikiego lnu, który chłodzi ciało w letnie upały, w kolorze tak jasnym i błękitnym jak niebo. A uczyniwszy to, spojrział ukradkiem na mężczyznę, sprawdzając, czy ten to widzi.

- Czy kupiliście sobie szatę tego lata? - zagadnął z uśmiechem. - Bo jeżeli nie, to mam tu coś dla was. I to po cenie, mogę wam przysiąc, niższej niż wszystko, co można dostać w sklepach w mieście.

Mężczyzna jednak pokręcił głową, przybierając chmurną minę.

- Nie ma w tym domu nic, za co mógłbym sobie coś kupić - odrzekł. - Ja tu jestem od ciężkiej pracy. A im bardziej haruję, tym więcej mam gąb do wykarmienia.

Przekupień - człowiek bywały w świecie - znał się na ludzkich twarzach. Od pierwszej chwili zorientował się, że mężczyzna lubi sobie dogadzać, że przypomina chłopca, całkiem nieprzygotowanego do życia, które mu przyszło prowadzić.

- Widzę, że rzeczywiście macie ciężkie życie, gospodarzu - powiedział więc z udawaną życzliwością i współczuciem. - Za ciężkie życie dla takiego przystojnego człowieka. Jeżeli jednak kupicie sobie nową szatę, przekonacie się, że działa ona jak dobre lekarstwo. Na jej widok uraduje się wasze serce. Bo nic nie przynosi człowiekowi większego zadowolenia niż nowa letnia szata. Z tym pierścieniem na palcu, wyczyszczonym i wypolerowanym, z włosami przygładzonymi i natłuszczonymi odrobiną oliwy, no i w tej nowej szacie, będziecie naj-urodziwszym, najprzystojniejszym mężczyzną. Zakasujecie nawet tych, co mieszkają w mieście.

Mężczyznę ucieszyły te słowa. Roześmiał się głośno na wpół zakłopotany, jednak zaraz się opanował.

- Rzeczywiście - powiedział. - Dlaczego nie miałbym sprawić sobie nowej szaty? W perspektywie mam tylko kolejne, coraz nowe dzieci. Czy zatem na dodatek muszę wciąż chodzić w starych łachmanach?

Pochylił się i pomacał materiał, a stara matka, zachwycona myślą o nowej szacie dla niego, zawołała:

- To piękny kupon materiału, mój synu. Jeżeli chcesz sprawić sobie szatę, to najodpowiedniejsza będzie właśnie taka. Błękitna. Pamiętam, że twój ojciec miał kiedyś podobną. Zaraz, zaraz, czy to było wtedy, kiedyśmy się pobierali? Nie, nie, ślub odbył się zimą. Tak, zimą, bo strasznie kichałam i ludzie śmiali się, słysząc tak kichającą pannę młodą...

- Ile to będzie kosztowało? - zwrócił się mężczyzna do przekupnia. A ten wymienił cenę dokładnie w chwili, gdy matka wróciła z odliczonymi co do grosza pieniędzmi na materiał dla dziecka.

- Nie możemy wydać ani grosza więcej! - zawołała przerażona. A mężczyzna, słysząc te słowa, poczuł, że w jego sercu pragnienie staje się twarde jak kamień.

- Aleja dam sobie uszyć szatę z tej sztuki materiału - powiedział z uporem. - Materiał mi się podoba, więc to zrobię! Mamy przecież te trzy sztuki srebra.

Wszystkie trzy monety miały znaczną wartość. Matka wniosła je, wchodząc do domu męża jako panna młoda. A otrzymała je od własnej matki. Monety były jej skarbem. Nie wyobrażała więc sobie, że może je wydać. Nawet kupując trumnę dla starej matki, gdy ta zdawała się bliska śmierci, uczyniła to za pożyczone pieniądze. A tych trzech sztuk srebra nie tknęła i często myślała o nich jako o zabezpieczeniu na czarną godzinę - na czas wojny czy jakiegoś nieszczęścia, które może przecież przyjść w każdej chwili i odebrać rodzinie owoce jej pracy. Mając te trzy monety w skrytce w ścianie, matka była pewna, że przynajmniej przez jakiś czas jej rodzina nie będzie głodować. Dlatego zawołała teraz głosem naprawdę wielkim:

- Ależ my nie możemy tego srebra wydać!

Mężczyzna jednak zerwał się na równe nogi i ruchem błyskawicznym niby jaskółka przemknął koło niej rozwścieczony. W jednej chwili znalazł się przy schowku i sięgnął po srebro. Kobieta dopadła go natychmiast i uwiesiła się na jego ramieniu. Nie dorównywała mu jednak gibkością. Dlatego mężczyzna strząsnął ją z siebie bez trudu, tak że ona, trzymając na ręku dziecko, upadła na glinianą podłogę.

- Utnijcie mi dwanaście stóp tego materiału! - zawołał mężczyzna, wybiegając przed dom. - I jeszcze stopę na dodatek!

Przekupień uczynił szybko, co mu kazano, i chwycił szybko monety, choć było ich nieco mniej niż z początku żądał. Chciał bowiem sprzedać swój towar i jak najpospieszniej się oddalić.

Kiedy matka w końcu wyszła z chaty, przekupnia już nie było. Natomiast jej mąż stał w zielonym cieniu drzewa z błękitnym materiałem w rękach. A monety zniknęły. Stara kobieta patrzyła na to wszystko przestraszona.

- Piękny błękit, mój synu - odezwała się swym skrzekliwym głosem, gdy matka wróciła do chaty. - A przy tym materiał był niedrogi. Dużo już czasu upłynęło od chwili, gdy kupiłeś sobie tamten poprzedni...

Mężczyzna tymczasem spojrzał ponuro na żonę i z twarzą poczerwieniałą wrzasnął na nią wściekle:

- Uszyjesz mi szatę, czy mam go zanieść do kobiety, której za to zapłacę? I powiedzieć, że moja żona nie chce tego zrobić?

Nic na to nie odpowiedziała. Usiadła na swoim niskim stołku i przez jakiś czas siedziała w milczeniu, blada i wstrząśnięta upadkiem, trzymając w ramionach dziecko krzyczące z przerażenia. Krzyk dziecka nie poruszył jej jednak zbyt. Położyła małego synka na ziemi i zwinęła w węzeł swoje rozsypane włosy. A potem dyszała przez chwilę ciężko, przełknęła kilka razy ślinę i wreszcie, nie patrząc na mężczyznę, powiedziała:

- Daj mi ten materiał. Uszyję ci szatę.

Wstydziałaby się bardzo, gdyby on z tą sprawą udał się do innej kobiety, bo wtedy ludzie dowiedzieliby się o ich kłótni więcej, niż wiedzieli już teraz, słysząc ich gniewne krzyki.

Uszyła więc szatę. Jednak od tego dnia żywiła do swego męża ogromną urazę. Skroiła szatę, najlepiej jak potrafiła, bo materiał był dobry i wart starannych zabiegów, ale praca ta nie sprawiła jej przyjemności. Szyjąc, milczała uparcie. Nie odzywała się do mężczyzny. Nie opowiadała mu o tym, co zaszło w ciągu dnia, ani o drobnych zdarzeniach na ulicy, jak to zwykle czynią zadowolone kobiety. Traktowała go twardo, więc mężczyzna chodził zły i posepny. Nie śpiewał tego dnia wcale i zaraz po posiłku udał się do przydrożnej gospody, gdzie siedząc wśród innych mężczyzn, pił herbatę i do późnej nocy oddawał się hazardowi. A nazajutrz rano zaspał i nie budził się bardzo długo. Gdy mu się to zdarzyło przedtem, w zwykłych okolicznościach, kobieta suszyła mu głowę tak długo, że w końcu dla świętego spokoju wstawał. Dziś jednak pozwoliła mu spać. Sama zaś poszła w pole, zacięta i milcząca, choć tak naprawdę jej serce się smuciło.

Kiedy szata mężczyzny została już wreszcie wykończona, a zajęło to dużo czasu, bo kobieta musiała najpierw zająć się przygotowaniem i sadzeniem ryżu, więc kiedy już wreszcie ją skończyła, i gdy mężczyzna włożył ją na siebie, nie powiedziała mu, jak wygląda. Mężczyzna natomiast, już ubrany, wypolerował swój pierścień, przygładził włosy oliwą, której ułał z butelki stojącej w kuchni, i buńczuczным krokiem ruszył przed siebie ulicą.

Ludzie we wsi byli pod wrażeniem. Ten i ów aż zakrzyknął z zachwytem, widząc mężczyznę w tak wspaniałej szacie. On jednak nie doznał z tego powodu zbyt wielkiej przyjemności, bo przecież jego żona nie odezwała się do niego nawet słowem! Gdy stojąc przez chwilę przy drzwiach, czekał, co powie, ona zabrała się natychmiast do roboty. Schyliła się nad miotłą o krótkim trzonku i zaczęła zamiatać. Nie podniosła głowy, nie zapytała, czy szata mu się podoba i czy dobrze leży. A przecież dawniej zadawała takie pytania nawet wtedy, gdy mu zrobiła nowe buty.

- Wiesz - powiedział w końcu mężczyzna trochę nieśmiało - zdaje mi się, że uszyłaś tę szatę lepiej niż wszystkie poprzednie. Czuję się w niej tak dobrze, że przypomina mi ubiór jakiegoś człowieka z miasta.

Ale kobieta nawet wtedy nie podniosła wzroku. Odstawiła miotłę do kąta, przyniosła sobie co trzeba i zaczęła prząść nici, bo szyjąc błękitną szatę, zużyła cały ich zapas.

- Zważywszy na to, ile mnie kosztowała - odrzekła w końcu cierpko - powinna przypominać szatę cesarza.

Nie spojrzała jednak na męża. Nie odprowadziła go wzrokiem nawet wtedy, gdy wybiegi-na ulicę. Nie chciała patrzeć na niego choćby ukradkiem, kiedy był odwrócony tyłem - tak wielką chowała urazę. Z drugiej jednak strony jej serce wiedziało doskonale, że mężczyzna w swojej błękitnej szacie wygląda bardzo dobrze.



## V

Przez cały dzień matka czekała, aż mężczyzna wróci do domu. W pole nie poszła, bo roboty zostały chwilowo zakończone. Młode, zielone pędy posadzonego niedawno ryżu rosły w płytkiej wodzie, pływając się w ciepłe przygrzewającego słońca, a jego nowo uformowane zwisające kłosa chwiały się w podmuchach lekkiego wiatru. Tak, tego dnia nie było potrzeby iść w pole.

Matka siedziała zatem pod wierzbą i przędła, a obok niej przycupnęła stara kobieta, bardzo zadowolona, że ma jej kto słuchać. Mówiąc bez przerwy, rozpięła kaftan, wyciągnęła w słońcu swoje stare, chude, zasuszone ramiona i rozkoszowała się ciepłem przenikającym aż do kości. Dzieci biegały nago, bawiąc się i grzejąc w promieniach słonecznych. Matka tymczasem milczała, zgrabnie obracając wrzeciono między kciukiem a palcem wskazującym. Jej ruchy były pewne, a nić snuła się biała i dobrze uprzedziona. Gdy osiągnęła już dostateczną długość, matka nawijała ją na szpulkę z wypolerowanego na gładko bambusa. Przędła tak, jak czyniła wszystko, do czego się wzięła - zdecydowanie i dobrze - a nić spod jej palców wychodziła zawsze mocna i twarda.

Gdy słońce powoli wspięło się ku zenitowi, matka odłożyła robotę i wstała.

- On wkrótce wróci do domu głodny, bo błękitną szatą się nie naje - powiedziała sarkastycznym tonem, na co stara kobieta roześmiała się swoim gdaczącym, słabym śmiechem.

- O tak - powiedziała. - To, co mężczyzna nosi na brzuchu, nie jest tym samym, co ten brzuch mu napętnia...

Matka podeszła do kosza, w którym przechowywała zapas ryżu, i zaczerpnęła go tykwą. Podtrzymała przy tym tykwę drugą dłonią, by nie uронić choćby ziarenka. Wsypała ryż do koszyka upleczonego z cienkich pasków drobno rozłupanego bambusa i poszła ścieżką nad staw. A idąc, rozglądała się naokoło. Nie zobaczyła jednak lśniącego nowością błękitu. Zeszła ostrożnie nad samą wodę i zaczęła płukać ryż, zanurzając koszyk i szorując ziarenka swymi silnymi, brązowymi dłońmi. Zanurzała go wiele razy, dopóki ryż - wyczyszczony - nie zaczął błyszczeć jak perły. Wracając do chaty, schyliła się, by zerwać główkę kapusty, a potem dorzuciła siana przywiązane pod drzewem bawołowi. Gdy znalazła się w domu, zapytała spokojnie starszego chłopca, który właśnie przyprowadził za rękę siostrę:

- Czy widziałeś ojca, gdzieś na ukcy, w gospodzie albo pod czyimiś drzwiami?

- Rano ojciec siedział przez jakiś czas w gospodzie. Pił tam herbatę

- odrzekł po namyśle chłopiec. - Widziałem jego szatę, nową i błękitną.

Szata była piękna, a nasz kuzyn, słysząc jej cenę, powiedział, że kosztowała ojca bardzo drogo.

- O tak, rzeczywiście, kosztowała go drogo! Mogę dać za to głowę!

- zawołała matka, a w jej głosie pojawiła się nagle twarda nuta.

- Tak, tak - włączyła się do rozmowy dziewczynka, przytakując bratu. -

Szata ojca była błękitna, nawet ja to widziałam.

Matka natomiast nie powiedziała już nic więcej. Podeszła do kwilącego w koszyku maleństwa, wzięła je na ręce, rozchyliła kaftan i pozwoliła mu ssać. A potem, z dzieckiem przy piersi, zabrała się do gotowania posiłku. Najpierw jednak zawołała do starej kobiety:

- Odwróćcie się, stara matko. Patrzcie uważnie i powiedzcie mi, kiedy go zobaczycie w tej błękitnej szacie. A wtedy ja postawię mu miskę na stole.

- Zrobię to, córko - odkrzyknęła wesoło stara.

Kiedy jednak ryż już się ugotował, kiedy był biały i suchy, to znaczy taki, jaki lubił mężczyzna - ten wciąż się nie zjawiał. Kiedy kapusta

zrobiła się miękka i kiedy kobieta przygotowała nawet słodko-kwaśny sos do polania głąba, tak jak mężczyzna lubi! - on wciąż nie przychodził. Zaczekały więc jeszcze jakiś czas, ale w końcu stara kobieta zgłodniała. Zapach jedzenia ją osłabił.

- Nie czekaj już na tego mojego syna! - zawołała więc gniewnie. - Z ust cieknie mi ślinka, brzuch mam pusty jak bęben, a jego wciąż nie ma! Wtedy matka podała starej kobiecie jej miskę. Nakarmiła też dzieci, pozwoliła im nawet zjeść sporo kapusty, jednak głąb zostawiła dla mężczyzny. Sama także pojadła, ale niewiele, bo tego dnia głód jakoś nie dokuczał jej zbyt. Zostało więc dużo ryżu i spora miska kapusty. Matka odstawiła to wszystko w przewiewne miejsce, by zachować świeżość. Wieczorem, pomyślała, kiedy się jedzenie podgrzeje, będzie równie dobre jak teraz. Następnie dała piersi dziecku, a ono, nasyciwszy się, zasnęło. Tak, zasnęło to krągłe, pulchne, silne maleństwo na ostrym słońcu - brązowoczerwone od gorąca. Starsze dzieci także, położywszy się pod wierzbą, zapadły w sen. Stara kobieta tymczasem kiwała się na swojej ławie, a w całej wiosce zapanował senny spokój i cisza upalnego południa. Nawet zwierzęta stały na wpół uśpione, ze zwieszonymi głowami.

Nie spała tylko matka. Wzięła wrzeciono i usadowiła się w cieniu, który wierzba rzucała na zachodnią część klepiska, i zaczęła skręcać nitkę. Ale po chwili przerwała. Nie była w stanie pruć dalej. Przez cały ranek pracowała systematycznie, nie przerywając ani na moment. Teraz jednak opuścił ją spokój. W jej ciele, niby jakaś nieznana siła, nagromadził się dziwny popłoch. Bo nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby mężczyzna nie wrócił do domu na posiłek.

- Musiał pójść do miasta - mruknęła do siebie kobieta - żeby zagrać albo w jakimś innym celu.

Przedtem nie zaprzętała sobie tym głowy. Teraz jednak, im więcej o tym myślała, tym bardziej wydawało jej się to prawdopodobne. Po

pewnym czasie z sąsiedniej chaty wyszedł kuzyn, zamierzając udać się w pole. A potem obudziła się drzemiąca pod drzewem żona kuzyna i zawołała do matki:

- Czy twój mężczyzna dokądś dzisiaj poszedł?

- Tak! - odkrzyknęła matka. - Poszedł do miasta w jakiejś swojej sprawie.

- Zgadza się - potwierdził kuzyn, niespiesznie czegoś szukając wśród swoich motyk i szpadli. - Widziałem go. Szedł do miasta, bardzo wesóły w swojej nowej, błękitnej szacie!

- Tak - potwierdziła -kobieta.

Jej serce trochę się uspokoiło. Wróciła z nieco większym zapalem do wrzeciona. No tak, myślała, kuzyn widział, że mój mąż idzie do miasta. Z pewnością chce zażyć nieco rozrywki. Pohulać sobie przez jeden dzień i zemścić się w ten sposób na mnie. Tak, tak, z pewnością tak jest, bo przecież w nowej szacie, z wypolerowanym mosiężnym pierścieniem na palcu i z włosami namaszczonymi oliwą nie mógł zrobić nic innego. Ta myśl sprawiła, że matka zapragnęła zapłonąć gniewem. Jednak jej gniew już obumarł. I nie potrafiła go wskrzesić, bo pomieszał się z jakimś dziwnym niepokojem.

Upalne popołudnie ciągnęło się długo. Stara kobieta ocknęła się w pewnej chwili i zawołała, że usta ma suche niby kora drzewa. Zatem matka wstała i przyniosła jej trochę herbaty. Starsze dzieci, obudziwszy się także, tarzały się przez jakiś czas w kurzu, a potem wstały, żeby się oddać jakiejś innej zabawie. Maleństwo natomiast rozbudzone leżało w koszyku, wyspane, wesole i szczęśliwe.

Matka tymczasem wciąż nie mogła zaznać odpoczynku. Odpoczęłaby oczywiście, gdyby się przespała. W zwykłych okolicznościach zasypiała z łatwością nawet nad robotą. Była tak zdrowa i krzepka, że głęboki i słodki sen nawiedzał ją całkiem bez wysiłku. Dzisiaj jednak jakaś zgryzota toczyła jej serce, nie pozwalając zasnąć. Było bowiem tak, jakby matka nasłuchiwała, spodziewając się jakiegoś dźwięku, który musi się wreszcie odezwać.

Wstała w końcu, zniecierpliwiona oczekiwaniem i zmęczona tym, że ulica wciąż jest pusta i że nie widać tego, na którego czeka. Podniosła maleństwo, oparła je sobie na biodrze, wzięła motykę i poszła w pole, wołając na odchodnym do staruszki:

- Idę na południowe zbocze, chcę powyrywać chwasty!

Idąc, pomyślała, że łatwiej jej będzie czekać poza domem. Tak, godziny miną jej szybciej, jeżeli zmusi ciało do jakiejś ciężkiej roboty.

Zatem przez całe popołudnie, z twarzą osłoniętą przed słońcem niebieską bawełnianą chustką, pracowała na polu kukurydzy. Przesuwała się, pieląc chwasty motyką, w tę i z powrotem wśród zielonych młodych roślin.

Poletko było niewielkie i wyboiste, bo całą resztę zdatnej pod uprawę ziemi przeznaczyci pod ryż, tworząc tarasy nawet na tych zboczach, na które trzeba było pompować wodę. A wszystko dlatego, że ryż to delikatniejsza strawa od kukurydzy i sprzedać go można po wyższej cenie.

Na pagórku, całkiem pozbawionym cienia, słońce prażyło niemiłosiernie. Kaftan matki stał się więc wkrótce mokry i ciemny od potu. Ona jednak przerywała pracę jedynie wtedy, kiedy dziecko zapłakało i trzeba mu było dać piersi. Siadała wtedy płasko na ziemi, karmiła maleństwo, ocierała rozgrzaną twarz i spoglądała przed siebie w blasku słońca, nie widząc nic zgoła. Kiedy jej mały synek się najadł, kładła go z powrotem na ziemi i wracała do pracy. Pracowała tak długo, że całe jej ciało stało się obolałe, a umysł kompletnie otepiał. Nie myślała już wtedy o niczym. Widziała tylko chwasty, które zniszczone jej motyką, leżały na ziemi i zaczynały schnąć w skwarze. W końcu słońce zatrzymało się na krawędzi ziemi i dolinę ogarnął nagły mrok. Matka wyprostowała się wtedy i ocierając mokrą twarz kaftanem, powiedziała głośno:

- On z całą pewnością jest już w domu. Tak, na pewno już tam na mnie czeka. Muszę iść przygotować mu posiłek.

To powiedziawszy, podniosła dziecko, które leżało na miękkiej ziemi, i poszła do domu.

Nie zastała tam jednak mężczyzny. Gdy wyszła z za węgła, nie zobaczyła go wcale. Zauważyła natomiast starą kobietę, która patrzyła z niepokojem w stronę pola, oraz starsze dzieci, zmęczone i czekające na nią na progu. Dzieci, widząc ją, podniosły krzyk, a wtedy ona zapytała ze zdumieniem:

- Wasz ojciec... czyżby jeszcze nie wrócił?

- Nie wrócił, a my jesteśmy głodni - zawołał chłopiec, a dziewczynka dziecinnym, łamiącym się głosem zawtórowała:

- Nie wrócił, a my jesteśmy głodni.

Powiedziała to, siedząc z zaciśniętymi powiekami i chroniąc oczy przed ostatnimi, rażącymi złotymi promieniami słońca.

Tymczasem stara kobieta podniosła się z miejsca, pokuśtykała na skraj klepiska i zawołała przenikliwym głosem do kuzyna, który właśnie wracał do domu:

- Widziałeś gdzieś mojego syna?

- Dajcie spokój, stara matko - odezwała się na to zniecierpliwiona nagle kobieta. - Nie mówcie o tym. Ludzie nie muszą wiedzieć, że jeszcze go nie ma w domu!

- No, ale jego przecież nie ma - odrzekła stara, patrząc na nią z zatroskaniem.

Matka nie powiedziała nic więcej. Przyniosła zimny ryż dla dzieci, podgrzała trochę wody i połała nią ryż dla starej kobiety, znalazła jakiś kęs strawy dla psa, a kiedy wszyscy zajęli się już jedzeniem, wyszła na ulicę i z maleństwem na rękach udała się do przydrożnej gospody. Było tam teraz niewielu gości. I wszyscy zbierali się właśnie do odejścia, bo o tej godzinie, po zakończeniu pracy, mężczyźni są już w domu. Jeżeli on tam jest, pomyślała matka, to siedzi przy stole od ulicy, skąd może widzieć i słyszeć wszystko, co dzieje się naokoło. Albo też biesiaduje z jakimś innym gościem, bo przecież nie lubi być sam. Jeżeli natomiast w gospodzie toczy się gra, to on znajduje się w samym jej środku. Podeszła bliżej i wyteżyła wzrok. Nie dostrzegła jednak, by w gospodzie lśniła gdzieś nowa błękitna szata. Nie słyhać

też było odgłosów świadczących o tym, że mężczyźni grają. Matka, zaglądając przez drzwi do środka, stwierdziła, że jej męża tu nie ma. W gospodzie był oberżysta - stał oparty o ścianę przy piecu i odpoczywał po wieczornym posiłku. Twarz miał czarną od dymu i pokrytą tłuszczem. Nie uznawał bowiem za stosowne myć się zbyt często, skoro i tak zaraz miał się znowu zabrudzić.

- Widzieliście ojca moich dzieci? - zapytała go matka podniesionym głosem.

A oberżysta, który właśnie dłubał w zębach czarnym paznokciem, cmoknął i odkrzyknął:

- Siedział tu przez jakiś czas rano w tej swojej nowej, błękitnej szacie! A potem poszedł w stronę miasta.

Zaraz też, węsząc jakąś nową plotkę, zapytał:

- A co, gosposiu, czy coś się stało?

- Nic... nic... - odrzekła pospiesznie matka. - Ma jakąś sprawę w mieście i dlatego się spóźnia. Zresztą może gdzieś przenocuje i wróci dopiero jutro.

- A jaka to sprawa? - dopytywał się oberżysta z nagłą ciekawością.

- Skąd mam wiedzieć? Jestem przecież tylko kobietą - odrzekła matka i odwróciła się, żeby odejść.

W drodze powrotnej przez wioskę, gdy głośno odpowiadała na pytania tych, co ją zagadywali, przyszła jej do głowy pewna niepokojąca myśl.

Dlatego znalazłszy się przed własnym domem, weszła zaraz do środka.

Po czym podeszła szybko do skrytki w ścianie, wsunęła tam rękę i pomacała. Skrytka okazała się pusta. A powinna się tam była znajdować pewna liczba drobnych miedziaków i mała sztuka srebra, bo parę dni wcześniej mężczyzna, który miał smykałkę do takich transakcji, sprzedał słomę ryżową po dobrej cenie i przyniósł większą część uzyskanej sumy do domu. Matka wzięła wtedy od niego pieniądze, pouczyła je dokładnie i włożyła do skrytki. I tam powinny były znajdować się teraz. Jednak ich nie było.

Stwierdziwszy to, kobieta zrozumiała ostatecznie, że mężczyzna odszedł. Ta świadomość wprawiła ją w stan oszołomienia. Usiadła

nagle na glinianej podłodze i trzymając maleństwo w ramionach, zaczęła się kołysać w tył i w przód powoli i w absolutnym milczeniu. Jej mężczyzna odszedł! A ona została z trójką dzieci i starą kobietą. Została sama, a jego już nie było!

Maleństwo, nagle czymś zaniepokojone, zaczęło się wiercić. Więc matka, sama nie wiedząc, co robi, dała mu piersi. Do chaty weszły teraz starsze dzieci. Dziewczynka pokwękiwała przy tym i tarła sobie oczy. Pojawiła się też stara kobieta, która wspierając się na swym kiju, powtarzała:

- Ciekawa jestem, gdzie się podział mój syn. Córko, czy mój syn mówił, dokąd się udaje? Tak dziwnie się czuję, kiedy go nie ma...

- Wróci jutro, nie ma co do tego wątpliwości, matko - zapewniła ją młodsza kobieta, wstając. - Połóżcie się teraz i śpijcie. Wasz syn wróci jutro.

A staruszka, już nieco uspokojona, powtórzyła:

- Tak, tak. Mój syn wróci jutro. Nie ma co do tego wątpliwości. A potem, po omacku, bo w izbie panował już mrok, podeszła do swojego posłania.

Matka tymczasem wyprowadziła starsze dzieci na podwórze, gdzie umyła je porządnie, jak to miała w zwyczaju czynić w letnie wieczory. Polała każde z nich wodą z tykwy, trąc przy tym gładkie brązowe ciała dłońią. Nie słyszała jednak, co dzieci mówią, i nie zwracała uwagi na narzekania dziewczynki na oczy. A kiedy dzieci znalazły się w łóżku i chłopiec, przestraszony nieobecnością ojca, zawołał: „Gdzie śpi teraz mój tata?”, odpowiedziała, wciąż oszołomiona:

- Z pewnością w mieście, a wróci do domu za parę dni. Po czym dodała z nagłym gniewem:

- Wróci do domu na pewno, kiedy skończą mu się pieniądze. A ta jego nowa błękitna szata będzie już wtedy brudna - kontynuowała z goryczą. - I będę ją musiała uprać!

Uświadomiła sobie z zadowoleniem, że potrafi się na niego złościć.

Podsycala w sobie tę złość, czepiała się jej, bo mężczyzna wydawał się



jej przez to jakiś bliższy. Ze złością wprowadziła do chaty zwierzęta i ze złością zarygłowała drzwi, pomrukując:

- Przysięgam, że będę spała, kiedy on zacznie walić do drzwi jeszcze tej nocy!

Jednak potem, podczas tej ciemnej, spokojnej i upalnej nocy, w ciszy zamkniętej izby, gniew ją opuścił. I matka zaczęła się bać. Co zrobi, jeżeli jej mąż nie wróci? Co zrobi - samotna kobieta i na dodatek młoda?...

Łóżko było ogromne i puste. Dziś w nocy nie musi się przejmować, może rozrzucić ramiona i nogi, rozpierać się w łóżku do woli. Bo mężczyzna odszedł. Tak pomyślała, a w następnej chwili ogarnęła ją najgorętsza z gorących tęsknota za mężem. Bo przecież przez sześć lat leżała co noc obok niego. Za dnia mogła się na niego złościć, jednak każdej nocy była z nim znów blisko. I zapominała o jego lenistwie i dziecinny charakterze. Przypomniła sobie teraz, jaki był przystojny. Przypomniła sobie, że - inaczej niż większość mężczyzn - nie używał wulgarnej języka i że - inaczej niż oni - oddech miał świeży. Był pięknym młodym mężczyzną o zębach białych niczym ziarna ryżu. Leżała więc, tęskniąc za nim, gniew ją całkiem opuścił, a pozostała tylko tęsknota.

Gdy nadszedł ranek, wstała zmęczona bezsennością, a jej złe, twarde uczucia powróciły. Kiedy wyprowadziła już zwierzęta, kiedy nakarmiła dzieci i starą kobietę, a jego wciąż nie było, ogarnęła ją złość.

- Wróci, jak zabraknie mu pieniędzy - mruknęła półgłosem. - Tak, tak, wiem, że tak będzie!

A kiedy chłopiec, patrząc na puste łóżko, zapytał ją zdumiony: „Gdzie jest mój tata? Dlaczego wciąż go nie ma?”, odrzekła ostro i głośno:

- Nie będzie go przez parę dni. I tak masz mówić, kiedy ktoś w wiosce cię o niego zapyta.

Tego dnia, gdy dzieci pobiegły się bawić, kobieta nie wyszła w pole.

Ustawiła sobie stół tak, żeby mieć widok na krótką, jedyną w wiosce ulicę i żeby widzieć, kto nią nadchodzi. A potem,

odpowiadając półsłówkami trajkoczącej staruszce, pomyślała, że błękitna szata jest bardzo jaskrawa. Tak jaskrawa, że ona, siedząc tu, zobaczy ją z daleka. Stwierdziwszy to, zabrała się do przedzenia. Jednak po każdym obrocie wrzeczona spoglądała ukradkiem na drogę. Liczyła też w myślach pieniądze, które mężczyzna wziął ze sobą. Oceniała, na ile dni mu wystarczą, i doszła do wniosku, że nie na więcej niż na sześć albo siedem. Choć z drugiej strony, myślała sobie, on ma takie zręczne palce i takie szczęście w grze. Może więc zostać trochę dłużej. No, ale potem będzie musiał wrócić. W ciągu tego ranka bywały chwile\*, gdy sądziła, że nie zniesie już dłużej gadaniny staruszki. Znosiła ją jednak w nadziei, że lada chwila zobaczy powracającego mężczyznę.

W południe dzieci, zgłodniałe, wróciły do domu. Chłopiec wypatrzył miskę kapusty odstawioną dla ojca. Zapytał, czy może trochę zjeść, ale matka mu nie pozwoliła. Kiedy ponowił prośbę, poczęstowała go szturchańcem i rzekła stanowczo:

- Nie, synu. Kapusta jest dla ojca. Jeżeli wróci dziś wieczorem, będzie głodny. Więc cała miska musi zostać dla niego.

Długie, spokojne letnie popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, a mężczyzna nie wracał. Słońce zaszło, jak zwykle ciężkie i pełne złocistego światła zalewającego przez chwilę dolinę. Nadeszła noc, głęboka i ciemna. A wtedy kobieta przestała odmawiać synowi. Postawiła miskę przed dziećmi i powiedziała:

- Jedzcie, ile chcecie, bo inaczej kapusta się zepsuje. Nie można z nią czekać do jutra. A kto wie...

Przerwała, nabrała trochę słodko-kwaśnego sosu i podała go starej kobiecie.

- Zjedzcie, matko - powiedziała - a ja zrobię świeży, jeżeli wasz syn się jutro pojawi.

- Więc on jutro wróci? - zapytała staruszka, a matka odrzekła ponuro:

- Tak, tak, być może. Być może wróci jutro.

Poprzedniej nocy kładła się do łóżka bardzo smutna i pełna obawy. A dzisiejszej powiedziała otwarcie własnemu sercu, że tak naprawdę to nikt nie wie, czyjej mężczyzna kiedykolwiek wróci.

Była jednak nadzieja, że mężczyzna zjawi się w domu po siedmiu dniach, gdy zabraknie mu pieniędzy. Siedem dni upłynęło, jeden po drugim, a wyczekującej kobiecie każdy z nich wydawał się dniem jego powrotu.

Nigdy nie miała w zwyczaju chodzić po wsi i gadać zbyt wiele z sąsiadkami. Teraz jednak to one, w liczbie dwunastu, jedna po drugiej zjawiły się u niej. I każda pytała, gdzie jest jej mężczyzna.

- Wszyscy w tej wsi stanowimy jedną wielką rodzinę - powiadały - wszyscy jesteście jego krewniakami.

Dlatego matka, unosząc się dumą, wymyśliła sobie pewną opowieść. I od tej chwili mogła śmiało odpowiadać na ich pytania.

- Mój mąż - mówiła - ma przyjaciela w dalekim mieście. I ten przyjaciel zawiadomił go, że może tam podjąć pracę. Praca jest dobrze płatna, więc nie będziemy już musieli urabiać sobie rąk, harując tak strasznie na roli. Jeżeli to zajęcie nie spodoba się mojemu mężowi, wróci on wkrótce do domu. Jeżeli jednak okaże się dla niego odpowiednie, to mąż wróci dopiero wtedy, kiedy jego pan udzieli mu urlopu.

Mówiła to bardzo spokojnie. Zachowywała się jak ktoś, kto wypowiada najprawdziwszą prawdę. Dlatego stara kobieta, słysząc to, zdumiała się niepomierne.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zawołała. - To taka dobra, szczęśliwa nowina, a ja jestem przecież jego matką!

Wtedy kobieta wymyśliła kolejną opowieść.

- Wasz syn, stara matko - oznajmiła - zabronił mi wam o tym mówić. Stwierdził, że macie za długi język. Będziecie tak gadać, że w końcu okaże się, że cała ulica wie więcej od niego. A on nie chce,

żeby ludzie o tym wiedzieli, bo przecież praca może mu się nie spodobać.  
- Naprawdę? - zdumiała się staruszka, opierając się na kiju i patrząc kobiecie w oczy. - To prawda, że zawsze byłam gadułą, córko - przyznała na wpół urażona - ale mój język wcale nie jest aż tak długi!

Matka powtarzała swoją wymyśloną historię bardzo wiele razy. I za każdym razem - chcąc uczynić ją bardziej prawdopodobną - dodawała do niej coś nowego.

We wsi żyła pewna kobieta - bezdzietna wdowa mieszkająca u swego starszego brata - która często przechodziła obok ich domu. Owa wdowa, nie mając zbyt wiele do roboty, siadywała całymi dniami, ozdabiając sobie buty małymi jedwabnymi kwiatkami, i rozmyślała o wszystkich zasłyszanych nowinach. Wiadomości o tym, że mąż sąsiadki opuścił rodzinny dom, także poświęciła wiele uwagi. Dlatego któregoś dnia przyszła jej do głowy pewna myśl. Przybiegła więc do matki bardzo szybko, drobiażąc swymi małymi stopkami, i zawołała:

- Ale przecież, gosposiu, do wsi od bardzo dawna nie nadszedł żaden list! Nie słyszałam też, żeby twój mężczyzna otrzymał jakąś korespondencję! A potem potajemnie udała się do jedyne go człowieka w wiosce, który potrafił czytać i który za drobną opłatą pisywał mieszkańcom wszystkie ich listy, a także odczytywał wszystkie, które do nich przychodziły. Tego właśnie człowieka wdowa zapytała:

- Czy do Li Pierwszego, syna Li Trzeciego z ostatniego pokolenia, przyszedł jakiś list?

Mężczyzna zaprzeczył.

- Ależ musiał przyjść! - zawołała z przejęciem kobieta, bo uwielbiała plotki. - Tak przecież mówi jego żona. List musiał przyjść. I to parę dni temu.

Mężczyzna, słysząc to, pomyślał, że ludziom mogło przyjść do głowy, by udać się ze swymi listami do jakiegoś innego wiejskiego pisarza. Mimo to zaprzeczał nadal.

- No cóż - powiedział w końcu - ja wiem, że nie było żadnego listu. Nie było też odpowiedzi. Nikt u mnie nie był, nikomu nic nie odczytywałem ani nie pisałem. Nikt też nie kupował znaczków pocztowych, a tylko ja je tutaj sprzedaję. A poza tym od ponad dwudziestu dni nie pojawił się w wiosce listonosz.

Wtedy wdowa zorientowała się, że w całej tej historii jest coś dziwnego. Zaczęła szeptem rozpowiadać po wsi, że żona Li Pierwszego skłamała, że nie było żadnego listu i że jej mąż na pewno od niej uciekł. Bo czyż ci dwoje nie pokłócili się strasznie o nową szatę? Przecież cała wioska słyszała, jak przeklinali. Wiadomo też było, że mężczyzna popchnął żonę tak mocno, że upadła, a nawet ją uderzył. Tak w każdym razie opowiadały dzieci.

Plotki te dotarły nawet do matki, a ona wówczas zaczęła stanowczo zapewniać, że mówiła prawdę. Oznajmiła, że uszyła mężczyźnie nową szatę właśnie po to, żeby miał w czym wybrać się w daleką podróż do miasta. I że pokłócili się o coś innego. A co do listu, to go nie było, bo wieści nadeszły drogą ustną za pośrednictwem wędrownego przekupnia, który przybył z wybrzeża.

W taki oto sposób matka kłamała - uparcie i przekonująco - a stara kobieta całym sercem wierzyła jej słowom. Często też chwaliła się głośno, że jej syn będzie bardzo bogaty. Matka zaś zachowywała spokojny wyraz twarzy i nie płakała, jak to zwykle czynią opuszczone i zawstydzone tym kobiety. W końcu też cała wioska uwierzyła w jej opowieść. Plotkarka natomiast ucichła i tylko czasem, siedząc nad jedwabnymi kwiatami, pomrukiwała do siebie:

- Zobaczymy. Przyjdzie czas, a zobaczymy, czy on przysyła pieniądze, czy pisze listy i czy w ogóle do niej wróci.

W ten oto sposób uspokoiło się w wiosce, a ludzie zajęli się innymi sprawami, zapominając o matce i jej opowieści.

Matka także zajęła się własnym życiem. Siedem dni dawno minęło, a mężczyzna nie wrócił. Ryż dojrzał, zwisał teraz ciężki i żółty, gotowy do zbiorów. A mężczyzna się wciąż nie pojawiał. Kobieta zebrała więc

ryż właściwie sama - tylko przez dwa dni pomagał jej kuzyn, który zdążył już ścinać i powiązać w snopki własny. Kobieta ucieszyła się z tej pomocy, jednak obawiała się też kuzyna, bo był to człowiek, który mówił niewiele, ale szczerze, a odpowiadając na jego proste pytania, trudno było skłamać. Jednakże kuzyn pracował w milczeniu, nie pytając o nic. Wypowiedział tylko kilka słów, tych najbardziej koniecznych. A potem, już na odchodnym, zwrócił się do kobiety:

- Jeżeli twój mąż nie wróci aż do chwili, gdy będziemy dzielić ziarno między siebie a posiadacza ziemskiego, pomogę ci, bo ten nowy pośrednik to człowiek chytry i przebiegły. Samotna kobieta nie powinna mieć z nim do czynienia.

Matka podziękowała cicho kuzynowi. Ucieszyła się z jego pomocy, bo nie знаła zbyt dobrze pośrednika, który dopiero od niedawna pracował w tej okolicy. Uchodził też za człowieka o fałszywym sercu, a jego czyny i słowa ludzie uważali za niegodne zaufania.

Dni upływały, zmieniając się w miesiące, a kobieta co rano wstawała przed świtem, zostawiała w domu śpiące jeszcze dzieci i staruszkę, przygotowawszy im przedtem jedzenie, po czym szła w pole, niosąc na jednej ręce niemowlę, a krótki, zakrzywiony sierp w drugiej. Maleństwo było teraz większe, potrafiło już samo siedzieć. Sadzała je więc na ziemi, żeby się pobawiło, a ono brało ziemię w dłonie, wkładało ją do swoich malutkich usteczek, i zaraz potem z obrzydzeniem wypluwało. A następnie, całkiem o tym zapomniawszy, powtarzało tę czynność, tyłając się błotnistą breją. Cokolwiek jednak robiło, matka nie mogła go pilnować. Musiała bowiem pracować za dwoje. I pracowała bez wytchnienia. Gdy dziecko się rozplakało, łkało aż do chwili, gdy ona zmęczyła się tak, że musiała usiąść. Dawała mu wtedy piersi, a ono ssało ją swymi ubrudzonymi ziemią wargami. Ona tymczasem, całkiem wyczerpana, nie zwracała uwagi na to, że na jej skórze tworzą się ciemne plamy.

Garść za garścią, schylając się za każdym razem, ścinała sztywne, żółte zboże i wiązała je w snopki. Kiedy na jej polu pojawili się zbiera

cze pokłosa, by - jak zwykle podczas żniw - zebrać to, co upuściła, odwracała się ku nim ciemną od potu i ziemi, ściągniętą z wysiłku twarzą i obrzucała ich przekleństwami.

- Przyszlście zbierać z pola kobiety samotnej - wołała - która nie ma mężczyzny do pomocy?! Jestem biedniejsza od was, wy przeklećci żebracy i złodzieje!

Przeknała ich z całego serca, przeldinała także matki, które wydały żebraków na świat, a nawet ich synów. A oni, przerażeni tak potężnymi klątwami, uciekali w końcu z jej pola.

Następnie, snopek po snopku, matka zanosila iyz na klepisko i tam go młóciła, wprzęgnawszy bawołu do prymitywnego walka. Pracowała tak od rana do nocy przez wszystkie spokojne i upalne dni jesieni. Gdy zboże zostało wymłócone, zbierała słomę, układając ją w sterty, a potem podrzucała ziarno i przesiewała je na wietrze, który pojawiał się od czasu do czasu w łagodnych porywach.

Zmuszała też do pracy chłopca, a gdy ten się ociągał albo wolał się bawić, co raz go poszturchiwała. Robiła to, bo była śmiertelnie zmordowana. Nie potrafiła tylko układać stogów. Nie umiała piętrzyć snopków, bo te prace wykonywał zawsze mężczyzna. Żywił bowiem do tego zajęcia mniejszą niechęć niż do innych robót. Układał snopki porządnie i zabezpieczał je od góry błotem. Kobieta poprosiła kuzyna, żeby ją tego nauczył, mając nadzieję, że dzięki temu, w wypadku gdy jej mężczyzna nie wróci przed upływem roku, będzie mogła wykonywać tę pracę samodzielnie, korzystając tylko z pomocy chłopca. Zatem kuzyn przyszedł i pokazał jej co trzeba, a ona, schylając się i prostując, podawała mu siano, które on, siedząc na szczycie stogu, płasko rozkładał. W ten sposób zakończyły się ryżowe żniwa.

Kobieta wychudła. Zrobiła się jak szczapa - od ciężkiej pracy i wskutek bezustannego zmęczenia. Zostały z niej tylko kości i skóra, spalona na kolor ciemnobrązowy. A czerwone pozostały teraz tylko jej policzki i wargi. Jednak jej piersi wciąż wypełniało mleko. Bywają

kobiety, u których całe pożywienie zamienia się w ich własny tłuszcz. U takich nic nie zostaje na pokarm dla dziecka. Ale ta matka była wprost stworzona dla dzieci. Gdyby one tego potrzebowały, jej instynkt macierzyński sprawiłby, że jej własne ciało zostałoby bez litości ograbione.

Żniwa minęły i przyszła w końcu pora dzielenia się plonami z właścicielem ziemi. Człowiek ten jednak - choć należały do niego i wieś, i pola - nie pojawiał się nigdy w wiosce. Jako próżniak i bogacz, który odziedziczył wszystko po przodkach, mieszkał gdzieś daleko w wielkim mieście. A do wioski przysyłał pośrednika. Tej jesieni miał się pojawić nowy pośrednik, gdyż poprzedni, wzbogaciwszy się przez dwadzieścia lat pracy, opuścił bogacza w zeszłym roku. Zatem to ten nowy odwiedzał teraz w wiosce wszystkich po kolei. Matka czekała na niego przed wejściem do domu, a wewnątrz, na klepisku, znajdowała się góra ziarna. Pośrednik okazał się mieszczaninem w każdym calu. Był wysoki i gładki w obojętności, nosił szatę z szarego jedwabiu, a na nogach skórzane buty. Jego duża dłoń o miękkiej skórze wędrowała często ku wygolonej wardze, a kiedy się poruszał, bił od niego jakiś nieokreślony zapach. Matka ociągała się trochę, gdy wszedł i zawołał:

- Gdzie pan tego domu?!

Pozwoliła starej kobiecie odpowiedzieć na to pytanie.

- Mój syn pracuje teraz w mieście - zaszczebiotała tamta - a tu na roli zostałyśmy tylko my dwie.

Kobieta posłała wtedy chłopca po kuzyna, a sama, pozdrowiwszy pośrednika, podała mu w milczeniu herbatę. Nic nie mówiła, ale czuła, że mężczyzna patrzy na nią jakimś takim rozpalonym wzrokiem. Spoglądał to na jej białe stopy, to znowu na twarz. Kuzyn, zjawiwszy się wreszcie, odmierzył za nią ziarno. Był człowiekiem tak uczciwym, że nie musiała sprawdzać wagi. Stała więc obok w milczeniu, a on przekazał pośrednikowi to, co należało. Jednak patrzyła na podział ziarna z ciężkim sercem, bo jak każdy rolnik,



z trudem przyjmowała utratę części owoców swojej ciężkiej pracy. Tym bardziej, że przechodziły w ręce takiego gładkiego mieszcza. Jak każdy rolnik, choć ze smutkiem, oddawała jednak, co było trzeba, bo wiedziała, że w przeciwnym razie będzie musiała ponieść karę. Oprócz ziarna należnego posiadaczowi ziemskiemu musiała też dołożyć jedną czy dwie tłuście sztuki drobiu, miarkę ryżu albo też parę jajek czy nawet kilka sztuk srebra - jako zapłatę za fatygę dla pośrednika.

Mało tego, po zdaniu zboża ze wszystkich gospodarstw, wieś urządzała dla pośrednika ucztę, na którą każdy przygotowywał jedno danie. Dlatego matka, choć opuszczona przez męża, schwyciła ptaka, zabiła go i przygotowała z niego potrawę na ten wspólny posiłek. Dusiła go tak wolno i długo, że choć skóra na nim pozostała nienaruszona, mięso było tak miękkie, że pod dotknięciem palców dosłownie się rozpadało. Ptak gotował się przez wiele godzin, a jego zapach okazał się ponad wytrzymałość dzieci. Kręciły się przez cały ten czas po kuchni, aż wreszcie chłopiec zawołał:

- Jaka szkoda, że ten ptak nie jest dla nas! Jaka szkoda, że nam nigdy nie wolno zjeść takiej potrawy!

Na to matka, zła i zmordowana, odpowiedziała:

- A kto jada mięso, oprócz bogaczy?

Jednak już po uczcie podeszła do stołu, przy którym przedtem siedzieli mężczyźni, wzięła jakąś kość z odrobiną zwisającej skóry oraz resztką mięsa i dała ją chłopcu do wyssania.

- Spiesz się - powiedziała - i rośnij duży, mój synu. A gdy już urośniesz, będziesz mógł jeść przy stole z mężczyznami.

- Czy myślisz, matko - zapytał chłopiec naiwnie - że mój ojciec mi na to pozwoli?

- Jeżeli go tu nie będzie - odrzekła na to matka cierpko - będziesz jadł za niego. Mogę cię o tym zapewnić.

Czas płynął. Nadeszła późna jesień. Dzieci już prawie zapomniały o tym, że w łóżku, oprócz nich samych i matki, sypiał jeszcze ojciec. Nawet stara kobieta rzadko pytała o syna, bo zimne wiatry sprawiły, że bolały ją kości. Za bardzo była zajęta wyszukiwaniem ciepłych słonecznych miejsc, w których znajdowała osłonę przed wiatrem. Narzekała też bezustannie, bo wiatry szalały, a także dlatego, że słońce z każdym rokiem wydawało jej się chłodniejsze.

Chłopiec wykonywał teraz drobne prace i uważał to za swój obowiązek. Codziennie, gdy nie miał innych rzeczy do zrobienia, prowadził bawołu na zbocza pagórków, gdzie zwierzę pasło się, skubiąc krótką trawę. Chłopiec kładł się wtedy na wznak na ziemi i leżał tak do wieczora. Czasami też schodził na dół, przysiadał na jakiejś mogile i siedział tam, łapiąc świerszcze albo wyplatając dla nich malutkie klatki z trawy. Później, wieczorem, po przyjściu do domu, wieszał klatki ze świerszczami przy drzwiach, a świerszcze grały ku uciesze maleństwa i dziewczynki.

Wkrótce jednak dzika trawa na wzgórzach zbrązowiała, rosnące pośród niej letnie kwiaty zrodziły nasiona, a boczne dróżki zrobiły się wesołe od fioletowych astrów i małych dzikich chryzantem, które są kwiatami jesieni. Nadszedł czas ścinania trawy i gromadzenia jej na opał na zimę. Chłopiec całymi dniami towarzyszył matce, która pracowała swoim sierpem o krótkiej ręczce. Zadaniem chłopca było kręcić powrósła i robić snopki. Rozglądając się wokół, dostrzegali na zboczach plamy błękitu. Byli to ludzie, którzy - podobnie jak oni - ścinali brązową trawę i wiązali ją w snopki. Wiezorami, gdy słońce już zaszło, a ze szczytów wzgórz spływało chłodne nocne powietrze, ludzie ci wracali do domów wąskimi, krętymi ścieżkami. Każdy dźwigał dwa wielkie snopy, zawieszony na drągu opartym na ramionach. Podobnie robiła matka, a także chłopiec, który niósł małe snopki.

Po powrocie do chaty matka najpierw chwyciła w ramiona maleństwo, by opróżniło jej piersi z mleka. Dziecko ssało łapczywie, bo

przez cały dzień jadło tylko kleik ryżowy. W takie zimne, wczesne noce stara kobieta wpelzała do łóżka, żeby się ogrzać. Robiła to skoro tylko słońce zaszło, a tymczasem dziewczynka wychodziła po omacku przed dom, oświetlony ostatnim przedwieczornym światłem. Światło to było blade, mimo to ona trochę się krzywiła. I siedziała tak uśmiechnięta na progu, ciesząc się z powrotu brata, bo teraz, kiedy musiał pracować, tęskniła za nim przez cały dzień.

W ten sposób minęła jesień i trzeba było rozpocząć orkę, a potem zasiać pszenicę. Matka uczyła chłopca, w jaki sposób ma rzucać w ziemię ziarno, korzystając z pomocy wiatru, jak obserwować wiatr i jak pilnować, żeby zbyt wiele ziarna nie padło w jednym miejscu, a w innym zbyt mało. A potem nadeszła zima, pszenica wykiełkowała i ziemia w polu skurczyła się i stwardniała w oczekiwaniu nadchodzącego chłodu. Matka wyciągnęła spod łóżka zimowe ubrania, wystawiła je na słońce i zaczęła przygotowywać do noszenia. Jednak ciężka praca, którą wykonywała latem i jesienią, tak zniszczyła jej ręce, że surowa bawełna zaczepiała się o szorstką skórę. A palce z powodu tej pracy - choć wciąż ładne i kształtne - stały się sztywne i twarde.

Mimo to dalej przygotowywała ubrania. Chcąc ogrzać się trochę w południowym słońcu i znaleźć osłonę przed wiatrem, siadała na progu. Najpierw zabrała się do ubrań starej kobiety, która najbardziej z nich wszystkich odczuwała dotknięcie chłodu. Kazała starszycie przez parę dni zostać w łóżku i zdjąć czerwony kaftan pogrzebowy. A potem między materiał a podszewkę tego przyodziewku włożyła bawełnianą watolinę, którą wyjęła stamtąd z nadejściem lata. Stara kobieta wygrzewała się tymczasem w łóżku, gawędząc wesoło.

- Czyja przeżyje to ubranie? - wołała. - Jak myślisz, moja synowo? Latem mam wrażenie, że tak, ale kiedy nadchodzi zima, nie jestem tego pewna, bo czuję, że ciepła strawa nie rozgrzewa mnie tak jak kiedyś.

A młodsza kobieta odpowiadała na to z roztargnieniem:

- Przeżyjecie, stara matko, mogę wam to przysiąc. Bo drugiej takiej staruchy, zdolnej przeżyć wszystkich, co idą w ostatnią podróż, na próżno by szukać.

Stara kobieta, ucieszona tym zapewnieniem, śmiała się gdaczącym śmiechem. Śmiała się długo, dopóki nie zaniosła się kaszlem.

- Tak, tak - wołała - wiem, że długowieczna ze mnie starucha! A potem kładła się zadowolona i czekała, aż synowa ociepli jej kaftan.

Następnie matka naprawiła ubranka dzieci. Jednak przyodziewek dziewczynki musiała oddać maleństwu, a przyodziewek chłopca - dziewczynce, bo wszyscy troje tak bardzo wyrośk w ciągu tego roku. Pojawiło się teraz pytanie, w czym będzie chodził najstarszy chłopiec. Ubranie musiało być przecież ciepłe. W domu był watowany kaftan mężczyzny, a także jego spodnie. Mężczyzna nosił te rzeczy przez trzy poprzednie zimy i zniszczył je trochę. Matka naprawiła więc kaftan przy nadgarstkach i przy szyi. Po czym zostało tylko rozdarcie z przodu, w miejscu, gdzie bawół, rzucając głową, zaczepił rogiem, kiedy mężczyzna, zły na zwierzę, szarpnął za powróż przeciągnięty przez jego nozdrza, sprawiając mu ogromny ból.

Matka nie miała jednak serca pociąć tych rzeczy, by dopasować je na chłopca. Zmartwiona, obracała ubranie w rękach, zastanawiając się, co uczynić.

- Co będzie - powiedziała wreszcie cicho do siebie - jeżeli on wróci? Nie, nie zrobię tego jeszcze.

Z drugiej jednak strony chłopcu potrzebne było zimowe ubranie. Czekał na nie, drżąc z zimna w porannym i wieczornym chłodzie. Więc matka w końcu zacisnęła zęby i dopasowała rzeczy ojca na małego. Kiedy on wróci, pocieszała się w duchu, możemy sprzedać trochę ryżu i kupić mu nowe rzeczy. Jeżeli zjawi się na nowy rok, ucieszy się z nowego ubrania. Nadeszła zima, a w miarę jak upływała, matka coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że mężczyzna wróci na nowy rok. Bo okres

tego święta to czas, gdy wszyscy mężczyźni, jeżeli żyją i nie są żebrakami, udają się do swoich rodzinnych domów.

- Mój mąż wróci do domu na święto, na nowy rok - mówiła więc matka, gdy ktoś ją o to zagadnął.

A stara kobieta powtarzała co najmniej dwadzieścia razy dziennie:

- Kiedy mój syn w nowy rok wróci do domu...

Dzieci także z nadzieją oczekiwały tego święta. A plotkarka, która na nowy rok przygotowała sobie piękne nowe pantofle, zagadywała z uśmiechem, ale złośliwie:

- To dziwne, że od twojego mężczyzny nie przyszedł żaden list. A wiem na pewno, że nie przyszedł, bo powiedział mi o tym pisarz.

Matka reagowała na to z udawanym spokojem.

- Tak - mówiła - ale ja kilka razy miałam od niego ustne wiadomości.

Dotarły do mnie za pośrednictwem kogoś, kto przechodził przez wioskę.

A zresztą my z mężem byliśmy zawsze przeciwnikami pisywania listów.

Ze względu na koszty, które się z tym wiążą, a także ze względu na to, że nigdy się nie wie, co wynajęty pisarz zapomniał napisać. No, a poza tym, kiedy list przychodzi, wie o tym zaraz cała ulica. Dlatego cieszę się bardzo, że mój mąż do mnie nie pisze.

W ten sposób matka zamknęła usta plotkarce, a potem po raz kolejny powtórzyła, że mężczyzna wróci na nowy rok. Zresztą naprawdę żywiła takie przekonanie. Zbkżało się już to święto i wszyscy w wiosce czynili do niego przygotowania. Ona również musiała się nimi zająć - nie tylko ze względu na starsze dzieci, którym trzeba było sprawić nowe buty i uprać ubrania, oraz na maleństwo, któremu należało uszyć nową czapkę, ale także z myślą o powrocie ich ojca. Kobieta napełniła zatem ryżem dwa duże kosze - zużywając w tym celu wszystko, co odważyła się zaoszczędzić - i zaniosiła je do miasta, gdzie ryż sprzedawała po cenie trochę niższej niż zwykły to czynić jej mąż. Jednak jak na kobietę targującą się z mężczyznami, poszło jej całkiem dobrze. Za uzyskane w ten sposób pieniądze kupiła dwie czerwone świece, kadzidło,

które postanowiła zapalić przed bogiem, a także przynoszące szczęście czerwone litery do naklejenia na narzędzia, na pług i na inne sprzęty rolnicze. Kupiła też trochę smalcu i cukru, bo zamierzała upiec słodkie świąteczne ciasteczka. Z tym, co jej pozostało, udała się do sklepu bławatnego, gdzie nabyła jakieś dwadzieścia stóp porządnej niebieskiej bawełny oraz do innego sklepu - po pięć funtów zgręplowanej bawełnianej waty na wypełnienie pikowań.

Była teraz naprawdę przekonana, że mężczyzna wróci. Dlatego wzięła nożyczki i bardzo starannie skroiła z tego porządnego materiału kaftan i spodnie. A potem uszyła je i wywatowała. Wykończyła wszystko do ostatniego guzika, a następnie odłożyła ubranie, które miało czekać, aż mężczyzna się zjawi. I wszyscy dzięki temu mieli wrażenie, że powrót mężczyzny jest znacznie bliższy.

Kiedy jednak dzień święta wreszcie zaświtał, mężczyzna się nie pojawił. Przez cały ten dzień czekali na niego w czystych ubraniach. Dzieci w wielkim strachu, żeby się nie zabrudzić, stara kobieta starając się nie splamić przyodziewku jedzeniem, a matka z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

- Dzień wciąż jeszcze się nie skończył - powtarzała raz po raz - a on może się pojawić przed zmrokiem.

Co jakiś czas odwiedzał ich ktoś spośród tych, którzy przyjaźniąc się z mężczyzną, pragnęli złożyć mu życzenia pomyślności. Matka nalegała, by każdy z tych mężczyzn napił się herbaty i zjadł trochę ciasteczek, a kiedy goście pytali o jej męża, odpowiadała:

- Naprawdę jest możliwe, że mój mąż dzisiaj wróci. Jednak z drugiej strony prawdopodobne jest także, że jego pan nie mógł dać mu odpowiednio długiego urlopu, choć, z tego co słyszałam, lubi go bardzo i polega na nim.

Na drugi dzień, gdy matkę odwiedziły kobiety, z uśmiechem i udając spokój, powtórzyła kłamstwo o panu i urlopie, a potem dodała:

- Ponieważ nie zjawił się na święta, z pewnością dostanę od niego wkrótce wiadomość. I wtedy się wyjaśni, dlaczego tak się stało. Tak więc dni mijały, kobieta spokojnie powtarzała swoje kłamstwa, a dzieci i staruszka wierzyły w każde jej słowo.

Jednak nocą, gdy było ciemno, ogarniała ją wielka gorycz. Matka płakała wtedy cicho. Po części dlatego, że mężczyzna odszedł, a po części dlatego, że swoim odejściem naraził ją na wielki wstyd. A czasami także z powodu samotności i ciężkiego życia, jakie wiodła jako opuszczona kobieta, od której zależał teraz byt całej rodziny.

Pewnego razu, gdy po raz kolejny zastanawiała się nad tym wszystkim, przyszło jej do głowy, że mogłaby przynajmniej oszczędzić sobie wstydu. Tak, kiedy pomyślała o pieniądzach, które wydała na nowy przydzwiek dla mężczyzny, i o tym, że on nie wrócił, a także o upieczonych przez siebie ciasteczkach i o kadzidle, które zapaliła, by się za niego pomodkć, a potem jeszcze o chytrych spojrzeniach plotkarki, o wszystkich szeptach i aluzjach, o pełnych wątpliwości spojrzeniach, które posyłał jej nawet dobry kuzyn, gdy czas upływał, a mężczyzna wciąż się nie pojawiał - wydało jej się, że musi, po prostu musi oszczędzić sobie wstydu.

Otarła więc łzy i zaczęła intensywnie myśleć. A oto co wymyśliła. Po pierwsze, zaniósła cały zaoszczędzony ryż i całą odłożoną słomę do miasta, i wszystko to sprzedała. Po drugie, trzymając już w dłoni srebro, poprosiła o bardzo dobry papier, po czym udała się z nim do pisarza listów. Tak, udała się do tego obcego człowieka mieszkającego w nieznanym jej mieście, człowieka, który siedział w budce przy koniu cjańskiej świątyni. Sama także usiadła na stojącej tuż obok ławeczce i odezwała się w te słowa:

- Mam do napisania list w imieniu szwagra, który pracuje i nie ma czasu, by wrócić choćby na krótko do domu. Zatem napiszcie to, co wam podyktuję. Bo szwagier jest chory i leży w łóżku, a ja dyktuję za niego. Słyszając to, stary człowiek wyjął okulary, przestał przyglądać się przechodniom, wziął arkusz nowego papieru, zanurzył pędzelek w tuszu, popatrzył na kobietę i powiedział:

- A więc dyktujcie, kobieto, tylko najpierw powiedzcie, jak nazywa się i gdzie mieszka żona waszego szwagra, a także jak wy sama macie na imię. Wtedy matka odrzekła:

- Mój szwagier polecił mi napisać Ust do swojej żony. Mieszka on w mieście, z którego właśnie przybywam, a moje imię nie ma znaczenia. A potem za szwagra podała swego męża, a odległemu miastu nadała nazwę miasta położonego niedaleko od swego rodzinnego domu.

Natomiast żonę szwagra nazwała własnym imieniem, dodając jeszcze nazwę własnej wioski.

- A oto, co on ma do powiedzenia swojej żonie - kontynuowała. - Piszcie: „Pracuję ciężko, mam mieszkanie, jem to, co lubię, a mój pan jest dobry. Moje obowiązki ograniczają się do tego, że przynoszę mu fajkę, podaję herbatę i noszę wiadomości od niego do jego przyjaciół. Dostaję za to strawę, a dodatkowo trzy sztuki srebra miesięcznie, z których to zarobków oszczędziłem już dziesięć sztuk. Zamieniłem je na pieniądze papierowe, które w dzisiejszych czasach są równie dobre jak srebrne monety. Przeznacz je dla mojej matki, jak również dla dzieci i dla siebie”. Wypowiedziawszy to, zamilkła i siedząc na swojej ławce, czekała. A tymczasem stary człowiek pisał powoli i bardzo długo.

- Czy to wszystko? - zapytał w końcu.

- Nie - odrzekła kobieta. - Mam więcej do przekazania. Napiszcie: „Nie mogłem przybyć do domu na nowy rok, bo mój pan lubi mnie tak bardzo, że nie chciał mnie od siebie puścić. Zamierzam jednak zjawić się w przyszłe święta. Jeżeli okaże się to niemożliwe, to przyślę ci moje zarobki, bo mogę to zrobić raz do roku. Przyślę tyle, ile uda mi się zaoszczędzić”.

Także tym razem stary człowiek dokładnie wszystko zapisał, a kobieta, po krótkim namyśle, dodała:

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą mam do powiedzenia. Zapiszcie: „Powiedz mojej starej matce, że gdy się już zjawię, przyniosę ze sobą



czerwony materiał na jej trzeci śmiertelny przydziewek. Materiał najlepszy i najmocniejszy, jaki tylko uda mi się kupić". Na tym list się kończył. Stary człowiek podpisał go, zapieczętował i zaadresował, a następnie splunął na znaczek, nakleił go i oznajmił, że wyśle list z pewnego znanego sobie miejsca. Kobieta zapłaciła i wróciła do domu. To właśnie wymyśliła, gdy zdołała otrzeć łzy.

## VI

Jakieś siedem dni później przez wioskę przechodził listonosz, który nosił listy w torbie na ramieniu. Była to rzecz całkiem nowa, znana od niedawna, bo w dawniejszych czasach nikt taki się tu nie pojawiał. W oczach mieszkańców wioski fakt, że listy nadchodzą w ten sposób, zakrawał na jakiś cud. Jednak one przychodziły. Teraz listonosz wyjął list z torby i patrząc na matkę, zapytał:

- Czy to wy jesteście żoną człowieka imieniem Li?

A matka zorientowała się od razu, że przyszedł list, który sama podyktowała, natychmiast więc potwierdziła. Wtedy listonosz oznajmił:

- Zatem to jest dla was. To list od waszego męża, gdziekolwiek on się znajduje. Widnieje bowiem na nim jego imię.

Matka wydała okrzyk udawanej radości.

- Przyszedł list od waszego syna! - zawołała zaraz do starej kobiety. - To list od waszego ojca! - dodała, zwracając się do dzieci.

Nie mogli się wprost doczekać, kiedy list zostanie odczytany. Zatem matka natychmiast się umyła, włożyła czysty kaftan i przygładziła włosy.

A uczyniwszy to wszystko, usłyszała głos starej kobiety.

- Przyszedł list od mojego syna! - zawołała staruszka do żony kuzyna, a potem roześmiała się i zaniósła kaszlem.

Śmiała się i kaszłała tak bardzo, kaszel tak wstrząsał jej starym, słabym ciałem, że żona kuzyna przybiegła przestraszona i zaczęła rozcierać jej plecy.

- Ależ stara matko, nie pozwólcie, by ta nowina was zabiła! - wołała przy tym z właściwą sobie serdecznością.

A gdy matka ukazała się w drzwiach, ubrana do wyjścia i z uśmiechem na twarzy, dodała równie serdecznie:

- Zobacz, ta stara zakrztusi się na śmierć z powodu listu, który przyszedł. Matka rozpromieniła się na to jeszcze bardziej.

- A przyszedł, przyszedł - potwierdziła. - Jest tutaj. To rzekłszy, pokazała list żonie kuzyna.

Gdy szła przez wioskę, otoczyli ją ludzie i zaczęli się wokół niej tłoczyć. Czynili to, bo chłopiec podążał za matką z szerokim uśmiechem i ogłaszał wszem i wobec, że przyszedł list od ojca. A za nim szła dziewczynka, uczepliwszy się jego kaftana. Ponieważ była wciąż zima i ludzie mieli mało roboty, wybiegli z chat i cisnęli się wokół nich zarówno mężczyźni, jak i kobiety. A potem wszyscy wpakowali się do chaty pisarza, który przyjął przybycie takiego tłumu z wielkim zdumieniem. Kiedy jednak usłyszał, o co chodzi, wziął list i przyjrzał mu się uważnie, obracając w rękach na wszystkie strony.

- Jest od waszego męża, kobieto - oznajmił po chwili z powagą.

- Domyśliłam się tego - odrzekła matka, a plotkarka znajdująca się w tłumie zawołała:

- A od kogóż innego mógłby być, dobry człowieku? Na co zgromadzony tłum gruchnął śmiechem.

Wtedy pisarz zaczął odczytywać list matce. Czynił to powoli. W izbie zapadła cisza, a matka, dzieci i cały zgromadzony tłum słuchali. Pisarz robił pauzę po każdym słowie, by wyjaśnić, co ono znaczy - po części dlatego, że słowa pisane różnią się od mówionych, a po części po to, by pokazać, jaki jest uczony. Matka słuchała tak, jakby nigdy przedtem nie znała z tego listu ani słowa. Kiwała głową po każdym z nich, a pisarz, doszedłszy do miejsca, gdzie była mowa o wysyłaniu pieniędzy, podniósł znacznie głos i zaczął mówić bardzo wyraźnie, bo rzecz była przecież nad wyraz doniosła.

- Ale czy w liście były pieniądze? - padło wtedy pytanie z tłumu.

Kobieta kiwnęła na to głową, rozwarła dłoń i pokazała papierowy banknot, na który zamieniła własne sztuki srebra. Podała go pisarzowi do obejrzenia, a on rzekł uroczyście i ściszym głosem:

- To prawda, widzę dziesiątkę. Więc banknot musi być wart tyle, ile dziesięć sztuk srebra.

Słyszając to, wszyscy zgromadzeni zapragnęli go obejrzeć. Okazało się, że jest na nim obrazek przedstawiający opasłego generała z bokobrodami.

- Ach, gosposiu, jak ten twój mąż się zmienił! - zawołała, widząc go, zdumiona plotkarka.

Myślała bowiem, że to portret męża kobiety. Co do pozostałych, to nikt z nich nie był pewny, że tak nie jest. Pewność miała tylko kobieta.

- To nie jest mój mąż, wiem o tym - oznajmiła.

- Więc musi to być jego pan - domyślił się pisarz.

Wszyscy ponownie przyjrzeni się portretowi. „Ach, jakież on bogaty i dobrze odżywiony” - wołali. A potem zamilkli, pełni podziwu, i patrzyli z zazdrością, jak matka składa cenny papier i ścisła go w dłoni.

Tak więc list został odczytany, a stary pisarz, skończywszy czytać, złożył go starannie.

- Naprawdę szczęśliwa z was żona, kobieto - powiedział z powagą. - Bo nie każda wieśniaczka ma męża, który idzie do wielkiego miasta i znajduje tam taką dobrą pracę i który na dodatek przysyła jej swoje zarobki, bo przecież w mieście jest mnóstwo miejsc, w których można wydać pieniądze.

Po tych słowach cały tłum rozstał się z szacunkiem, a kobieta wyszła z chaty pisarza i poszła do domu. Kroczyła dumnie, a za nią dzieci, dzieląc jej chwałę. Gdy dotarła do własnej chaty, opowiedziała o wszystkim starej matce, a ta śmiała się uradowana, zwłaszcza wtedy, gdy usłyszała o tym, co mężczyzna pisze o jej trzecim śmiertelnym przyrodziewku.

- Udał mi się syn! - zawołała swoim cienkim głosem, uderzając się z satysfakcją po kolanach. - Przysięgam, że drugiego takiego nie ma na świecie! A ten miejski materiał jest na pewno wspaniały.

Potem jednak spoważniała i dodała w zamyśleniu:

- Tak, córko, jeżeli materiał jest tak dobry jak mój syn nam pisze, to nie znoszę tej szaty przed śmiercią. Możliwe, że będzie to mój ostatni przyodziewek.

Chłopiec, widząc babkę w takim nastroju, także spoważniał.

- Nie, babko! - zawołał. - To nie będzie wasz ostatni przyodziewek!

Przeżykście przecież już dwa. Niemożkwe, żeby ten był trwalszy niż one! Staruszka dała się pocieszyć. Roześmiała się, słysząc tę rezolutną uwagę wnuka, po czym zagadnęła matkę:

- Bardzo dobrze, moja córko, pamiętasz jego słowa. Tak dobrze, jakbyś sama je przeczytała.

- Tak - potwierdziła spokojnie matka. - Zapamiętałam wszystko dokładnie.

Po czym weszła do chaty, stanęła za drzwiami i cicho zapłakała, a list i ten kawałek papieru wart tyle co dziesięć sztuk srebra wydały jej się popiołem. Gdy została sama, przestały mieć w jej oczach jakąkolwiek wartość.

Jednakże cały plan, który obmyśliła, powiódł się bardzo dobrze. Od tej pory nie było w wiosce nikogo, kto by z niej szydził, czy robił jakieś aluzje czyniące ją kobietą porzuconą. Przeciwnie, musiała teraz utwardzić serce w stosunku do ludzi, bo gdy się okazało, że ma papierowe pieniądze i że w przyszłym roku być może będzie ich miała więcej, niektórzy przychodzili do niej ukradkiem z prośbą o pożyczkę. Był wśród nich stary pisarz, a oprócz niego różni próżniacy, którzy przysyłali po pieniądze swoje żony. Matka zachodziła w głowę, jak im odmówić, bo przecież wszyscy w wiosce byli ze sobą spokrewnieni i wszyscy nosili nazwisko Li. Wymyślała więc różne wymówki, mówiła, że dłużna jest komuś pieniądze albo że je już wydała. Niektórzy, rozmawiając z nią na podwórku, podnosili głos. Plotkarka narzekała znacząco na wysokie ceny materiałów, a nawet igieł czy jedwabnych nici potrzebnych do wyrobu kwiatów ozdabiających buty. A inne zachodzące do niej kobiety mawiały bardzo donośnie:

- Takiej jak ty to dobrze. Masz szczęście, kobieto, bo nie musisz zastanawiać się trzy razy, zanim wydasz jakąś sumę. Twój mężczyzna zarabia i przysyła ci pieniądze, a ty masz wszystkiego w bród!

A znowu mężczyźni robili inne uwagi.

- Wątpię - mawiał niejeden - czy dobrze mieć w wiosce taką bogaczkę. Bo przecież mogą pojawić się rabusie. Tak, tak, rabusie ciągną do bogactwa jak muchy do miodu!

Aż w końcu matka doszła do wniosku, że ten kawałek papieru sprawia jej coraz większe kłopoty. Nie tylko dlatego, że niektórzy mężczyźni chcieli się mu przyjrzeć z bliska, ale także dlatego, że ona sama nie przywykła do papierowych pieniędzy. Zapałała w końcu nienawiścią do tego banknotu, bojąc się, że porwie go wiatr, że zjedzą go szczury albo że dzieci go znajdą i nie znając jego wartości, podrą dla zabawy. Codziennie sprawdzała, czy banknot jest bezpieczny w koszu z ryżem, w którym go schowała z obawy, że w skrytce w glinianej ścianie zbutwieje i będzie całkiem na nic. Wreszcie banknot stał się dla niej takim ciężarem, że pewnego dnia, widząc, że kuzyn wybiera się do miasta, podbiegła do niego i szepnęła:

- Proszę cię, zamień mi ten kawałek papieru na twarde srebro. Tak żebym mogła poczuć je w dłoni, bo papier, gdy go trzymam, wydaje mi się czymś całkiem znikomym.

Kuzyn wziął banknot, a ponieważ był człowiekiem prawym i uczciwym, zamienił go na srebro - na dobry, solidny kruszec. A potem, przyniósłszy monety kobiecie, postukał każdą z nich o drugą, chcąc udowodnić, że są prawdziwe. Matka, choć z pewnym ociąganiem, nie chcąc jednak wyjść na osobę skąpą, powiedziała wtedy do niego z wdzięcznością:

- Weź jedną sztukę za fatygę, kuzynie, a także za to, że pomogłeś mi w żniwach. Wiem przecież, że potrzebne ci są te pieniądze, zwłaszcza teraz, kiedy twoja żona chodzi znowu z wielkim brzuchem.

Kuzyn przez chwilę wpatrywał się w srebro, wstrzymując bezwiednie oddech i aż zamrugał oczami z wyraźną ochotą na przyjęcie mone

ty. Wzbraniał się jednak. I nie chcąc, by chciwość wzięła w nim górę, odrzekł, jak przystało na dobrego i uczciwego człowieka:

- Nie, nie, żono kuzyna, nie wezmę tej sztuki srebra. Bo przecież ty jesteś samotną kobietą, a ja mam dość sił, by pracować.

- No cóż, przyjdź więc, jeżeli będziesz potrzebował pożyczki - odrzekła na to matka i szybko schowała monety.

Doskonale bowiem wiedziała, że żaden człowiek, patrząc na nie przez dłuższy czas, nie oprze się chęci ich posiadania.

Tej nocy, gdy stara kobieta i dzieci już spały, matka wstała, wzięła świecę, motyką wykopała w twardym klepisku otwór i schowała tam dziesięć sztuk srebra. Najpierw jednak - nie chcąc, by zanieczyściła je ziemia - zawinęła wszystkie w kawałek szmaty. Bawół odwrócił się i zmierzył ją tępym spojrzeniem swoich wielkich oczu. Kury pod łóżkiem także się obudziły i gdacząc z cicha i kręcąc łebkami, patrzyły na nią zdziwione. Zdumiał je bowiem ten niezwykły ruch w środku nocy.

Kobieta zasypała otwór, po czym podeptała nogami ziemię, by ją dobrze ubić i zamaskować kryjówkę. A następnie, w całkowitych ciemnościach, położyła się z powrotem do łóżka.

I rzecz zadziwiająca - oto matka, leżąc w stanie pół snu, pół czuwania, prawie zapomniała, że srebro, które właśnie zakopała w ziemi, należało do niej, że pochodziło z tego, co własnymi rękami zebrała z pola, schylając się i mozoląc nad każdą garścią ziarna. Tak, zapomniała o tym i wydało jej się, że te pieniądze naprawdę przysłał jej mężczyzna, że stały się one jedynie dodatkiem do jej własnego zarobku.

- W ten sposób mój mąż zwraca mi to, co zabrał, żeby sobie kupić materiał na błękitną szatę - powiedziała sobie w duchu. - I to z nawiązką, bo pieniędzy jest więcej.

Tak pomyślawszy, wybaczyła mu wszystko, co uczynił, i zasnęła. Od tego czasu za każdym razem, gdy ktoś chciał obejrzeć banknot, odpowiadała spokojnie:

- Zmieniłam go na zwykłe srebro, a potem pieniądze wydałam. Plotkarka, usłyszawszy od niej te słowa, zdumiała się.

- Wydałaś wszystko? - zawołała.

- Tak - potwierdziła matka z uśmiechem. - Wydałam wszystko na różne rzeczy. Kupiłam parę nowych garnków i materiał. Zresztą dlaczego nie, skoro za jakiś czas dostanę więcej?

Po czym weszła do chaty i wyniosła nowe ubranie, które uszyła dla mężczyzny z myślą o tym, że ten wróci do domu.

- O, taki materiał kupiłam - powiedziała.

A wszyscy gapili się na ubranie, macali materia! i wołali, że jest niezwykle porządny i mocny.

- Jesteś naprawdę hardzo dobrą kobietą - odezwała się plotkarka. - Wydałaś te pieniądze na rzeczy dla niego, a nie kupiłaś nic dla siebie ani nawet dla dzieci.

- Ale przecież my z mężem ogromnie się kochamy - odrzekła stanowczo matka. - Zresztą wydałam też trochę na siebie, bo zaniósłam pewną ilość srebra jubilerowi i obstałowałam sobie kolczyki i pierścionek. Zrobiłam tak, bo mój mąż zawsze chciał mi podarować takie ozdoby.

- Przysięgam, że mój syn jest taki, jak ona mówi - potwierdziła stara kobieta, która słyszała te słowa. - Kupi też dla mnie trzeci śmiertelny przyodziewek, i to z najlepszego materiału, jaki można znaleźć w mieście. Naprawdę dobry z niego syn, moi sąsiedzi. Życzę każdemu z was takiego, zwłaszcza tobie, żono kuzyna, bo widzę, że brzuch masz wielki jak dojrzały melon!

Gospodynie roześmiały się, a potem, jedna po drugiej, poszły sobie, zapadał już bowiem zmierzch. A matka, kiedy już została sama, aż jęknęła w duchu. Bo miała przecież świadomość, jak bardzo nazmyślała.

- Po co to zrobiłam? - zganiła samą siebie. - Czy nie mogłam zadowolić się tym, co opowiadałam wcześniej? Skąd wezmę pieniądze na te błyskotki? A muszę je znaleźć, żeby potwierdzić, że mówiłam prawdę. Tu westchnęła ciężko na myśl o zmartwieniu, które sama na siebie sprowadziła.



## VII

Zima minęła i ponownie nadeszła wiosna, zatem matka musiała wziąć się do ciężkiej roboty na roli. Przyuczała też do pracy chłopca, który umiał już powodować bawołem. Pchać pługa nie mógł, bo był jeszcze za mały i zbyt lekki. Mógł jednak biec za zwierzęciem i okładać je po jego ciemnoszarej skórze, która była tak gruba, że bawół nic nie czuł. Matka przyczepiła więc mały kamyk do kawałka bambusa i nim kazała chłopcu chłostać zwierzę, by je pobudzić do działania.

Dziewczynka także miała teraz swoje drobne obowiązki, gdyż stara kobieta nie mogła już pracować tak dużo jak przedtem. Łatwo też o wszystkim zapominała. Właściwie pamiętała jedynie to, że jest głodna lub spragniona. Ruszała się z miejsca tylko wtedy, kiedy młodszy chłopiec zapłakał albo gdy czegoś chciał, bo kochała bardzo swego najmniejszego wnuka. Dlatego matka nauczyła dziewczynkę płukać ryż w stawie. Dziewczynka wykonywała tę pracę, zanim matka poszła w pole, gdyż trzeba było pilnować, żeby mała, widząc słabo, nie wpadła do wody i się nie utopiła. Nauczyła ją także gotować ryż przed ich powrotem z pola, choć dziewczynka była tak niska, że prawie nie mogła dosięgnąć pokrywki kociołka. Następnie pokazała jej, jak się rozpala i podsycy ogień, z czym mała także radziła sobie doskonale. Cierpliwie znosiła to, że dym gryzie ją w oczy, i nie narzekała wcale. Rozumiała bowiem, że teraz w domu brakuje ojca, a matka musi sama pracować na nich wszystkich. Kiedy zrobiła już wszystko, co do niej należało, wchodziła do chaty, gdzie było ciemno

nawet w południe, siadała i kawałkiem starego płótna ocierała sobie załzawione oczy. Tak, dziewczynka znosiła wszystkie swe trudy najlepiej, jak potrafiła.

Z nadejściem wiosny maleństwo mogło już chodzić. Zimą okutane w watowane ubranko, nawet tego nie próbowało. Bo wtedy, ilekroć upadło, nie było w stanie się podnieść i musiało czekać, aż ktoś, kto właśnie przechodził, postawi je na nogi. Teraz natomiast jadło do woli i miało się doskonale. Jednak matka pozwalała mu nadal ssać pierś, ponieważ jej samej dostarczało to jakiegoś nieokreślonego pocieszenia. Więc choć właściwie brakowało jej już mleka, chciała żeby dziecko tuliło się do niej, biegło na jej spotkanie, gdy wracała wieczorem do domu, i wołało o pokarm. To sprawiało, że jej serce wypełniała jakaś niema słodycz. Wkrótce wczesna wiosna przerodziła się w łagodną wiosnę w pełni. Matka wraz z chłopcem pracowała ciężko od rana do wieczora. Pola zostały jakoś zaorane, choć bruzdy nie były tak proste i głębokie jak za czasów mężczyzny. On to bowiem zajmował się kiedyś orką, podczas gdy kobieta siała. Matka i syn zasadzili już też fasolę, a także młodą kapustę i rzodkiewkę, przeznaczone na sprzedaż. Wkrótce na rzepaku pojawiły się drobne pączki, a potem żółtożółte kwiaty. Kobieta harowała tak, że prawie zapomniała o mężu. Nocą, śmiertelnie zmordowana, spała tak mocno, że rano wstawała z wielkim trudem.

Ale przyszedł taki dzień, w którym przypomniała sobie mężczyznę. Dla żony kuzyna nastąpiła bowiem godzina porodu. Posłała więc jedno ze swoich dzieci po matkę, która była jej przyjaciółką i najbliższą sąsiadką. Dziecko, mała dziewczynka, pobiegło na pole, gdzie pracowała matka i gdzie właśnie słodki wiosenny wiatr chłodził jej zroszoną potem skroń, trzepocząc równocześnie luźnym kaftanem.

- Ciotko - zawołała dziewczynka - dobra ciotko, na moją matkę przyszła jej godzina! Prosi, żebyś się pospieszyła, bo wiesz, jak szyb

ko to u niej idzie. Siedzi już gotowa i czeka, żebyś schwytała dziecko!  
Na to matka wyprostowała zgięte plecy i odrzekła:

- Tak, tak, powiedz jej, że już idę. A ty - zwróciła się do chłopca - weź motykę i podczas mojej nieobecności wypiel fasolę. Jeżeli żona kuzyna będzie i tym razem tak szybka jak zwykle, nie zajmie to więcej niż jakąś godzinę.

To powiedziawszy, podążyła za dziewczynką, która ruszyła biegiem. A gdy tak szła, przyszło jej do głowy, że dzień jest bardzo piękny. Mieszkając w tej doknie i każdego dnia pracując tak ciężko, nigdy nie podnosiła głowy, by rozejrzeć się po świecie, bo wszystkie jej myśli pochłaniała praca na rok i sprawy domowe. Teraz jednak podniosła głowę i zobaczyła wszystko, co ją otaczało. Wierzby stały obsypane dekkat-nymi, lśniącymi, zielonymi listkami, a rosnące gdzieniegdzie drzewka granatu płonęły szkarłatem. Wiatr, bardzo ciepły, nadciągał w nagłych porywach i zaraz przycichał. Matka, chłonąc to wszystko, nie wiedziała, co jest słodsze - czy głęboka i ciepła cisza w chwili, gdy wiatr cichnie, a znad zaoranych pól unosi się zapach ziemi, czy woń powietrza, gdy wiatr nadlatuje w porywach. Idąc tak wśród tych nagłych porywów przeplatanych ciszą, poczuła, że ciało ma silne i młode, i ogarnęła ją wielka tęsknota za mężczyzną.

Dotychczas prawie każdej wiosny rodziła. Tak, prawie każdej wiosny od czasu ślubu. Teraz jednak jej ciało było jałowe. Kiedyś rodzenie dzieci wydawało jej się czymś zwykłym, była to czynność, którą wciąż należało powtarzać. A teraz uświadomiła sobie, że rodzenie to radość, z której dotychczas nie zdawała sobie sprawy. Ogarnęło ją uczucie osamotnienia, które aż zabolalo. Poczula też ból w piersiach. Sprawila go myśl, że jeztek mężczyzna nie wróci, ona już nigdy nie będzie rodzić. I nagle tęsknota wyrwała się z niej niby okrzyk: „Och, wróć już, wróć do domu!”.

Wydało jej się, że usłyszała te słowa. Zatrzymała się więc, przestraszona, że krzyczy i że ten krzyk słyszy też mała dziewczynka.

Okazało się jednak, że nie wydała z siebie żadnego dźwięku, a gdy przystanąła, do jej uszu dobiegł tylko szum wiatru i wesoła piosenka kosa, śpiewającego wśród gałęzi drzewa granatu.

Kiedy weszła do ciemnej izby, zobaczyła okrągłą, nieurodziwą twarz żony kuzyna, ściągniętą teraz i pociemniałą od potu - twarz pozbawioną swej zwykłej skłonności do śmiechu i zwarzoną bólem. Na ten widok poczuła, że jej własne ciało jest czymś wypełnione i tak ciężkie, jak gdyby to ona sama miała rodzić. A kiedy dziecko się pojawiło, gdy je schwytała i otukła kawałkiem płótna i gdy - uczyniwszy to - mogła już wracać do roboty w polu, nie potrafiła tego zrobić. Nie, zamiast iść w pole, powlokła się do własnego domu.

- Co?! - zawołała na jej widok stara kobieta. - Czyżby już był czas najedzenie? Ale przecież ja jeszcze nie jestem głodna!

Staruszce natychmiast zawtórowała dziewczynka, która wybiegła z chaty, osłaniając oczy dłonią.

- Czy już czas, matko, żeby rozniecić ogień? A wtedy matka odrzekła bezbarwnie:

- Nie, nie. Jest jeszcze za wcześnie. Ale czuję się dzisiaj dziwnie zmęczona. Odpocznę trochę.

I powiedziawszy to, położyła się na łóżku.

Jednak odpoczywać nie była w stanie. Wstała więc wkrótce, wzięła maleństwo i przytuliła je porywczo do siebie. A potem dała mu piersi. Ale dziecko, zdumione taką niezwykłą gwałtownością i wcale niegłod-ne, tylko pełne ochoty do zabawy, wrywało się, odpychając pierś, i nie chciało ssać. Matkę ogarnął wtedy jakiś ponury, nagły gniew. Dała dziecku szturchańca i posadziła je energicznie na ziemi. A gdy mały podniósł krzyk, powiedziała:

- Zawsze chcesz ssać wtedy, kiedy ja nie chcę! A kiedy daję ci piersi, nie jesteś głodny!

I odczuła bardzo dziwną, pełną goryczy satysfakcję, widząc, że chłopiec płacze. Wtedy jednak krzyk podniosła stara kobieta, a dziewczynka przybiegła, chcąc podnieść brata z ziemi. Matka złagodniała.

Podniosła synka, otrzepała mu z kurzu ubranko, otarła mokrą od łez twarzyczkę i zawstydziała się bardzo, że w powodu własnego cierpienia sprawiła ból dziecku.

A ono od tej chwili nie garnęło się już do jej piersi. Tak więc została jej odebrana nawet ta drobna pociecha.

## VIII

Trzeba tu powiedzieć, że kobietę od najwcześniejszych lat cechowała stałość uczuć. Kobieta ta nie przypominała niektórych swoich rówieśniczek, skłonnych do wodzenia oczyma to za jednym młodzieńcem, to znów za drugim i taksujących wzrokiem każdego, który się nawinął. Nie, nie - jej serce przeżywało wszystko bardzo głęboko. No i była z gruntu nieśmiała. Dopóki nie wyszła za mąż, jej myśli nawet w samotności nie krążyły wokół mężczyzn. Gdy czasem, gdzieś w głębi jej duszy, budziły się dziwne tęsknoty, nie analizowała ich wcale, nie zastanawiała się też, skąd się wzięły. Zajmowała się wtedy jakąś pracą, znosząc te przyływy uczuć cierpliwie i w milczeniu. I dopiero gdy wyszła za mąż, poznała naturę mężczyzny. Jej dusza rozjaśniła się wówczas, a jej głęboka, niema tęsknota uległa oczyszczeniu. I było tak, że nawet wtedy, gdy łajała swojego mężczyznę, nawet wtedy, kiedy złościła się na niego, miała pewność, że bez niego żyć nie może. Jej skupiona, pełna niecierpliwości tęsknota, to pragnienie, które w niej mieszkało, kumulowało się nieraz niby chmury, które przynoszą ze sobą pioruny, i nawarstwiało się w gniew pozbawiony przyczyny, skierowany przeciwko mężczyźnie, którego kochała. Jednak ten gniew trwał tylko do chwili, gdy do siebie przywarli i gdy kobieta doznała owej pierwotnej, prostej satysfakcji, dzięki której wracał jej spokój.

Jednak mężczyzna jej nie wystarczał. Nie, nie, mężczyzna sam w sobie nie był dla niej wszystkim. Ta kobieta czuła bowiem zawsze, że musi, po prostu musi począć za jego sprawą. Począć i poczuć, jak dziecko tworzy się i żyje w jej wnętrzu. Dopiero wtedy doznawała

pełni siebie. A gdy dziecko poruszało się i rosło, ogarniało ją wielkie szczęście. Oszołomiona tym szczęściem, czuła się spełniona. W tym stanie, nawet wtedy gdy złościła się na dzieci - kręcące się pod nogami, płaczące, grymaszące i uparte, jak to dzieci - w tym stanie nawet w takich chwilach oznaki nowego życia wewnątrz własnego ciała przyprawiały ją o uczucie słodkiej błogości. Jadła wówczas, odpoczywała i spała tak, jakby jej ciało nie potrzebowało niczego więcej.

I zawsze uwielbiała niemowlęta. Tak, uwielbiała je, nawet w dawnych czasach, gdy była dziewczynką mieszkającą w domu własnego ojca - domu, który znajdował się w wiosce zaledwie odrobinę większej od tej położonej między wzgórzami. Ten dom był pełen małych dzieci, a ona, jako najstarsza z rodzeństwa, matkowała im wszystkim. Nieraz, zmęczona po całodziennym trudzie, krzyczała na maleństwa płaczące się pod nogami, jednak nawet to jej pokrzykiwanie płynęło z miłości.

Świadomość, że dzieci są takie małe, sprawiała zawsze, że miękło jej serce. Nieraz też podnosiła jakieś maleństwo - czy to spośród własnego rodzeństwa, czy z rodziny sąsiadów - i przytulała je do siebie. A potem, wdychając jego zapach, pieściła je, dopóki się nie zniecierpliwilo. Bo czuć małe dziecko przy sobie to była dla niej wielka, pełna namiętności przyjemność. Czerpała ją z każdego takiego kontaktu, nie mając pojęcia, skąd się ona bierze.

Tak, tak, jej serce rwało się do wszystkiego co młode i bezradne. Wiosną lubiła patrzeć, jak malutkie kurczęta i kaczątka wykluwają się ze skorupki. A kiedy kura porzuciła z jakiegoś powodu gniazdo i pozostawiła jajka na wpół wysiedziane, brała je i w zrobionej przez siebie torebce przytulała do własnego ciepłego ciała. A potem, spacerując lekkim krokiem i nosząc je ostrożnie, czekała, aż kurczęta się wyklują. Bywało też, że z najwyższą troskliwością karmiła malutkie jedwabniki i cieszyła się, patrząc, jak rosną, jak z kawałeczka żywej nitki zmieniają się w duże tłuste stworzenia, jak potem rozsadzają kokony, wyłaniają się z nich jako ćmy i jak te ćmy łączą się w pary.

A czyniła to wszystko, odczuwając tajemnicze pragnienie i zadowolenie płynące z głębi własnego ciała.

Kiedyś, gdy całe jej rodzeństwo wyrosło już z wieku niemowlęctwa, a ona sama była prawie gotowa do zamążpójścia, zdarzyło się coś, co pobudziło ją tak, jak dotychczas nie pobudził jej żaden mężczyzna. Był mianowicie w wiosce pewien mały chłopiec, tak mały, że nie potrafił jeszcze chodzić - synek sąsiada, okrągły tłusciosek, którego jego starsza siostra przez całe lato nosiła nagiego w kawałku płótna na plecach. I czasami zdarzało się, że matka - bardzo wtedy jeszcze młoda i czekająca właśnie-na swój ślub - odwiązywała płótno i brała malca od dziewczynki, która zadowolona, że na chwilę pozbyła się ciężaru, biegła się zaraz bawić.

Stopniowo doszło do tego, że matka, będąca wtedy młodą dziewczyną, wciąż szukała tego chłopczyka o twarzy jak księżyc. I to właśnie ten chłopczyk, spośród wszystkich dzieci w wiosce, stał się jej największą radością, jej ulubieńcem. Nosiła go, wdychała zapach jego pulchnych rączek, cieszyła się jego okrągłe policzki i malutkie różane usteczka; sadzała go też sobie okrzakiem na biodrze. A gdy jej własna matka wołała: „Co? Czy ty nie masz dosyć naszych własnych dzieci? Czy teraz, kiedy ja przestałam rodzić, musisz szukać dzieciaków obcych ludzi?“, odpowiadała ze śmiechem: „Mnie małe dzieci chyba nigdy nie zmęczą!“. Nawet się nie spostrzegła, kiedy to maleństwo obudziło w niej taką tęsknotę, jakiej nigdy dotąd nie знаła. Jak wszystkie kobiety, pragnęła mieć synów i zawsze sądziła, że rodzenie ich jest jej przyrodzonym prawem. Ale to dorodne dziecko o spokojnych oczach obudziło w niej coś więcej niż tylko pragnienie synów. I to, co z początku było zabawą z dzieckiem, stało się dla niej czymś więcej - stało się jakąś głęboką, ukrytą namiętnością, pasją, którą żywiła, sama nie wiedząc do czego. Mając dziecko w ramionach, zawsze szukała pretekstu, żeby zostać z nim sama. Wszyscy inni zajmowali się swoimi sprawami, w polu



czy w kuchni, siostra maleństwa oddalała się uszczęśliwiona, że może się bawić, a matka, będąca wówczas młodą dziewczyną, siedziała sama, tuląc do siebie piękne, zdrowe dziecko. Mruczała coś do niego i niań-czyła je w ramionach, czując przy sobie jego małe tłuste, okrągłe, bezradne ciało. Ponieważ malutki prawie jeszcze nie miał zębów, zdarzało się, że żuła trochę ryżu albo ciasta, a potem dawała mu pokarm z ust prosto do jego malutkich usteczek. A kiedy chłopczyk ssał go z namaszczeniem, zaskoczony tym, co nagle czuje w buzi, śmiała się głośno, sama nie wiedząc dlaczego. Bo przecież wcale nie było jej wesoło. Czuła w sobie bowiem jakąś zajadłą, głęboką, bolesną tęsknotę i nie miała pojęcia, jak ją zaspokoić.

Pewnego dnia, na krótko przed ślubem, siedziała z chłopczykiem w ramionach. Zrobiło się późno, było już prawie południe, a jego siostrzyczka jakoś się nie zjawiała, by zabrać go do ich matki, która go miała nakarmić. Dziecko kręciło się niespokojnie, było głodne. Nasza matka, będąca wówczas młodą dziewczyną - kierując się jakąś mroczną, dziką, niezrozumiałą dla siebie, lecz burzącą krew namiętnością - weszła do izby w swoim rodzinnym domu, zamknęła porządnie drzwi i drżącymi rękami rozpięła kaftan. A potem przysunęła dziecko do swojej młodej, drobnej piersi. Ono zaś uczepliło się jej łapczywie i zaczęło mocno ssać. Dziewczyna, stojąc, wpatrzyła się w niemowlęcą twarzyczkę i poczuła nagle taki niepokój, taką burzę krwi, o jakiej nigdy w życiu nie śniła. Do oczu napłynęły jej łzy. Zaczęła wydawać dziwne dźwięki - dźwięki urywane, niebędące słowami. Tulila do siebie naprężone ciało, nie mając pojęcia, co czuje. Była to bowiem jakaś mieszanina tęsknoty i namiętności, było to coś większego niż dziecko, które tulila, coś większego niż ona sama.

Lecz w następnej chwili wszystko się skończyło. Jej mała pierś okazała się pusta. Dziecko, rozczarowane, zapłakało. Dziewczyna zapięła kaftan i zawstydzona tym, co zrobiła, szybko wyszła z izby. Zaraz też zjawiała się siostra maleństwa, chwyciła je i pobiegła z nim do jego własnej matki.

Jednak dla młodej dziewczyny ta chwila okazała się chwilą przebudzenia, okazała się niemal czymś więcej niż małżeństwo. Mężczyzna bowiem, którego potem poślubiła, stał się jej ogromnie drogi nie ze względu na siebie samego, tylko dlatego, że dzięki niemu była matką. I to z tego właśnie powodu tak bardzo go kochała.

Tak, tak to z nią było we wczesnej młodości. Natomiast teraz, gdy jej ciało dojrzało, kiedy wiedziało już wszystko, kiedy nastał okres rozkwitu jej kobiecości - mężczyzna ją opuścił. I została samotną kobietą, a jej dzieci - rosnąc i pozostawiając daleko za sobą wiek niemowlęctwa - z dnia na dzień wydawały się coraz mniej jej dziećmi. Nie należały już do niej w takim stopniu jak kiedyś.

Starszy chłopiec wystrzekł w górę. Był teraz wysoki, szczupły i milczący. Mówił mało, ale wykonując ciężkie prace, wyteżał wszystkie siły. Gdy widział, że matka pod koniec dnia zamierza zanieść do domu prymitywny drewniany pług, chwycił go szybko i zakładał sobie na ramiona niczym jarzmo, a potem szedł po wybojach, zataczając się z wysiłku. Często zdarzało się, że matka, zmordowana pracą, pozwalała mu się wyręczyć. Teraz to on ciągnął wodę ze studni i karmił bawołu, to on zajmował się większością robót w polu, tak jakby był dorosłym mężczyzną - własnym ojcem.

Jednak czyniąc to wszystko, w jakiś tajemniczy sposób odrywał się od matki. Dzielił z nią ciężką harówkę nader obowiązkowo, często z uporem, tymczasem jej się zdawało, że oddzielił się od jej ciała w sposób, którego nie była w stanie pojąć. Nie lubił być blisko niej, stawał z daleka, tak jakby wydzielala jakiś nieznośny dla niego zapach. Często kłócili się o błahostki, na przykład o sposób trzymania przez niego motyki albo o różne inne równie drobne sprawy. A równocześnie oboje wiedzieli, że to nie one stanowią prawdziwą przyczynę ich kłótni. Stanowiło ją bowiem coś znacznie głębszego, coś czego żadne z nich nie pojmowało.

Dziewczynka także nie sprawiała matce radości. Ze swymi chorymi oczami była na wpół ślepa. Mimo to okazała się dzieckiem bardzo cierpliwym i nie uskarżała się teraz na oczy bardziej niż kiedyś. A ponieważ młodszy braciszek umiał już chodzić i biegać, a także uwielbiał bawić się i awanturować z kolegami na ulicy, przychodziła czasami na pole, gdzie pracowała matka wraz z jej starszym bratem. Jednak nawet wtedy marna z niej okazywała się pomoc, zwłaszcza gdy sadzonki były jeszcze młode i słabe, bo widziała tak źle, że niszczyła je, zamiast wyrywać chwasty. A chłopiec, widząc to, wołał gniewnie:

- Idź do domu, dziewczyno, bo przysięgam, że nic tu po tobie! Idź i siedź tam ze swoją babką staruszką!

Dziewczynka, słysząc to, prostowała się z uśmiechem, choć czuła się głęboko dotknięta, a on wołał znowu:

- Patrz, gdzie stawiasz stopy, ty niezdaro! Depczesz przecież sadzonki! Wycofywała się więc szybko, bo duma nie pozwalała jej zostać na polu.

Matka natomiast czuła się rozdarta. Tak, była rozdarta między tymi dwojgiem: między synem a biedną, na wpół ślepą dziewczynką. Potrafiła bowiem wczuć się w serce każdego z nich. I w serce chłopca, zmęczonego zbyt ciężką na jego wiek harówką, i w serce dziewczynki, tak wytrwale znoszącej swoje cierpienie. Wzdychała więc i mówiła do oddalającej się córki:

- To prawda, moje biedactwo, nie na wiele się tu przydasz. Z takimi oczami nie możesz nawet szyć. Ale idź do domu i zamieć podłogę, przygotuj jedzenie, a potem rozpal ogień. Te rzeczy bowiem robisz dobrze. Popilnuj małego, uważaj, żeby nie wpadł do stawu, bo on jest najodważniejszy i najbardziej uparty z was trojga. A dla staruszki przygotuj czasami herbatę. To są twoje obowiązki i robiąc to wszystko, bardzo mi pomagasz. A ja, gdy będę miała trochę czasu, pójdę i poszukam jakiegoś balsamu na twoje oczy.

Pocieszała w ten sposób dziewczynkę. Jednak dziewczynka nie była wielką pociechą dla niej. Bo siedziała w milczeniu całymi godzinami

i wciąż ocierała te swoje mokre, obolałe powieki, uśmiechając się przy tym z bezbrzeżną cierpliwością. Patrząc na nią, słysząc, jak złości się starszy chłopiec, widząc, jak najmłodszy wyrywa się do zabawy, matka zastanawiała się często z goryczą, jak to jest, że wszyscy troje byli kiedyś tak ślicznymi i ukochanymi przez nią niemowlętami, a teraz przestali być dla niej pociechą.

Często też, spoglądając przez ulicę ku domowi kuzyna, czuła, że ogarniają wielka zazdrość. Bo w tamtym domu mieszkał dobry, uczciwy mąż, prosty, wiecznie uwalany ziemią mężczyzna, nie taki czysty piękniś jak jej własny. Nie taki czysty i nie taki piękny - ale codziennie wyruszający do pracy i wracający do domu na posiłek. I nocujący w domu jak przystało żonatemu mężczyźnie. W tamtym domu były też jego dzieci, a także ich matka, która spokojna, wesoła i zadowolona, siadywała ze swoim ostatnim maleństwem na kolanach. I siedziała tak ta kobieta prosta i pełna radości, wciąż mieląca językiem, ale życzliwa i dobra dla sąsiadów. Zdarzało się często, że przybiegała do matki, by podziękować się z nią kawałkiem mięsa albo dać dzieciom garść owoców, albo też podarować dziewczynce papierowy kwiatek do wpięcia we włosy. Był to dobry, kompletny, pełen zadowolonych ludzi dom, a matka patrzyła na niego z zazdrością, czując, że jej tęsknota rośnie - głęboka, mroczna i niezaspokojona.

## IX

Gdyby mogła zapomnieć o mężczyźnie i skończyć z nim w ten sposób, gdyby mężczyzna umarł, a ona zobaczyła jego nieruchome ciało pogrzebane w ziemi, gdyby odszedł w ten właśnie sposób na zawsze, gdyby mogła być wdową i wiedzieć, że jej życie z mężczyzną się skończyło - byłoby jej łatwiej. Gdybyż wioska wiedziała, że jest wdową, gdybyż jej wdowieństwo było prawdziwe i jednoznaczne, gdybyż przechodząc, słyszała, jak ludzie mówią: „Jaka dobra wdowa jest z tej żony zmarłego Li. On leży martwy i pogrzebany w ziemi, a ona jest mu wciąż wierna. Na cześć takiej kobiety w dawnych czasach wznoszono łuk z marmuru albo przynajmniej z kamienia”. Gdyby słyszała takie słowa, dodawałyby jej one siły i utwierdzały ją w konieczności bycia tym, kim widzieli ją inni. Dostosowałyby wtedy swoje serce do tego, co sądziliby o niej ludzie. I żyłaby jako kobieta lepsza niż w rzeczywistości, bo za taką uważaliby ją inni.

Ale przecież nie była wdową. Często też musiała odpowiadać na pytania tych, co chcieli wiedzieć, jak powodzi się jej mężowi, musiała kłamać z uśmiechem, a kłamiąc, wciąż sobie o nim przypominać. Ludzie wołali nieraz do niej:

- A, jesteś, gosposiu! Miałaś ostatnio kst albo ustną wiadomość od swego mężczyzny?

Wtedy ona, idąc na targ z jakimś ciężarem na ramieniu albo powoli wracając do domu z pustymi koszami, nierzadko śmiertelnie zmęczona, odpowiadała:

- Tak, doszła mnie ustna wieść, że mojemu mężowi powodzi się dobrze. Ale listu nie miałam, bo on pisuje tylko raz w roku.

A potem, kiedy znalazła się w domu, czuła, że te kłamstwa rozdzierają jej serce. Czasami też, pełna żalości i osamotniona, lamentowała w duchu:

- Jakaż smutna i samotna ze mnie kobieta! Jedyne mężczyzna, jakiego mam, to ten, którego muszę sama stworzyć z własnych słów i kłamstw!

W takich chwilach siadała i patrząc na drogę, myślała z ciężkim sercem: Gdyby przyszło mu do głowy wrócić do domu, jego błękitna szata byłaby widoczna z daleka, bo taka jest piękna i jaskrawa!

Za każdym razem, gdy w oddali coś zamajaczyło niebiesko, serce kobiety biło bardzo mocno. A kiedy nieco bliżej pojawił się mężczyzna ubrany na niebiesko, przerywała to, co właśnie robiła, i wstrzymywała oddech, osłaniając oczy przed słońcem. Jeżeli znajdowała się akurat w polu, motyka wypadła jej z ręki, a ona sama, wyteżając wzrok, patrzyła, czy jej mąż nie nadchodzi. Niestety, nie zdarzyło się nigdy, żeby to był on, bo niebieski był kolorem bardzo częstym i każdy mężczyzna, nawet biedny i przeciętny, mógł się ubrać w błękitną szatę.

Czasami kobieta złościła się na nieobecnego męża. Mówiła sobie wtedy, że on nie jest wart tego, by z jego powodu tak kłamać. Gdyby mężczyzna pojawił się w takiej chwili, wybuchnęłaby gniewem, skłęła-by go zdrowo. Tak, skłęłaby go, pomimo że kochała go nawet za to, że przysparza jej tyle cierpienia. Bywało też, że jej gniew trwał przez długie dni. Chodziła wtedy posepna, niecierpliwa w stosunku do dzieci i babki, psa odpychała gwałtownie motyką. I im bardziej się tak złościła, tym mocniej rozpaczała.

Pewnego razu w takiej właśnie chwili zdarzyło się, że przyszedł czas na podział ryżu po żniwach. Jeżeli nie liczyć pracy chłopca i jakichś dwóch dni, kiedy pomagał jej dobry kuzyn, kobieta zmagala się z robotą sama. Po czym nadszedł dzień, w którym trzeba było podzielić

wymłócone ziarno. I tego właśnie dnia tęsknota i gniew sprawiły, że serce kobiety stało się jak obnażona rana. Na cokolwiek spojrzała, czuła się tak, jakby spadał na nią bolesny cios. To, czego w zwykły dzień w ogóle nie zauważała, tego dnia widziała i odczuwała wyjątkowo wyraźnie.

Nękała ją ogromna tęsknota, a tuż obok niej - gdy dzielili ziarno - stał pośrednik posiadacza ziemskiego, mężczyzna rostry, odziany w szatę z szarego jedwabiu, o pełnej, kwadratowej twarzy, przystojny i śmiały. Zachowywał się tak jak w zeszłym roku - z pozorną uprzejmością, jednak jego oczy spoglądały uważnie spod ciężkich, na wpół przymkniętych powiek. Ze sposobu, w jaki się jej przyglądał, kobieta poznała, że znał już historię jej życia - zdawał sobie sprawę z tego, że jej mąż poszedł gdzieś daleko i nie wrócił do domu. Tak, w jej przepełnionym tęsknotą i gniewem sercu było dzisiaj coś, co przeczuwało, że on to wszystko wie. A na dodatek pośrednik był typem mężczyzny, który nie potrafi spojrzeć na opuszczoną przez męża kobietę i nie zastanowić się skrycie, jaka ona jest - jak ukształtowane jest jej serce i ciało. Tak, ten mężczyzna nosił w piersi serce psa

- pomimo potężnej sylwetki i kwadratowej, pełnej twarzy, a także donośnego głosu, któremu nadawał nutę tak szczerą. A poza tym rzeczywistość była taka, że - pomimo jego wymuszonej uprzejmości i swobodnej mowy - dzierżawcy go nienawidzili. I bali się go, bo był człowiekiem porywczym i potężnej postury, a na dodatek miał dwie szybkie pięści, które zaciskał i trzymał gotowe do ciosu, w razie gdyby mu się ktoś sprzeciwił. Tak właśnie było. Ten człowiek potrafił w pewnej chwili unieść ciężkie powieki i wtedy jego oczy okazywały się straszne - błyszczące, czarne i okrutne. Mimo to ludzie często śmiali się z jego słów, bo gdy bez szemrania wręczali mu przeznaczoną dla niego opłatę, on - by uspokoić sumienie - opowiadał różne dowcipy. Nie mogli się wtedy powstrzymać, śmiali się z tego, co mówił, choć równocześnie przeklinali go w duchu. Tak, śmiali się, bo on mimo wszystko potrafił ich sobie zjednać.

Tego dnia, zjawiwszy się u matki - w domu, w którym mieszkała sama, bez męża, o czym on dobrze wiedział - także trochę żartował, a potem serdecznym tonem zawołał do chłopca:

- Widzę, że twojej matce wcale nie jest potrzebny ojciec, skoro taki mężczyzna jak ty pomaga jej w polu!

A drobny, szczupły chłopiec, przybierając zawadiacką postawę, pochwalił się nieśmiało, choć równocześnie buńczucznie:

- O tak, ja robię swoją robotę.

Po czym splunął, tak jak to czynią mężczyźni, i biorąc się pod boki, poczuł się całkiem dorosły.

Pośrednik roześmiał się na to i spojrzał na matkę tak, jakby chciał bardzo życzliwie pośmiać się z nią z chłopaka. Więc ona nie miała wyjścia - musiała się uśmiechnąć. Podała mu też, jak nakazuje uprzejmość, czarbkę herbaty. A znalazłszy się blisko niego, nie mogła się powstrzymać - spojrzała w jego roześmiane oczy, sprawiając całkiem nieświadomie, że z jej własnych oczu wyjrzało wielkie, żarłoczne, zgłodniałe serce.

Mężczyzna spojrzał na nią i wyczuł bijący z niej żar, który zaraz udzielił się i jemu. Biorąc od matki czarbkę, z pozoru niechcący dotknął dłonią jej dłoni. A kobieta wyraźnie poczuła to dotknięcie i zrozumiała jego sens, który wnikał w jej krew niby płomień.

Odwróciła się zaraz, zawstydzona. Nie chciała słuchać tego, co podpowiadało jej własne serce. Nie, nie, zajęła się zaraz ziarnem. Lecz gdy to uczyniła, ogarnął ją nagle lęk przed samą sobą.

- Biegnij do kuzyna - zwróciła się po cichu do chłopca - i poproś, żeby tu zaraz przyszedł i mi pomógł.

Natomiast własnemu sercu, chcąc je uciszyć, powiedziała: Jeżeli on tu będzie, jeżeli nasz dobry kuzyn tu będzie...

Tymczasem chłopiec, dumny i uparty, zaczął protestować:

- Przecież ja tu jestem, matko. Ja ci pomogę. Po co ci jeszcze ktoś inny? Zobacz, masz tu mnie!

Pośrednik roześmiał się na to głośno, klepnął się dłonią po grubym udzie i korzystając z naiwności chłopaka, zawołał:



- To prawda, chłopcze, to prawda! I prawdą jest też to, że twojej matce niepotrzebny jest żaden inny mężczyzna!

Chłopca to bardzo ośmieliło, zatem gdy matka cichym głosem powiedziała: „Byłoby jednak lepiej, gdyby kuzyn był tutaj”, zorientował się, że ona czuje się niepewnie.

- Nie, matko - zawołał - nie pójdę po niego! Bo sam jestem wystarczająco dorosłym mężczyzną!

To rzekłszy, wziął wagę i zaczął napełniać ziarnem miarkę. Kobieta roześmiała się zmieszana i dała spokój prośbom. A prawda była taka, że czyniąc tak, szła za własnym wewnętrznym głosem.

Po niedługim czasie ziarno zostało podzielone. A wtedy kobieta ponownie napełniła miarkę, by dać trochę ziarna pośrednikowi. On jednak pańskim gestem odsunął miarkę od siebie, pogładził swoją długą, prostą górną wargę i patrząc płomiennym wzrokiem w twarz kobiety - bo nie było innych tego świadków poza dziećmi i staruszką kiwającą się w drzemce przy drzwiach - zatem patrząc prosto w twarz kobiety, powiedział:

- Nie, nie, nie wezmę tego! Jesteście teraz kobietą samotną, wasz mężczyzna opuścił dom i wszystko to pochodzi z waszej własnej pracy. Nie wezmę nic ponad to, co się należy mojemu panu, właścicielowi ziemi. Nie wezmę od was dodatkowej opłaty, gosposiu.

Kobieta, ogarnięta słodkim, obezwładniającym żarem, przestraszyła się nagle. A potem, bardzo zmieszana, próbowała go przekonać, by przyjął zapłatę. Jednak on się wzbraniał. Odsunął miarkę z ryżem, dotykając znowu jej dłoni. A potem wziął od niej miarkę i wysypał ziarno z powrotem do kosza, w którym je przechowywała.

Kobieta nie miała siły prosić ponownie. Czowała, że za gładką, uśmiechniętą twarzą tego człowieka, pod tą jego kosztowną, szarą szatą kryje się jakaś dziwna, sekretna siła. Czowała też, że ta siła wylała się z niego w blask jesiennego słońca, przylgnęła do niej i liże ją niby język ognia. Kobieta zamilkła i zwiesiła głowę jak służąca. Tymczasem on wysypał do kosza ziarno, skłonił się i poszedł swoją drogą, śmiejąc się,

kłaniając i gładząc wargę, nad którą nie rosły włosy. A ona nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Stała więc, milcząc, z brązowymi stopami w podartych butach, i ścisnęła dłonią rąbek połatanego, bawełnianego kaftana.

Kiedy pośrednik już się oddalił, podniosła głowę i popatrzyła w ślad za nim, a on w tej samej chwili obejrzał się i podchwycił jej spojrzenie. Po czym jeszcze raz uklonił się i roześmiał. No tak, odszedł w ten sposób, a ona potem po tysiąc razy żałowała, że odprowadziła go wzrokiem.

Wiedziała jednak, że powstrzymać się od tego było ponad jej siły.

- To dobry człowiek, matko! - zawołał chłopiec, bardzo zadowolony. -

Nie wziął zapłaty! Nigdy w życiu o takim pośredniku nie słyszałem!

Matka milczała. Po tym, co zaszło, wróciła do kuchni jakby we śnie.

Chłopiec podążył za nią.

- Czy nie sądzisz, matko - zapytał - że to dobry człowiek? Nic przecież nie wziął od ciebie.

A gdy ona wciąż milczała, krzyknął rozdrażniony:

- Matko! Matko!

Wtedy kobieta wzdrygnęła się i odrzekła z dziwnym pośpiechem:

- O... tak, synu... tak... A chłopak gadał dalej:

- To bardzo dobry człowiek, matko. Nie chciał od ciebie nic. Nic dosłownie. Bo wie, że teraz, kiedy ojciec odszedł, jesteś bardzo biedna.

Matka zamarła nagle, z pokrywką kociołka w dłoni. Wpatrzyła się w chłopca, a jej serce tak jakoś dziwnie zawstydzone, a równocześnie wypełnione słodką gorączką, powtórzyło jak echo: Czy on naprawdę nie chciał ode mnie niczego? Jednak głośno nic chłopcu nie odpowiedziała.

Mężczyzna także nie potrafił zapomnieć żaru, który wyczuł w kobiecie. Co raz znajdował jakiś pretekst i wracał do wioski - to by ustalić, czy zgadza się jakiś rachunek, to znowu by oznajmić, że ktoś odmierzył zbyt mało ziarna, co wzbudziło gniew posiadacza ziemskiego. Najczęściej zachodził wtedy do domu kuzyna, który sąsiedował z chatą kobiety. Dopytywał się o to czy owo, przynosił nasiona bawełny, która dobrze się udawała w innych stronach, przyprowadzał ze sobą człowieka, który dźwigał wapno do użyźnienia ziemi. Kuzyn, oszołomiony tak częstymi wizytami, od początku obawiał się, że pośrednik ma wobec niego jakieś złe zamiary. Po dłuższym czasie, gdy wciąż nie mógł się zorientować, o co chodzi, zaniepokoił się bardzo i powiedział do żony.:

- Najwyraźniej jego zamiary są naprawdę złe, skoro tak długo zwleka z ich ujawnieniem.

Obserwował pośrednika zdenerwowany, siedział, wpatrując się w niego i niecierpliwiając równocześnie, że nie może wrócić do pracy, ale także bał się uchybić człowiekowi, który, gdyby tylko zechciał, mógł mu przecież bardzo zaszkodzić.

I ani kuzyn, ani jego żona nie dostrzegli, że pośrednik szuka wzrokiem kobiety mieszkającej po drugiej stronie ulicy. Nie zauważyli, że gdy kobiety nie ma na progu, ociąga się z odejściem, a gdy jest - przesiaduje bez końca, patrząc na nią i pokrzykując głośno z udawaną dobroduszością:

- Nie, nie, gospodarzu, nie mam do załatwienia żadnej innej sprawy.

Jestem, jak wy, zwykłym człowiekiem. Bardzo lubię pobyć tak sobie na podwórzu u porządnych ludzi i rozkoszować się jesiennym słońcem.

I przez cały czas spoglądał w stronę kobiety, która siedziała u siebie, szyjąc lub przędąc.

Była to pora, gdy ziemia pogrąża się powoli w zimowym spokoju. Ziarno pszenicy wrzucone w suchą glebę czekało na deszcz, który pozwoli mu wykiełkować, a matka trochę odpoczywała. Siadując

w drzwiach, naprawiała zimowe ubrania i szyła nowe buty, bo dziewczynka nie mogła wykonywać tych prac z powodu słabego wzroku. Matka wygrzewała się w pełnym słońcu, nie słuchając prawie gadaniny starej kobiety, a także tego, co mówią do niej dzieci i czasami na w pół drzemała. Jej wargi były nieruchome, skóra ciepła i złocisto-brązowa od słońca, a włosy czarne i zdrowo lśniące, przygładzone, gdyż teraz miała czas, by czesać je codziennie. Nie skończyła jeszcze trzydziestu pięciu lat, lecz wyglądała młodziej.

Dobrze wiedziała, że mężczyzna siedzi po drugiej stronie wąskiej drogi, nie podnosiła jednak wzroku, a czasami, gdy jego spojrzenia stawały się zbyt natarczywe, wstawiała, wchodziła do chaty i nie opuszczała jej, dopóki sobie nie poszedł. Dobrze wiedziała, dlaczego wciąż się tu pojawia, zdawała też sobie sprawę, że patrzy na nią nie bez powodu. I nie potrafiła o nim zapomnieć.

Tak tak, nie mogła jakoś o nim zapomnieć przez całą zimę. W pewnym okresie zrobiło się tak zimno, że przestał się pojawiać, gdyż nawet powód, dla którego to robił, nie mógł go do tego skłonić. Kiedy spadnie śnieg i kiedy zaczną wiać silne suche wiatry z północnego zachodu, myślała wtedy kobieta, gdy stanie się to wszystko, może o nim zapomnę. Ale nie zapomniała.

Nadszedł ponownie nowy rok, zatem po raz kolejny udała się do miasta, sprzedała trochę ziarna, zamieniła srebro na papier i poszła szukać innego pisarza. I po raz kolejny kazała napisać list, który rzekomo miał przyjść od jej męża. Dzięki temu wioska jeszcze raz usłyszała nowiny i dowiedziała się, że przyszły dla niej pieniądze.

Jednak tym razem zazdrość ludzi, podobnie jak cała ich gadanina i wszystkie pochwały, nie uradowała serca kobiety. Tym razem okazało się, że nawet duma nie jest dla niej pocieszeniem. Z twarzą spokojną i niewzruszoną wysłuchiwała, jak pisarz odczytuje nowiny, po czym zabrała list do domu i tej samej nocy spaliła go w piecu razem z suchą trawą. A potem podeszła do stojącego w izbie stołu,

otworzyła małą szufladę i wyjęła trzy poprzednie listy - bo mężczyzny nie było już tak długo - i te listy także wrzuciła w płomień.

- Palisz listy mojego ojca? - zawołał ze zdumieniem chłopiec, który to zauważył.

- Tak - odrzekła matka ze śmiertelnym spokojem, wpatrując się w ogień.

- Ale skąd będziemy wiedzieć, gdzie on jest? - lamentował chłopiec.

- Ja to i tak wiem. Czy myślisz, że mogłabym zapomnieć? - odrzekła kobieta.

W ten sposób opróżniła swe serce.

Jednak czy serce może żyć puste? Wkrótce po tym zdarzeniu matka wybrała się pewnego dnia do miasta, żeby ponownie wymienić banknot na srebrne monety. Zrobiła to sama, bo teraz rzadko trudziła kuzyna.

Nauczyła się bowiem żyć i załatwiać wszystkie sprawy bez niczyjej pomocy. Kiedy trzymała już w ręku dziesięć monet i zamierzała wracać, zauważyła wysokiego mężczyznę. Stał na ulicy przy jakichś drzwiach i uśmiechał się, gładząc górną wargę. Był to pośrednik właściciela jej ziemi.

Nie widzieli się z tak bliska od poprzedniej jesieni, a ponieważ w pobliżu nie było nikogo znajomego, mężczyzna wpatrywał się w matkę śmiało i z uśmiechem.

- Co tu robicie, gosposiu? - zapytał po dłuższej chwili.

- Przyszłam tylko po to, żeby wymienić pieniądze...

Matka już miała powiedzieć: „... które przysłał mi mąż”, ale przerwała, bo słowa utknęły jej jakoś w gardle i nie potrafiła ich wymówić.

- A co zamierzacie dalej? - zapytał z nieznacznym uśmiechem, wpatrując się w nią natarczywie.

Matka spuściła głowę.

- Myślałam - odrzekła, próbując mówić obojętnym tonem - żeby pójść i kupić srebrną szpilkę do włosów, albo może taką posrebrzaną.

Bo ta, którą miałam dotychczas, była taka stara, że zrobiła się cienka i złamała mi się wczoraj.

Matka mówiła prawdę. Jej szpilka do włosów naprawdę się złamała. Powiedziała o tym pośrednikowi bez zastanowienia, a potem odwróciła się szybko, by odejść. Bo nawet przed nieznanymi ludźmi wstydziła się, że rozmawia z mężczyzną w mieście na ulicy. Tym bardziej że on wyróżniał się z tłumu wysokim wzrostem oraz bladą, pełną twarzą i przechodnie już zaczęli im się z zaciekawieniem przyglądać.

Matka ruszyła z miejsca, chcąc się go pozbyć, ale mężczyzna poszedł za nią. Wiedziała o tym. Wiedziała, że kiedy idzie tak ulicą - ona, kobieta stateczna i skromna - ma go wciąż za plecami. I obawiała się postąpić inaczej, niż mu powiedziała. Weszła zatem do niewielkiego sklepiku ze srebrem i poprosiła o pokazanie mosiężnych posrebrzanych szpilek. Następnie czekając, aż sprzedawca je przyniesie, bawiła się przez moment leżącymi na ladzie srebrnymi kolczykami. W tej samej chwili do sklepu wszedł pośrednik i udając, że jej nie zna, zapytał:

- Ile kosztują te kolczyki?

- Muszę je zważyć - odrzekł na to złotnik - żeby sprawdzić, ile zawierają srebra. A gdy już będę to wiedział, sprzedam je wam, panie, za uczciwą cenę.

Widząc, że mężczyzna, ubrany w jedwabie, bez wątplenia jest lepszym łodzikiem niż ta wieśniaczka w niebieskim bawełnianym kaftanie, odłożył na chwilę sprawę szpilki. Kobiecie nie pozostawało więc nic innego jak stać z głową odwróconą w bok i starać się unikać śmiałego spojrzenia pośrednika, który czekał teraz, aż kolczyki zostaną zważone na malutkiej wadze.

- Dwie i pół uncji - powiedział głośno złotnik, a potem zniżając głos, dodał przymilnie: - Jeżeli kupujecie panie te kolczyki dla swojej małżonki, to może dobrze by było dodać do nich jeszcze parę pierścionków? Mam tu dwa takie, które nadadzą się doskonale. Piękny

z nich będzie prezent, naprawdę piękny i taki, który uraduje serce / każdej kobiety.

Mężczyzna uśmiechnął się na to i odrzekł niedbale:

- Dodajcie je zatem.

A potem, śmiejąc się głośno, powiedział jeszcze:

- Ale te rzeczy nie są dla mojej żony, bo ona odumarła mnie sześć miesięcy temu.

Złotnik, bardzo zadowolony, że udało mu się ubić tak dobry interes, pospiesznie dołożył pierścionki.

- No to niech będą dla waszej nowej żony, panie - powiedział. Mężczyzna nic na to nie odrzekł. Stał tylko i gładząc górną wargę, patrzył przed siebie. I absolutnie nie zdradził się z tym, że zna obecną w sklepie wieśniaczkę. Gdy kolczyki i pierścionki zostały już zapakowane, wziął je i wyszedł. Tymczasem matka, kiedy się już odwrócił, westchnęła i popatrzyła za nim, zazdroszcząc tej, dla której kupił te rzeczy. Bo były to przecież błyskotki, o jakich marzyła od lat dziewczęcych. Wyglądały dokładnie tak jak te, o których opowiadała we wsi, a które rzekomo mąż kazał jej kupić za srebro, które wydała.

Ostatnio plotkarka zagadywała ją o nie bardzo często.

- Gdzie są te pierścionki i kolczyki, o których mówiłaś? - pytała. - Pokaż mi, jak wyglądają.

A wtedy matka, zachodząc w głowę, jak wybrnąć z tej sytuacji, odpowiadała: „Złotnik je właśnie robi”, albo: „Schowałam je w pewnym miejscu, a teraz nie pamiętam gdzie”. Wykrecała się w ten sposób wiele razy, aż wreszcie nie tak dawno, kiedy plotkarka zapytała ją złośliwie: „Czy nigdy ich jeszcze nie nosiłaś?”, odrzekła: „Nie miałam serca. Włożyłam je na siebie dopiero pierwszego dnia po powrocie męża”.

Kiedy po wyjściu pośrednika ze sklepu kupiła już szpilkę i wpięła ją sobie we włosy, ruszyła w drogę powrotną. A idąc, myślała o tych śkocz-nych zakupionych przez mężczyznę srebrnych ozdobach. Wzdychała

przy tym, dochodząc do wniosku, że nie miałyby serca wydać ciężko zapracowanego srebra na którekolwiek z tych cacek. Tym bardziej że teraz jej wygląd nikogo przecież nie obchodził. Mogła więc wyglądać sobie tak jak dotychczas. Pograżona w tych posępnych myślach, wyszła poza bramę miasta i znalazła się na wąskiej drodze, która z głównego gościńca skręcała w stronę wioski. I przyszło jej do głowy, że teraz jedynym pocieszeniem dostępnym jej ciału będzie gorąca strawa, którą przygotuje sobie w domu.

Nagle, w półmroku krótkiego zimowego wieczoru, zobaczyła mężczyznę. Jego czarna sylwetka wyłoniła się nieoczekiwanie z ciemności. Mężczyzna - a był to pośrednik - chwycił ją za przegub ręki swoją dużą miękką dłonią. Znajdowali się na drodze sami, w pobliżu nie było żywego ducha, ponieważ o tej porze wieśniacy już dawno ściągnęli do chat. Zrobiło się mroźno i poza domem pozostawał tylko ten, kto musiał. A jednak mężczyzna znalazł się na drodze. Był tam i trzymał kobietę za rękę. A ona, czując jego dłoń, stała bez ruchu, bo zupełnie straciła głowę. Mężczyzna wcisnął jej w rękę, którą przytrzymywał, małą paczuszkę zawierającą srebrne ozdoby. A potem zamknął jej dłoń na paczuszce i powiedział:

- Kupiłem je dla ciebie, kobieto. Dla ciebie je kupiłem. Są twoje. Po czym zniknął w cieniu miejskiego muru. A matka została sama, ze srebrnymi błyskotkami w dłoni.

- Aleja nie mogę... - zawołała po chwili, odzyskując nagle mowę i biegnąc za nim - nie mogę... naprawdę...

Jednak mężczyzny już nie było. Kobieta wbiegła przez bramę do miasta i zaczęła się rozglądać. Choć z różnych sklepów padało światło, nie dostrzegła nigdzie mężczyzny. Wstydziła się biec dalej. Wstydziła się go szukać. Wstydziła się spojrzeć mu w twarz, zwłaszcza w takim przyćmionym świetle. Przystanęła zatem, niepewna i zawstydzona, i stała długo. Tak długo, że wreszcie żołnierz strzegący bramy miejskiej zawołał:



- Posłuchajcie, dobra kobieto, jeżeli chcecie wyjść dziś przez tę bramę, to musicie już ruszać w drogę, bo nadeszła godzina, w której ją zamykamy. To ze względu na zagrożenie ze strony komunistów, bo w dzisiejszych czasach ci ludzie są najgorszymi złoczyńcami.

Kobieta usłuchała. Przekroczyła bramę i poszła swoją drogą. Minęła małe wzniesienie i zeszła w dolinę, wciskając jednocześnie błyskotki za pazuchę. Słońce już zaszło i pojawił się księżyc - ogromny, zimny i pełen blasku. Gdy kobieta dotarła do domu, dzieci leżały już w łóżku. Stara babka spała. Tylko starszy chłopiec jeszcze nie zasnął.

- Niepokoilem się o ciebie, matko - zawołał na jej widok. - Poszedłbym cię szukać, ale bałem się zostawić dzieci i babkę.

Matka, słysząc, jak ten mały chłopiec pozostałą dwójkę nazywa dziećmi, tak jakby sam był dorosłym mężczyzną, nie potrafiła się jednak uśmiechnąć. Odpowiedziała tylko:

- Tak, tak, synu, już jestem. Nareszcie dotarłam do domu. Bardzo jakoś zmęczona.

Po czym wzięła sobie trochę stawy i zjadła ją, nawet nie podgrzewając i przez cały czas trzymając błyskotki za pazuchą.

Posiliwszy się, spojrzała w stronę łóżka. W świetle świecy zauważyła, że starszy chłopiec zasnął. Zaciągnęła więc firanki, usiadła przy stole, wyjęła zza pazuchy małą paczuszkę i odwinęła miękki papier. Przyjrzała się uważnie temu, co miała przed sobą - pierścionkom, błyszczącym i białym, a także pięknym kolczykom. Do każdego z kolczyków przyczepione zostały trzy małe łańcuszki, a na końcu każdego łańcuszka wisiała ozdóbka. Kobieta wzięła je w swoje twarde palce i przyjrzała się im uważnie. Były to: mała rybka, dzwoneczek i mikroskopijna gwiazdka - wszystkie misternie wyrobione i cieszące oko. Kobieta nigdy dotąd nie trzymała czegoś tak ślicznego w swojej brązowej dłoni. Siedziała i przyglądała się przez chwilę błyskotkom, a potem z westchnieniem zapakowała je z powrotem w papier. Nie miała pojęcia, co z nimi zrobić, nie wiedziała, w jaki sposób zwrócić je mężczyźnie.

Weszła pod kołdrę i położyła się obok dzieci. Nie mogła jednak zasnąć. Choć była przemarznięta po marszu w wilgotnym nocnym chłodzie, policzki jej płonęły. Czuwała długo. A gdy wreszcie usnęła, sen miała bardzo lekki. I śniła o jakiejś dziwnej błyszczącej rzeczy, a także o tym, że czuje na sobie gorącą dłoń mężczyzny.

## X

Przez całą wiosnę nie spotkała ponownie mężczyzny, choć pamiętała go dobrze. Nadeszło wczesne lato, pszenica przybrała barwę bladego złota, a ryż zasiany przez kobietę wypuścił już młode zielone niby nefryt kielki. Rósł na małych poletkach tuż koło domu, gdzie staruszka mogła go strzec przed żarłocznymi ptakami, które uwielbiały jego delikatną miękkość. Przez całą wiosnę gorące serce kobiety leżało odłogiem.

A potem nadeszło wczesne lato i nastał pewien dzień - bezwietrzny i pełen łagodnego upału. Tego dnia cykady wykrzykiwały ostro swoje wyznania, a gdy przemiął dla nich szczyt miłości, ich głosy powoli i leniwie wsiąkały z powrotem w ciszę. Słońce wlewało swój żar w dolinę niby przezroczyste, ciepłe wino, gładkie, rozgrzane kamienie wioskowej uliczki oddawały upał powietrzu, a ono, wisząc nad nimi, aż migotało. Dzieci, zanurzone w tym powietrzu niby w wodzie, biegały i bawiły się radośnie, a ich gładkie ciała błyszcząły od potu.

Powietrze stało nieruchomo. Nie poruszał nim choćby najmniejszy powiew wiatru. Matka, siedząc na progu domu, pomyślała, że nigdy dotąd nie doświadczyła takiej nagłej duchoty i upału tak wczesnym latem. Młodszy chłopiec pobiegł na brzeg stawu i usiadł w wodzie. Zanosząc się od śmiechu, przywoływał towarzyszy zabawy. Natomiast starszy zdjął kaftan, podwinął wysoko spodnie, na głowę włożył stary, szeroki bambusowy kapelusz, który kiedyś należał do ojca, i poszedł w pole, gdzie właśnie wykiełkowała kukurydza. Dziewczynka tymczasem

schroniła się w mroku chaty i matka słyszała, jak tam wzdycha. Tylko stara kobieta była zachwycona upałem. Usiadła na słońcu, zsunęła z zaszuszonego ciała kaftan i pozwoliła, żeby słońce wnikało w jej stare kości i piersi obwisłe niby kawałki wysuszonej skóry.

- Powiem ci, córko, że latem nigdy nie bałam się śmierci! - zwróciła się do synowej. - Dla starej zaszuszonej baby, takiej jak ja, słońce jest bardzo dobre. Tak, tak, ono dla staruchy jest jak nowa krew i nowe kości!

Matka jednak nie była w stanie znieść tego zewnętrznego żaru. Bo trawił ją żar wewnętrzny. Tego dnia krew w jej żyłach zdawała się gotować i burzyć.

- Muszę pójść i podlać ryż, stara matko - powiedziała, wstając.

- Bo to dzisiejsze słońce bardzo wszystko wysusza.

Po czym wzięła motykę, puste wiadra na wodę przewiesiła przez ramiona i poszła wąską ścieżką do stawu położonego tuż nad poletkami ryżu. A idąc, odczuwała ulgę, bo powietrze, choć wciąż gorące, nie było tu takie duszne i martwe jak na uliczce we wsi.

Nie spotkała po drodze nikogo, bo było to popołudnie - godzina, w której mężczyźni odpoczywają. Wszyscy oni wcześniej pracowali w polu, teraz jednak każdy poszukał sobie cienia, bo upał stał się zbyt wielki, by cokolwiek robić. Położywszy się pod drzewami, mężczyźni spak, a twarz każdy z nich - dla osłony przed uprzykrzonymi muchami

- przykrył sobie kapeluszem. Tuż obok nich, z pospuszczanymi głowami, stały ich senne zwierzęta. Matka potrafiła znieść taki upał, który lał się z nieba, byle nie był on zamknięty między murami. A co ważniejsze, nie krążył w jej własnych żyłach.

Wzięła się więc do pracy. Przyniesioną z domu motyką wycięła małą przerwę w górnej krawędzi ryżowego poletka, a potem wykopała mały rowek prowadzący do stawu. Następnie przeszła nad staw, zaczerpnęła wody do dwóch wiader, które przyniosła tu na drągu, i wylała wodę do wykopanego przez siebie rowka. Powtarzała tę czynność wiele razy, obserwując ziemię, która robiła się ciemna i wilgotna.

I zdawało jej się przy tym, że poi w ten sposób jakieś spragnione wody żywe stworzenie, dając mu życie.

Po pewnym czasie, zmęczona robotą, wyprostowała plecy, postawiła wiadra na ziemi i usiadła na brzegu stawu, żeby odpocząć. Jej wzrok pobiegł na północ, w stronę wioski. Kiedy spojrzała na własny dom, zauważyła, że przystanął przed nim jakiś mężczyzna i pyta o coś staruszkę. Następnie człowiek ten odwrócił się i ruszył w jej kierunku. Przyjrzała mu się uważnie i poznała, że jest to pośrednik posiadacza ziemskiego. Kiedy się zbliżył, przypomniała sobie, że wciąż ma w domu kupione przez niego błyskotki. Zwiesiła więc głowę, nie mając pojęcia, jak zacząć o tym mówić. Wiedziała bowiem, że powinna je zwrócić. Nie miała jednak odwagi pójść po nie teraz. Tak, nie miała odwagi wręczyć mu ich w biały dzień, kiedy mógł to zobaczyć każdy przechodzień, nie mówiąc już o staruszce wygrzewającej się na słońcu i gotowej zawsze zauważyć to, czego nie powinna.

Tymczasem mężczyzna był już bardzo blisko. Matka, jako osoba niższego stanu i na dodatek kobieta, wstała powoli z miejsca.

- Gosposiu - zawołał do niej mężczyzna swobodnym tonem - przyszedłem sprawdzić, jak w tym roku rośnie pszenica, i zorientować się po wyglądzie pól, jakie będą żniwa!

Mówiąc to, błędnął wzrokiem po jej ciele. Mierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. A kobieta, ze względu na upał, miała na sobie tylko pojedynczy, niezbyt luźny kaftan i cienkie, połatane spodnie z niebieskiego materiału. Oczy mężczyzny zatrzymały się na jej bosych brązowych stopach. A wtedy ona, zdjeta strachem przed własnym sercem, mruknęła niezbyt grzecznie:

- Pola leżą tam... Spójrzcie więc na nie i przekonajcie się sami!

Mężczyzna nawet nie drgnął. Spojrzał tylko we wskazanym kierunku i powiedział swoim miłym głosem:

- To piękne pola, gosposiu. No i widziałem gorsze żniwa niż te, na które zanoszą się w tym roku.

To powiedziawszy, wyjął małą książeczkę i zapisał coś w niej patyczkiem, jakiego matka nigdy dotąd jeszcze nie widziała. Mężczyzna nie musiał wcale zanurzać go w tuszu, tak jak to czynił pisarz listów, bo patyk był jakoś tak sam z siebie czarny. Kobieta patrzyła, jak mężczyzna pisze, patrzyła na wpół z ciekawością, na wpół z dumą, że oto na kogoś takiego jak ona spojrział taki uczony i przystojny człowiek. Postanowiła też na razie nie wspominać

O błyskotkach.

Mężczyzna skończył pisać.

- Jeżeli macie czas - zwrócił się do niej z uśmiechem, gładząc górną wargę - to pokażcie mi wasze drugie pole. Wiecie, to, na którym rośnie jęczmień. Bo ciągle zapominam, które należy do was, a które do waszego kuzyna.

- Moje jest tamto, za pagórkiem - odrzekła kobieta z lekkim ociąganiem, po czym zrobiła taki ruch, jakby chciała znów wziąć motykę.

- Za pagórkiem? - powtórzył mężczyzna łagodnym tonem, po czym znowu pogładził wargę dużą miękką dłonią i uśmiechnął się. - Ale gosposiu, ja bym chciał, żebyście mi je pokazali!

Wpatrywał się w nią teraz bez odrobiny wstydu, a jego wzrok miał w sobie moc poruszającą kobietę do głębi. Cóż było robić, odłożyła więc motykę i poszła, gdzie kazał - dwa kroki za nim, jak przystało kobiecie. Szli tak w prażącym z góry słońcu, po zielonej, miękkiej trawie rosnącej na rozgrzanej ziemi. I nagle kobieta poczuła, że krew w jej żyłach staje się słodka i rozleniwiona upałem. Sama nie wiedząc dlaczego, czerpała ogromną przyjemność z patrzenia na mężczyznę, który szedł przodem. Chłoneła więc wzrokiem jego silną, bladą szyję, błyszczącą od potu, jego ciało przyodziane w długą, gładką szatę z lekkiego materiału, a także jego stopy w białych, czystych skarpetkach

1 czarnych płóciennych pantoflach. Stąpając bosą i bezszelestnie, zbk-żyła się nieco i poczuła, że bije od niego jakiś zapach. Ten zapach

- zbyt silny jak na zapach perfum - był mieszaniną woni męskiej krwi, ciała i potu. Gdy dotarł do jej nozdrzy, kobietę ogarnęła ogromna tęsknota. Uczucie to było tak przemożne, że biedaczka wprost przestraszyła się samej siebie, a także tego, co mogłaby zrobić, i zawołała łamiącym się głosem:

- Zapomniałam o pewnej rzeczy... dla mojej starej matki! Mężczyzna obejrzał się, a ją zalała fala słabości i gorąca.

- Zapomniałam o czymś, co miałam zrobić... - zawołała po raz drugi i znów głos jej się załamał.

Po tych słowach odwróciła się i oddaliła pospiesznie. A mężczyzna został, odprowadzając ją wzrokiem.

Kobieta poszła prosto do domu, gdzie zastała wszystkich pogrążonych we śnie. Upał był teraz jeszcze większy. Kobieta wyjrzała za próg i zobaczyła, że po drugiej stronie uliczki z ustami na wpół otwartymi drzemie żona kuzyna z najmłodszym dzieckiem śpiącym przy piersi.

Natomiast u niej, przed izbą, siedziała staruszka, śpiąc z głową opuszczoną tak nisko, że nos stykał jej się z podbródkiem. Ubranie miała przy tym zsunięte do połowy, tak jak wtedy, gdy wygrzewała się na słońcu. Dziewczynka, która wyszła z dusznej izby na powietrze, spała zaś zwinięta w kłębek, z głową opartą na chłodnym kamieniu. A i młodszy chłopiec - całkiem nagi - leżał rozciągnięty pod wierzbą.

W powietrzu zaszła tymczasem zmiana. Zrobiło się ciemniej, panował teraz bezruch, a żar jeszcze się wzmógł i stał się bardziej palący. Wielkie chmury - nabrzmiące, czarne i potworne - wylaniały się zza pagórków.

Każda z nich, okolona srebrzystą obwódką, świeciła jakimś dziwnym, wewnętrznym światłem. Gorąca cisza tego dnia sprawiła, że nawet bzyczenie owadów i ćwierkanie ptaków było jakieś przytłumione.

Matce jednak nie chciało się spać. Weszła bezszelestnie do izby, pogrążonej w mroku i ciszy, i usiadła na łóżku. W uszach huczała jej krew - krew, która była krwią silnego, zgłodniałego ciała. Wiedziała

teraz, co się z nią dzieje. Tak, teraz już niczego przed sobą nie udawała. Nie była mieszczką, która mogłaby sobie wmawiać, że nęka ją jakaś choroba. Nie, nie, ona była zbyt prosta, by udawać. No i dobrze wiedziała, co jej jest. Poczwała strach. Bała się bardzo, jak nigdy dotąd, bo zdawała sobie sprawę, że taki głód, jaki w niej zamieszkał, powoduje szaleństwo. Tak, kobieta od niego szaleje, jeżeli ten głód nie zostanie zaspoko... Nie pomyślała nawet o tym, że mogłaby mężczyznę odepchnąć. Wiedziała bowiem dobrze, że jej własny głód dorównuje jego głodowi. Z jej piersi wyrwał się głośny jęk.

- Och, jakże pragnę, żeby to się nie stało! - powiedziała do siebie. - Jakżebym chciała, żeby on mnie nie dostał. I żebym została uratowana! A potem, znowu z jękiem, zerwała się z łóżka, przeszła przez uspioną wioskę i poszła w pole tą samą drogą, którą z niego wróciła. Szła pod ogromnymi, ciemnymi chmurami o jasnych obwódkach, a naokoło siebie miała wzgórza - bladozielone i czyste na tle czarnego nieba. Szła pod tym niebem wijącą się ścieżką, która skręcała tuż obok małej, na wpół zrujnowanej kapliczki. I właśnie tam, w drzwiach tej świątyni, czekał na nią uśmiechnięty mężczyzna.

I okazało się, że kobieta nie potrafi przejść obok niego. Nie, nie, całkiem jej się to nie udało. Gdy mężczyzna cofnął się do wnętrza, podeszła do drzwi i zajrzała. Przekonała się, że mężczyzna stoi w półmroku, bo pomieszczenie pozbawione było okien. Stoi i czeka. A oczy mu błyszczą niczym ślepia przyczajonego zwierzęcia. Kobieta weszła do środka. Spojrzeli na siebie w słabym świetle. Tak, tych dwoje ludzi działających jak we śnie, zdesperowanych, niezdolnych się powstrzymać spojrzalo na siebie tylko raz - i zaczęło się przygotowywać do tego, co musiało teraz nastąpić między nimi.

Jednak kobieta w trakcie tych przygotowań zatrzymała się na chwilę. Spojrzała w górę, z głębi swego odurzenia, i zobaczyła trzech bogów. Najważniejszy z nich był statecznym starcem, patrzącym wprost



przed siebie. Starcowi temu towarzyszyli dwaj inni - mali, przyzwoici bogowie z przydrożnej kapliczki, opiekujący się podróżnymi, którzy zatrzymywali się tutaj, pragnąc się pomodlić lub znaleźć schronienie. Kobieta wzięła swój przyodziewek, który zdążyła już odłożyć na bok, podeszła do tych bogów i narzuciła go im na głowy, zasłaniając ich uporczywie patrzące na nią oczy.

## XI

Tej nocy z odległych wzgórz, niby ryk tygrysa, nadleciał wiatr, pędząc przed sobą wiszące na niebie ciężkie, pełne deszczu i dawno już pozbawione światła chmury. A potem lunął deszcz, zmywając cały żar upalnego dnia. I gdy w końcu, po deszczu, zniknęła także mgła, ze spokojnego nieba zstąpił czysty i chłodny, spokojny i szary świt.

Okazało się, że wraz z burzą i chłodem z nieboskłonu spadła też w końcu nagła śmierć starej kobiety. Było bowiem tak, że staruszka, zmorzona snem, zasiedziała się zbyt długo i gdy zaszło słońce, jej obnażone ciało owiał zimny wiatr. Matka, powróciwszy do domu

O zmroku - a uczyniła to po cichu, jakby nigdy nic, jak gdyby wracała z pola po dniu uczciwej pracy - tak więc matka, powróciwszy o zmroku, zastała starą kobietę na posłaniu, zbolełą i wstrząsaną lodowatymi dreszczami.

- Jakiś zły duch mnie dopadł, córko! - zawołała staruszka. - Spadł na mnie jakiś zły wiatr!

A potem z jękiem wyciągnęła do niej swoją małą pomarszczoną dłoń, która, gdy matka ją ujęła, okazała się sucha i rozpalona.

Matka przyjęła chorobę staruszki niemal z zadowoleniem. Tak, ona się prawie cieszyła, że może zająć umysł czymś innym, odwrócić uwagę od własnego serca i od tej słodkiej, złej rzeczy, którą dzisiaj zrobiła.

- To było złe, czarne niebo - powiedziała cicho. - Miałam przyjść i sprawdzić, czy pod nim siedzisz. Pomyślałam jednak, że zauważyłaś jego kolor i weszłaś do domu.

- Aleja spalam, córko - zaczęła lamentować stara kobieta. - Spałam i spałam. Wszyscyśmy spali. A kiedy się obudziłam, słońce już zaszło i byłam zimna niby śmierć.

Matka szybko zagrzała wodę, dodała do niej imbiru i ostrych ziół, a następnie podała napój staruszce. Nic to jednak nie pomogło, bo w nocy sucha gorączka się wzmogła. Staruszka skarżyła się też, że nie może oddychać, bo na piersi usiadło jej jakieś lichy, wbijając nóż w płuca. Ale wkrótce zamilkła i leżała, ciężko dysząc.

A matka cieszyła się, że musi przy niej czuwać. Cieszyła się, że przez całą noc musi siedzieć przy łóżku staruszki, uważać na nią, podawać jej wodę, kiedy o nią prosi, a także otulać ją kołdrą, gdy się odkryje i krzyczy, że płonie, dygocząc równocześnie z zimna. Na zewnątrz noc zrobiła się czarna, a na kryty strzechą dach chaty spadł potężny deszcz. Dach tu i ówdzie zaczął przeciekać. Dlatego matka wyciągnęła posłanie starej kobiety z kąta, gdzie kapało, a łóżko, w którym spały dzieci, przykryła matą z trzciny. I czyniła to wszystko z zadowoleniem, cieszyła się bowiem, że ma przez całą noc zajęcie.

Rano staruszce się pogorszyło. Widać to było gołym okiem. Matka posłała więc chłopca po kuzyna, który przyszedł zaraz wraz z żoną. Zjawili się też sąsiedzi. I wszyscy patrzyli na starą kobietę, która leżała - tylko po części zdając sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje - oszołomiona gorączką i bólem, który sprawiało jej oddychanie. Wszyscy obecni mówili głośno. Każdy radził, co trzeba zrobić, jakiego środka spróbować. A matka miotała się, wypróbowując je wszystkie po kolei. W pewnej chwili stara kobieta oprzytomniała i widząc zgromadzony tłum, powiedziała z trudem:

- Siedzi na mnie jakieś lichy... i tak mnie przyciska... Moja godzina nade...

Matka przypadła wtedy do niej. Zorientowała się, że staruszka chce powiedzieć coś jeszcze, jednak nie mogąc wydobyć głosu, drżącą ręką chwyta kurczowo swój cały teraz w latach śmiertelny kaftan. Matka, patrząc na to, przypominała sobie, że każdą kolejną łąkę

staruszka witała ze śmiechem, mówiąc, że przeżyje ten przydziewek. Ale teraz szarpała go tylko.

- Ten śmiertelny kaftan - wyszeptała, gdy matka pochyliła się nad nią - ... cały połatany... mój syn...

Słyszając te słowa, wszyscy zgromadzeni popatrzyli po sobie.

- Ja wiem, czego ona chce, matko - odezwał się pospiesznie starszy chłopiec. - Chce leżeć w swoim trzecim śmiertelnym przydziewku, tym, który obiecał przysłać ojciec. Bo zawsze twierdziła, że przeżyje ten, który ma teraz na sobie.

Stara kobieta usłyszała, co powiedział wnuk, i twarz jej się rozjaśniła.

- Jakaż z niej silna starucha! - rozległy się wołania. - Jakaż ona zadziwiająco dzielna! Chce trzeci przydziewek! Zawsze to powtarzała i nie zmieniała zdania!

Na zapadniętej, sowej twarzy starej kobiety pojawił się jakiś niewyraźny, zamierający wyraz rozradowania.

- Nie umrę - wykrztusiła, zachłystując się - nie umrę, dopóki on nie zostanie uszyty i...

Wtedy matka z największym pośpiechem postanowiła kupić materiał.

Posłała po niego kuzyna.

- Kup najlepszą, jaką dostaniesz, mocną, czerwoną bawełnę. Jeżeli masz teraz srebro przy sobie, to ja ci je jutro zwrócę - powiedziała do niego, bo postanowiła dać starej kobiecie to, co najlepsze.

Dlatego jeszcze tej samej nocy, kiedy w domu zapanował już spokój, wykopała ukryte srebro i wzięła z niego tyle, ile było konieczne, by wyprawić starą matkę na śmierć całkiem zadowoloną.

Rzeczy miały się zatem tak, że to, o czym matka nie chciała myśleć, że wspomnienie tamtej godziny, które ukryła głęboko w jakichś sekretnych zakamarkach duszy, wzmogło jej dobroć i ochotę, by poświęcać się dla bliskich. Poświęcanie się bowiem sprawiało jej ulgę i przysłaśniało wyrzuty sumienia. Przez dwie kolejne noce nie spała, czuwając z oddaniem przy chorej. Nie złościła się wcale na dzieci,

a do umierającej starej kobiety odnosiła się z wielką łagodnością. Kiedy kuzyn przyniósł materiał, rozpostarła go i powiedziała głośno, bo staruszka z każdą godziną stawała się coraz bardziej głucha i ślepa:

- Trzymaj się mocno, stara matko, dopóki nie skończę szyć.

- Tak, tak... ja nie umrę! - odrzekła na to chora. Powiedziała tak, choć brakowało jej już tchu i choć z wielkim

trudem wdychała i wydychała powietrze, świszcząc przy tym i charcząc.

Matka zasiadła do pracy. Pracowała igłą bardzo szybko, szyjąc przy-

odziewek z jaskrawego, porządnego materiału, czerwonego niby kaftan

panny młodej. Stara kobieta spoczywała tymczasem w łóżku, obserwując

ją uważnie, wpatrzona w błyszczący materiał, który leżał na jej kolanach.

Nie mogła teraz jeść ani pić. Nie mogła dosłownie nic przełknąć. Nawet

ciepłego kobiecego mleka, którego jedna z młodych wieśniaczek utoczyła

z własnej piersi do miseczki, wiedząc, że czasami bywa ratunkiem dla

umierającej osoby. Czepiała się tylko tej odrobiny powietrza. I czekała.

Matka tymczasem szyła i szyła. A sąsiadki przynosiły jej jedzenie, żeby

nie musiała odrywać się od swego zajęcia. Praca trwała cały dzień i część

nocy. Gdy została skończona, zjawili się kuzyn i jego żona, jak również

kilkoro sąsiadów, którzy chcieli zobaczyć śmiertelny przyodziewek

staruszki. A pozostali mieszkańcy wioski zastanawiali się, kto wygra te

wyścigi - matka czy śmierć.

Szkarłatna pogrzebowa szata była gotowa. Kuzyn dźwignął staruszkę, a

matka wraz z jego żoną przyodziały jej zwiędłe członki - brązowe teraz i

suche niby gałązki martwego drzewa. Staruszka miała świadomość, co się

dzieje. Nie mogła mówić, ale leżąc bezwładnie, odetchnęła z trudem kilka

razy, otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się, pokazując bezzębne

dziąsła. Wiedziała bowiem, że dożyła chwili, gdy obleczone ją w trzecie

śmiertelne ubranie. A ponieważ obecnie było to jej jedyne pragnienie,

zmarła, tryumfując.

Staruszkę pogrzebano i matka nie musiała już dłużej mozolić się tak gorączkowo. Mimo to wciąż się trudziła. W polu pracowała tak ciężko jak nigdy przedtem, a gdy chłopiec chciał dokończyć jakąś rozpoczętą przez nią robotę, krzyczała na niego ostro:

- Zostaw! Ja to zrobię! Tak bardzo brak mi starej matki, że muszę się czymś zająć! To ja jestem winna jej śmierci, bo tamtego dnia nie wróciłam na czas do domu, żeby sprawdzić, czy jest jej ciepło, a tymczasem słońce zniknęło i przyszła burza.

Mówiła tak, bo chciała, żeby wszyscy w wiosce myśleli, że rozpacza po śmierci starej kobiety, że czuje się tej śmierci winna. Wielu chwaliło ją za to.

- Jaka to dobra synowa! - powiadali. - Zobaczcie tylko, jak rozpacza! Próbowali ją też pocieszać.

- Nie rozpaczajcie tak, gosposiu - mówili. - Matka waszego męża była bardzo stara. Jej życie skończyło się po prostu. Na co zda się rozpacz, skoro na każdego z nas przyjdzie jego godzina? Godzina ta jest ustalona z góry, zanim człowiek nauczył się mówić czy chodzić. A poza tym żyje przecież wasz mąż. Macie też dwóch synów. Pomyślcie o tym i nabierzcie otuchy!

Jednak kobiecie sprawiał ulgę fakt, że ma okazję, by ukryć swój strach i melancholię. Bo prawda była taka, że się bała. I miała do tego powód. Pracując w polu, uświadamiała to sobie wyraźnie. Z głębi jej serca wydobywał się na powierzchnię strach, który tkwił tam od owego dnia, od chwili, gdy zaczynała się burza. Dlatego pośpiech, w jakim potem żyła, przyjęła ze skrywanym zadowoleniem. Skrywane zadowolenie wywołała u niej nawet śmierć staruszki. To lepiej, że staruszka nie żyje, myślała z ciężkim sercem. To lepiej, że się nie dowie, co nastąpi, jeżeli nastąpić musi.

Minął miesiąc, a ona wciąż się bała. A potem drugi miesiąc i trzeci. Nadeszły żniwa. Ziarno zostało wymłócone, a potem to, co dotychczas wśród codziennego trudu było tylko strachem, stało się pewnością.

Zniknęły wątpliwości, matka wiedziała, że rzeczywiście spotkało ją to, co najgorsze. Ją, matkę synom, gospodynię szanowaną w wiosce.

Przeklinała teraz tamten dzień i głupi żar własnego ciała. Przecież mogłam to przewidzieć, myślała. Mogłam to przewidzieć, gdy moje gorące ciało otworzyło się w oczekiwaniu, a mój umysł został bez reszty opanowany przez tamten głód. Tak, powinna była przewidzieć, że taka chwila musi zrodzić owoc. A na dodatek ciało tamtego mężczyzny! Było takie silne i pełne własnej mocy! Więc jak w obkczu tego wszystkiego mogła sobie wyobrażać, że nie stanie się to, co się stało?

Tak oto miała po raz kolejny zostać matką. I była zmuszona to ukrywać, obserwując siebie z rozpaczą - nocą, w samotności, kiedy dzieci spały.

Choćby ten stan nie wiedzieć jak ją osłabiał, nie miała odwagi tego okazać. To dziwne, ale gdy nosiła w łonie dzieci męża, nie miewała mdłości. Natomiast teraz każdy zjedzony kęs obracał się przeciwko niej. Wyglądało na to, że nasienie tamtego mężczyzny panoszyło się w jej wnętrzu silne i pełne wigoru i rosło w niej niby chwast, gnębiąc bez krzty litości jej ciało. A ona na dodatek nie mogła się z tym zdradzić.

Noc po nocy siadywała w łóżku, bo czuła się tak źle, że nie mogła się położyć. Och, jakże chciałabym być znowu sama, jęczała w duchu, jakże bym pragnęła nie mieć tego czegoś w środku... Chciałabym być sama, tak jak kiedyś... Gdyby tak było, byłabym naprawdę szczęśliwa...

W takie bezsenne noce nierzadko przychodziło jej do głowy, że mogłaby się powiesić na drążku od łóżka. Nie potrafiła jednak tego zrobić. Bo miała przecież tamte dzieci - dzieci prawowitego męża. Spoglądała na ich uśpione twarzyczki i nie potrafiła targnąć się na własne życie. Nie mogła też znieść myśli o spojrzaniach sąsiadów, którzy będą oglądali jej martwe ciało, poszukując przyczyny śmierci. Nie miała więc wyjścia - musiała żyć dalej.

Cierpiała bardzo, ale to cierpienie nie wyleczyło jej wcale z pożądania w stosunku do tamtego mężczyzny. Nie wyleczyło jej z niego, choć

tęskniąc za mężczyzną, często wprost nienawidziła samej siebie. Wydawało jej się, że ten człowiek trzymają mocno w jakimś tajemniczym uścisku, że zdobył nad nią władzę poprzez to, co wzrasta w jej wnętrzu. Żałowała, że mu uległa, a mimo to zdarzało się nierzadko, że - i dniem, i nocą - bardzo za nim tęskniła. Mimo wstydu, mimo że z całego serca pragnęła, by nie stało się to, co się stało, tęskniła za nim. Wstydziła się jednak go szukać, bała się, że ktoś mógłby ją zobaczyć; mogła więc tylko czekać, aż on znowu przyjdzie. Zdawało jej się bowiem, że gdy zacznie go szukać, będzie całkiem zgubiona - stanie się rzeczą, po którą może sięgnąć każdy'mężczyzna.

Ale zaszła rzecz dziwna. Mężczyzna skończył z nią swoje sprawy. Nie pojawił się ponownie przez całe lato. Przyszedł dopiero wtedy, kiedy musiał, to znaczy po żniwach, gdy zboża zostały zebrane. I był teraz taki jak kiedyś - twardy i kłótlivy. Wziął też całą miarkę przeznaczonego dla siebie ziarna.

- Matko, czym myśmy go rozgniewali? - zawołał chłopiec, gdy to zobaczył. - Przecież w zeszłym roku był dla nas taki życzliwy.

- Skąd mam wiedzieć? - odrzekła kobieta obrażonym tonem. Prawda jednak była taka, że wiedziała. Zorientowała się, gdy zauważyła, że mężczyzna nie chce nawet na nią spojrzeć.

Tak, tak, on nie spojrział na nią nawet w dzień dożynek, chociaż umyła się porządnie, uczesała i przygładziła włosy okwą, włożyła czysty kaftan i spodnie, a także jedyną swoją parę pończoch i pantofle, które uszyła sobie na pogrzeb starej kobiety. Tak przyodziana, z zaczerwienionymi policzkami i błyszczącymi oczyma - onieśmielona i żywiąca chorą nadzieję, a także rozpaczliwe, skrywane obawy - krzątała się przed nim i wdawała się w głośne rozmowy z ludźmi, zmuszając się do wesołości. Inne kobiety patrzyły ze zdumieniem na jej płonące policzki i błyszczące oczy, ze zdumieniem też przyjmowały jej podniesiony głos i wybuchy śmiechu. Bo przecież matka w obecności mężczyzn była zawsze bardzo cicha.

Tymczasem mężczyzna nawet na nią nie spojrział.



- Jeżeli pozwolicie - zawołał do wieśniaków, skosztowawszy ryżowego wina - to wezmę dla siebie kilka dzbanów tego trunku. Zapieczętuję je dobrze, żeby nie stracił słodyczy.

Nie spojrział jednak na kobietę. Gdy w końcu przypadkiem napotkał ją wzrokiem, patrzył tak jak na każdą inną wieśniaczkę, której imię nie było mu znane.

Kobieta nie potrafiła znieść tego dłużej. Dobrze wiedziała, że powinien ją cieszyć ten całkowity brak zainteresowania ze strony mężczyzny. Mimo to nie mogła tego wytrzymać. Wyszła w samym środku uroczystości, poszła do domu i drżąc na całym ciele, wyjęła z kryjówki błyskotki, które jej kiedyś podarował. Wyciągnawszy z uszu druciki chroniące je przed zarastaniem, zawiesiła w nich kolczyki, wcisnęła pierścionki na swoje stwardniałe, silne palce i jeszcze raz podjęła ryzyko. Wróciła do biesiadników i wmieszała się między obsługujące ich kobiety. Wśród kobiet znajdowała się plotkarka. Siedziała wesoła, ubrana w nowe pantofle, wyciągając nogi, by każdy mógł je zobaczyć.

- Cóż to, gosposiu - zawołała - kupiłaś sobie wreszcie te błyskotki i włożyłaś je na siebie, choć twój mąż wciąż nie wrócił?

Wołała tak głośno, że wszystkie kobiety, śmiejąc się, zaczęły przyglądać się matce. Ich rozbawienie sprawiło, że zaczęli się uśmiechać nawet mężczyźni. A wtedy pośrednik, słysząc śmiech i dowcipy pod adresem matki, niedbale i wyniośle podniósł wzrok znad miski.

- O którą kobietę wam chodzi? - zagadnął tak głośno, żeby matka go usłyszała.

Po czym jego wzrok spoczął na jej purpurowej twarzy. W następnej chwili mężczyzna odwrócił oczy tak, jakby wcale matki nie znał, i wrócił do jedzenia. A ona, czując, że jest purpurowa, wycofała się szybko i pobiegła do domu. Odprowadzał ją śmiech całej wioski, rozbawionej jej zawstydzeniem.

Od tej chwili matka schodziła ludziom z drogi. Starła się przebywać tylko z dziećmi, skrywając tę nieokiełznaną rzecz, która rosła

w jej wnętrzu. A równocześnie - dniem i nocą - zastanawiała się, co ma zrobić. Z pozoru pracowała jak zwykle, sposobiła ziarno do przechowywania, przygotowywała wszystko do zimy. A kiedy przyszło jesienne święto, kiedy cała wioska się weselała - w chatach i na uliczkach - gdy domy były pełne ziarna i jedzenia, ona także, choć niewesoła, upiekła księżycowe ciasteczka dla swoich dzieci. Dzieci zjadły je o wschodzie księżyca, siedząc na klepisku pod wierzbami i obserwując księżyc w pełni świecący równie jasno jak słońce.

Były jednak poważne. Zdawały się wyczuwać, że ich matka się nie raduje.

- Czasami myślę, że nasz ojciec nie żyje - odezwał się w końcu uroczyście najstarszy chłopiec. - Bo przecież nie wraca do domu.

Matka aż drgnęła, słysząc te słowa.

- Jesteś złym synem - skarciła chłopca - skoro mówisz o czymś takim jak śmierć własnego ojca!

Uwaga najstarszego syna nasunęła jej jednak pewną myśl.

- Czasami mi się wydaje - odezwał się znowu chłopiec - że powinienem zacząć go szukać. Kiedy już zasiejemy pszenicę, mógłbym wyruszyć na poszukiwania. Ale ty, matko, musiałabyś mi dać w tym celu trochę srebra. No i tak na wszelki wypadek - bo przecież to mogłoby potrwać długo - przywiązałbym sobie na plecach zimowe ubranie.

Matka, słysząc te słowa, przestraszyła się.

- Zjedz jeszcze ciasteczko, mój synu! - zawołała, pragnąc odwrócić uwagę chłopca od tego tematu. - Zaczekaj jeszcze przez jakiś rok. Bo pomyśl tylko, co bym zrobiła, gdybyś ty sobie poszedł i także nie wrócił? Zaczekaj, aż twój młodszy brat podrośnie i będzie mógł cię zastąpić.

- Jeżeli mój brat pójdzie, ja pójdę razem z nim! - odezwał się na to krnąbrny młodszy chłopiec i odął swoje małe czerwone usteczka, patrząc z gniewem na matkę.

- Widzisz - zganiała matka starszego. - Widzisz, co się dzieje, kiedy mówisz takie rzeczy?! Mącisz mu tylko w głowie!

I dodała, że nie chce więcej słyszeć o tej sprawie.

Jednak myśl, która ją nawiedziła, nie chciała jej opuścić. Matka zaczęła poważnie się nad nią zastanawiać. Oto od pięciu lat żyję tutaj sama - mówiła sobie. Od pięciu lat. Czyż mój mąż, jeżeli w ogóle zamierzał wrócić, nie wróciłby po upływie tak długiego czasu? Minęło aż pięć lat, więc... on musi już nie żyć. Tak, tak, myślała dalej kobieta, ja najwyraźniej jestem wdową. I to od kilku lat. Jestem wdową, wcale o tym nie wiedząc. Pośrednik posiadacza ziemskiego także nie był żonaty. Matka była wdową, a on mężczyzną niezonatym, wdowcem - bo słyszała, jak mówił, że żona umarła mu w zeszłym roku. Gdy to mówił, matka nie zwróciła na ten fakt uwagi. Bo cóż ją to mogło obchodzić, skoro sama wtedy była mężatką? No, ale teraz... teraz z pewnością jest wdową. Myśląc tak, patrzyła na ogromny księżyc w pełni, wiszący wysoko na niebie. Wpatrywała się w noc, podczas gdy dzieci, podobnie jak cała wioska, spały. Spak wszyscy, oprócz paru psów, które czekały na wielki księżyc, a matka coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że musi być wdową. A skoro tak, to może... gdyby wzięła z nim ślub natychmiast po tym, jak on się na to zgodzi... Czy wtedy... nie byłoby za późno?

A potem wszystko sprzysięgło się, żeby ją zmusić do szybkiego działania. Chłopiec nie chciał zapomnieć o swoich planach. Pracował gorączkowo w polu, orał ziemię, siał pszenicę i zamierzał wyruszyć na poszukiwanie ojca, skoro tylko zakończy te roboty. Był teraz wysoki, prawie tak wysoki jak ojciec, wysmukły i twardy, i tak giętki jak pęd bambusa. Nie był już małym dzieckiem, któremu matka mogła czegoś zabronić. Cechował go spokój i upór, nie zapominał o tym, co sobie zaplanował.

- Pozwól mi teraz pójść i sprawdzić, gdzie jest ojciec - powiedział do matki. - Powiedz, jak nazywa się miasto, w którym on mieszka, i pan, u którego pracuje!

- Ale ja spaliłam ksty - odrzekła zrozpaczona matka, chcąc go odwieść od tego zamiaru. - Musimy zatem poczekać na nowy rok i na kolejny list od niego.

- Tak?! - zawołał chłopiec. - Ale przecież mówiłaś, że znasz adres!

- Myślałam, że go znam - odrzekła matka pospiesznie. - Jednak mając tyle rzeczy na głowie... i na dodatek pogrzeb babki... zapomniałam. Powiem ci nawet, że gdy babka leżała umierająca, chciałam wysłać list do ojca. Ale nie mogłam tego zrobić, bo nie znałam adresu.

Chłopiec, pełen pretensji, spojrział na nią z niedowierzaniem.

- I skąd miałam wiedzieć - dodała więc z gniewem - że ty będziesz chciał do niego pójść? Zostawiając w dodatku wszystko na mojej głowie! I to teraz, kiedy jesteś już taki duży, że możesz się do czegoś przydać. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zechcesz opuścić własną matkę. A poza tym ja jestem pewna, że na nowy rok przyjdzie, jak zawsze, kolejny list od ojca.

Chłopiec nie miał wyjścia - musiał na jakiś czas odłożyć swoje plany.

Czekał więc na właściwą chwilę - ponury i obrażony. Uparł się, że musi zobaczyć ojca. Prawie go nie pamiętał, wspominał go jednak jako przystojnego, wesołego człowieka i tęsknił za nim, bo matki nie darzył teraz nadmierną miłością. Matka była bowiem wiecznie zła na niego i wcale go nie rozumiała. Dlatego chłopiec tęsknił za ojcem.

Doszło w końcu do tego, że matka naprawdę nie wiedziała, co począć.

Pewne było tylko jedno - musi coś zrobić, i to szybko. Chłopiec będzie ją zadreślał nawet w wypadku, gdy na nowy rok nie dostaną listu. A ona, prędzej czy później, będzie mu musiała powiedzieć całą prawdę. Jak mu wtedy wytłumaczy, jak wyjaśni, że to, co było na początku drobnym kłamstwkiem mającym uratować jej kobiecą dumę, stało się z czasem wielkim kłamstwem i czymś, co naprawdę bardzo trudno odwołać?

Próbowała się jakoś pocieszać. Mówiła sobie, że jej mąż z pewnością już nie żyje. Bo któż słyszał o człowieku, który - wciąż żyjąc - nie zechciałby czasami odwiedzić swoich stron, własnych synów i rodzinnego domu?

Tak, tak, jej mąż nie żył. Kobieta była tego pewna. Powtarzała to sobie tyle razy, że pewność zamieszkała w jej sercu. Żywiła

teraz przekonanie, że mąż umarł i potrzebny jej był jedynie jakiś widomy znak, który zadowoli chłopca, a także przekona mieszkańców wioski. Dlatego po raz kolejny udała się do miasta i odszukała tam całkiem innego niż przedtem, nieznanego sobie pisarza listów.

- Napiszcie do żony mojego brata - zwróciła się do niego z westchnieniem - i poinformujcie ją, że jej mąż nie żyje. A jak stracił życie? Zaskoczył go pożar, bo dom, w którym mieszkał, zajął się ogniem od lampy, którą przewrócił ktoś ze służby. Mój brat spłonął więc we śnie. Spalił się na proch. Nie ma zatem ciała, które można odesłać do domu.

W miejsce imienia rzekomej bratowej kazała pisarzowi podać swoje własne, a w miejsce nieznanego nadawcy przesyłającego te wieści - jakieś wymyślone. A na koniec poleciła mu podać nazwę jakiegoś innego miasta. Wtedy pisarz wyczuł w tym wszystkim coś dziwnego. Nie dał jednak nic po sobie poznać, bo uznał, że to nie jego sprawa, a poza tym w zamian za milczenie dostał przecież nieco srebra.

W ten oto sposób kobieta znalazła dla siebie ratunek. Uznała jednak, że to nie wszystko. Postanowiła o swoim wdowieństwie poinformować pośrednika posiadacza ziemskiego. Zaczęła więc chodzić i rozpytywać o dom tego wielkiego pana, gdzie pośrednik co prawda nie mieszkał, ale był z pewnością dobrze znany. Ogarnięta jakąś gorączką, nie zważała na nic. Pobiegła pod wskazany adres i wydało jej się, że tego dnia wspomagają ją bogowie, bo przy bramie spotkała pośrednika. Przyszedł on właśnie do swojego pana i zamierzał wejść do jego domu. Kobieta z cichym okrzykiem podbiegła i położyła mu dłoń na ramieniu. A on spojrzał na nią z góry, popatrzył na tę jej dłoń i zapytał:

- O co chodzi, kobieto?

- Owdowiałam, panie - wyszeptała matka w odpowiedzi. - Doszły mnie dzisiaj wieści, że owdowiałam!

Mężczyzna strącił jej dłoń ze swego ramienia.

- A co to ma wspólnego ze mną? - odrzekł głośno, a potem, widząc jej pełne bólu spojrzenie, dodał jeszcze szorstkim tonem: - Zapłaciłem ci przecież... zapłaciłem ci bardzo dobrze!

W tejże chwili do uszu obojga dobiegł śmiech kogoś ze znajomych mężczyzn, kto zawołał:

- A to ci dopiero chutna ślicznotka! Widział to kto, żeby zaczepiać tak mężczyznę?!

- Ślicznotka z niej - odkrzyknął na to pośrednik, spoglądając spod swoich ciężkich powiek. - Ślicznotka, jeżeli ktoś lubi takie ordynarne i brązowe. Jednak ja w nich nie gustuję!

I poszedł swoją drogą.

Matka tymczasem stała jak wryta - zdumiona, zawstydzona i nic nie rozumiejąc. Zapłacił jej? Jak to? Co takiego jej dał? - pytała siebie. I nagle przypomniała sobie kupione przez niego błyskotki. Więc to była zapłata! Ten człowiek takie drobne, bezwartościowe świecidełka uważa za coś, co go zwalnia od wszelkiej odpowiedzialności za to, co uczynił!

Co mogła zrobić? Teraz, kiedy wiedziała już wszystko? Ruszyła zdecydowanym krokiem do domu, a serce w jej piersi wypełniło się jakimś śmiertelnym spokojem. Idąc, powtarzała sobie:

- Nie czas jeszcze płakać... Nie przyszła jeszcze na mnie godzina płaczu. Nie chciała płakać. Nie chciała sobie na to pozwolić. Płacz wzbierał w niej - ogromny i drżący - ale ona postanowiła nie płakać. Utwardziła serce i przez kilka dni zmuszała je do milczenia. Tak, czyniła to, dopóki nie przyszedł ten list, który sama napisała. Zniosła go wtedy do wioskowego pisarza.

- Boję się, wuju - powiedziała spokojnie, wręczając mu go - boję się, że ten list zawiera złe wieści. Przychodzi bowiem nie o zwykłym czasie. Staruszek wziął list, przeczytał go i aż się wzdrygnął.

- Złe wieści, gosposiu - zawołał. - Przygotuj się na złe nowiny!  
- Czy mój mąż jest chory? - zapytała matka równie spokojnie jak przedtem.

Staruszek odłożył list, zdjął okulary i wpatrując się w nią, odrzekł uroczyście:

- On nie żyje!

Wtedy matka zarzuciła sobie na głowę fartuch i zapłakała. Teraz wolno jej było płakać - dała więc swobodny upust łzom. Płakała długo - jak każda kobieta rozpaczająca po śmierci kogoś bliskiego, kto naprawdę umarł. Płakała nad swoją okrutną dolą, nad wszystkimi przeżyтыми samotnie latami, nad złym losem, który sprawił, że mąż ją opuścił. A także dlatego, że nie miała odwagi wydać na świat dziecka, które nosiła teraz w sobie. I nad tym, że jest kobietą wzgardzoną. Mogła już wyrzucić z siebie cały ten płacz, nie bojąc się, że usłyszą go dzieci czy sąsiedzi. Tak, mogła już płakać i nikt nie musiał wiedzieć, z powodu ilu zgryzot to czyni.

Zaraz też przybiegły do niej kobiety z wioski, które - usłyszawszy złą wieść - chciały ją pocieszyć. Zaczęły wołać, że nie wolno jej rozchorować się od tego płaczu, bo ma przecież dzieci, a zwłaszcza dwóch dorodnych synów. Przyprowały do niej chłopców, a oni stanęli tuż obok - starszy w milczeniu i tak blady, jakby dopadła go jakaś nagła choroba, a młodszy przestraszony jej łzami i także zanoszący się płaczem.

Powstało zamieszanie, wśród którego nagle ktoś zaczął zawodzić donośniej nawet niż matka. To plotkarka, poruszona nieszczęściem, szlochała głośno, lejąc łzy wielkie niby krople oliwy.

- Spójrz na mnie - zwróciła się do matki. - Ja mam jeszcze gorzej niż ty, bo nie mam przecież syna. Tak, tak, gosposiu, ja nie mam nikogo! Jestem bardziej od ciebie godna litości, a zgryzot mam więcej niż którakolwiek na świecie kobieta!

I oto w plotkarce wezbrała na nowo jej dawna rozpacz, ogarniając ją do tego stopnia, że kobiety, niezmiernie tym zdumione, zaczęły

także ją pocieszać. Tymczasem matka wśród całego tego zamętu udała się wraz z synami do domu. Płakała przy tym cicho, bo nadal nie mogła się od tego powstrzymać. Gdy już usiadła przy drzwiach chaty, płakała nadal. Starszy chłopiec także cicho szlochał, ocierając oczy wierzchem dłoni, a młodszy zanosił się od płaczu, nie rozumiejąc wcale, co oznacza śmierć ojca. Nie pojmował tego, bo nie pamiętał, jak to jest, gdy ojciec mieszka w domu. Dziewczynka także lała łzy, przyciskając dłonie do oczu.

- Muszę płakać - mówiła z jękiem - bo mój ojciec umarł... Izy tak mnie palą... ale muszę jedać, bo wylewam je nad zmarłym ojcem!

Matka jednak zdawała sobie sprawę, że jej płacz nie może trwać w nieskończoność. Wiedziała dobrze, że musi zrobić to, co powinno być zrobione. Przestała więc szlochać, zamilkła, pocieszając tym nieco dzieci, i zaczęła się zastanawiać.

Można było powiedzieć, że nie istnieje dla niej inna droga niż śmierć.

Jednak ona wiedziała, że jest sposób, by śmierci uniknąć. Wiedziała, że należy wydrzeć ze swego ciała owo żarłoczne życie, które w nim rośnie.

Nie mogła jednak zrobić tego sama. Musiała mieć kogoś do pomocy. Nie było nikogo, do kogo mogłaby się z tym zwrócić, prócz żony kuzyna.

Jakże pragnęła ukryć tę straszną rzecz przed wszystkimi! Potrzebowała jednak czyjejś pomocy. Żona kuzyna była prostą, poczciwą kobietą - kobietą, która znała pracę na roli. Wiedziała też doskonale, jak postępują mężczyźni. I czym jest ziemi podobne ciało płodnej kobiety, które musi rodzić. Ale jak jej o wszystkim powiedzieć?, zastanawiała się matka.

Tymczasem rzecz okazała się nadspodziewanie prosta, bo kilka dni później, gdy obie kobiety, spotkawszy się przypadkiem, rozmawiały, stojąc na ścieżce, żona kuzyna powiedziała z właściwą sobie życzliwością:

- Kuzynko, jedz i przestań się tak zamartwiać, bo przysięgam, że twarz masz tak żółtą, jakby w twoim wnętrzu zamieszkały robaki.

A wtedy matka położyła sobie dłoń na brzuchu i odrzekła urywanym głosem:



- Coś we mnie rośnie, kuzynko, ale nie mam pojęcia co. To chyba jakiś zły wiatr.

- Daj, zobaczę - odrzekła na to żona kuzyna.

Matka rozchyliła kaftan, a żona kuzyna pomacała miejsce, które zaczęło się zaokrąglać.

- Ależ kuzynko - powiedziała zdumiona - to wygląda na dziecko. Gdybyś miała męża, powiedziałabym, że będziesz miała następne maleństwo!

Matka nic na to nie odrzekła. Zwiesiła tylko głowę, zgnębiona. Nie potrafiła podnieść oczu. Tymczasem kuzynka, zauważywszy ruch dziecka w jej brzuchu, zawołała z przerażeniem:

- To jest dziecko! Przysięgam! Ale jak tyje poczęłaś, skoro twego męża nie ma już tyle lat? Chyba tylko za sprawą jakiegoś ducha! Słyszałam, że to się niekiedy zdarza. W dawnych czasach zdarzało się często. Kobietom bardzo nabożnym, które nawiedzali bogowie. Jednakże z ciebie żadna święta, kuzynko. Jesteś dobrą kobietą, to prawda, i szanowaną, ale przecież nieraz się złościś i boczysz, a chucie nie są ci obce. Czy czułaś kiedyś gdzieś w pobliżu jakiegoś boga?

Matka miała wielką ochotę znowu skłamać. Pragnęła powiedzieć, że pewnego dnia, szukając schronienia przed burzą w przydrożnej kapliczce, poczuła jakiegoś boga. Już otworzyła usta, żeby wypowiedzieć to kłamstwo, jednak nie potrafiła. Po części dlatego, że bała się tak bezczelnie skłamać, mówiąc o tym starym, przyzwoitym bogu, którego twarz wtedy przykryła, a po części dlatego, że była już swoimi kłamstwami śmiertelnie zmęczona. Podniosła więc głowę i - bardzo zgnębiona - spojrzała na żonę kuzyna, a jej blade policzki pokryły się czerwonymi plamami. Dałaby w tej chwili pół życia za to, żeby być w stanie skłamać. Jednak kłamstwo nie mogło jej przejść przez usta. A żona kuzyna, kobieta dobra i poczciwa, wszystko zrozumiała. Nie zapytała o nic. Nie próbowała się dowiedzieć, jak to się stało.

- Zakryj się, siostró - powiedziała tylko - bo się przeziębisz. A potem przez chwilę szły ścieżką w milczeniu.

- Nie ma znaczenia, kto je spłodził - powiedziała w końcu matka tonem goryczy. - I nikt się tego nigdy nie dowie. Ale jeżeli ty, moja kuzynko i siostrzo, pomożesz mi w tej potrzebie, będę się o ciebie troszczyła do końca mego życia.

Na to żona kuzyna odrzekła cichym głosem:

- Jak żyję, a żyję już dość długo, nie spotkałam kobiety, która by się nie pozbyła tej rzeczy, jeżeli jej nie chce.

Słyszając to, matka po raz pierwszy poczuła, że zaświtała dla niej nadzieja.

- Ale jak... - wyszeptała. - Jak to zro...

- Jeżeli ma się pieniądze - odrzekła żona kuzyna - trzeba kupić zioła.

Takie mocne, które czasem mogą zabić i dziecko, i kobietę. No i trzeba powiedzieć, że to okazuje się zawsze cięższe niż poród. Ale jeżeli weźmiesz tych ziół tyle, ile trzeba, powinno się udać.

- No to niech mnie to zabije - odrzekła matka - byle tylko zabiło tę rzecz, co jest we mnie. Bo nie chcę, żeby moi synowie i inni ludzie się dowiedzieli.

Żona kuzyna przystanęła i patrząc stanowczym wzrokiem na matkę, zapytała:

- No tak, kuzynko. Ale czy teraz, po śmierci twojego męża... czy to się znowu powtórzy?

- Nie, nie! - zawołała matka porywczo. - Jeżeli ponownie, tak jak wtedy latem, najdzie mnie ten żar, rzucę się do stawu, żeby się ochłodzić.

Tej nocy wykopała ukryte w glinianej podłodze srebro, wzięła z niego połowę, a potem, gdy nadarzyła się okazja, wręczyła pieniądze żonie kuzyna, prosząc, by ta kupiła zioła.

Następnie, znowu nocą, gdy zakupione zioła zostały już zaparzone, żona kuzyna pojawiła się w ciemności.

- Gdzie to wypijesz? - zapytała szeptem. - Ostrzegam cię, że to bardzo krwawy zabieg, więc nie można go przeprowadzać w domu.

Matka przypomniała sobie przydrożną kapliczkę, koło której za dnia mało kto przechodził, a już zupełnie nikt w nocy. Udały się

zatem właśnie w to miejsce. Po czym matka wypila napar, położyła się na ziemi i czekała.

Napar zaczął działać głęboką nocą i podziałał tak mocno, że kobieta zaczęła się już gotować na śmierć. Straszliwe męczarnie trwały bardzo długo, tak długo, że w końcu przestał dla niej istnieć cały boży świat. Cierpiąc okropnie, świadoma była tylko swojej męki i całkiem nią oszołomiona. Przez cały czas jednak pamiętała, że nie wolno jej krzyczeć. Obie z żoną kuzyna nie odważyły się też zapalić pochodni czy innego, choćby najmniejszego świeciłka. Nie chciały bowiem, żeby - nawet z daleka - zauważył je jakiś przypadkowy przechodzień.

Tak, matka musiała cierpieć tę straszną mękę w tajemnicy. Cała złana potem, czuła jedynie przerażający ból. Zdawało jej się, że jakieś zwierzę pazurami wyrywa z niej wnętrzności. Trwało to długo, aż w końcu przyszła chwila, w której poczuła się tak, jakby te wnętrzności wyszarpanięto z niej do końca. Wydała wtedy jeden głośny okrzyk. Jeden jedyny.

Zona kuzyna pospieszyła natychmiast z matką, którą przyniosła ze sobą. Zebrała w nią to, co wydobyło się z wnętrzności matki, i pomacała dłonią. - To byłby także chłopiec - wyszeptwała ze smutkiem. - Masz szczęście, siostrze, że tylu jest w tobie synów.

Matka jęknęła głośno.

- Teraz - powiedziała - nie urodzę już więcej żadnego.

A potem opadła ciężko na ziemię, żeby trochę odpocząć. Po pewnym czasie, gdy odzyskała już nieco siły, wróciły obie do domu. Matka szła wspierana życzliwym ramieniem żony kuzyna, starając się nie jęczeć, a gdy przechodziły obok stawu, żona kuzyna wrzuciła do wody zrolowaną matę.

Po tym wszystkim matka długo leżała chora i osłabiona, a dobra kuzynka pomagała jej, jak mogła. Choroba matki trwała przez całą

zimę. Kobieta cierpiała katusze, gdy próbowała podnieść coś cięższego lub pójść z towarem na targ, mimo to niekiedy musiała to robić. W końcu jednak, pewnego pięknego dnia, udało jej się wstać z nieco mniejszym wysiłkiem. Usiadła wtedy na słońcu i wygrzewała się przez jakiś czas. Kiedy nadeszła wiosna, poczuła się trochę lepiej. Wciąż jednak nie była tak silna i sprawna jak dawniej. Dobra kuzynka od czasu do czasu przynosiła jej na pocieszenie jakiś smakołyk. A wtedy ona przyciskała dłoń do piersi, mówiąc:

- Trudno mi połykać, siostró. Tutaj, o tu, coś mnie gniecie. To chyba serce. Jest takie ciężkie i przepełnione, że nie mogę nic przełknąć. Wypełnia je po brzegi ból, którego nie potrafię wypłakać. Gdybym wreszcie wypłakała się do końca, wyzdrowiałabym z całą pewnością. Tak jej się wydawało. Jednak płacz nie przychodził. Przez całą wiosnę matka nie mogła ani płakać, ani pracować tak jak kiedyś. Starszy syn zmagał się z całą robotą, w której bardzo pomagał mu kuzyn. A matka nie mogła ani płakać, ani pracować.

Trwało to aż do dnia, gdy jęczmień miał już wąsy. Tego dnia matka była rano tak zmęczona, że nawet nie przyczesła włosów. Siadła na słońcu i siedziała tam jakaś otępiała. Nagle usłyszała czyjeś kroki, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że stoi przed nią pośrednik posiadacza ziemskiego. Po chwilkę przybiegł starszy chłopiec, który zobaczył mężczyznę z daleka.

- Panie - zwrócił się do niego - mój ojciec nie żyje. Zastępuję goja, bo matka od wielu miesięcy jest chora. Więc jeżeli przyszłicie ocenić tegoroczne przyszłe plony, to pójdę z wami, bo ona nie jest w stanie. A wtedy ten człowiek, ten mieszcuch o gładkich włosach i gładkiej twarzy, spojrzał na matkę obojętnie. I całkiem bez zażenowania. Nie spytał, co jej się przytrafiło, bo wiedział to doskonale. A matka, wiedząc, że on wie, spuściła w milczeniu głowę.

- No to chodź, chłopcze - odezwał się niedbale mężczyzna. Po czym oddalili się obaj, zostawiając kobietę samą.

A ona uświadomiła sobie wyraźnie i ostatecznie, że nie ma dla niej żadnej nadziei na pomoc od tego człowieka. Zresztą prawda była taka, że wcale go już nie pragnęła jako mężczyzny. Jej ciało było przecież przez tak długi czas bardzo słabe. Jednak to spotkanie pozbawiło ją resztek złudzeń. Potrzebowała takiego wstrząsu. Poczula, że grudka w jej piersi, którą nazywała sercem, nagle się rozplywa. Jej oczy napełniły się łzami. Wstała i wąską, całkiem nieuczęszczaną ścieżką udała się do pobliskiej skromnej, samotnej mogiły. Mogiły kogoś nieznanego - kobiety czy mężczyzny - tak starej, że nikt nie miał pojęcia, kto został w niej pochowany. Usiadła na tym porośniętym trawą wzgórkowi i czekała. I doczekała się - bo w końcu zaczęła płakać.

Z początku gorzkie łzy pojawiały się powoli, jednak po pewnym czasie popłynęły obficie. Matka złożyła wtedy głowę na mogile i płakała tak, jak płaczą wszystkie kobiety, gdy ich serca wypełniają życiowe zgryzoty, gdy życie stało się dla nich zbyt ciężkie i gdy one, nie zważając już na nic, chcą tylko doznać jakiejś ulgi. Tak, matka wreszcie płakała, a jej płacz, niesiony wiosennym wiatrem, dotarł aż do wioski, gdzie inne matki i żony, słysząc go, popatrzyły po sobie, mówiąc łagodnie:

- Niech się wypłacz, biedaczka, niech sobie ulży. Bo przez tyle miesięcy wdowieństwa nie mogła tego zrobić. Powiedzcie jej dzieciom, żeby pozwoliły matce płakać.

Więc matka płakała i nikt jej nie przeszkadzał.

Trwało to bardzo długo. Wreszcie jednak, w pewnej chwili matka usłyszała jakiś dźwięk - cichy szelest tuż obok siebie. Podniosła wtedy wzrok w zapadającym zmierzchu - bo trzeba powiedzieć, że jej płacz trwał aż do zachodu słońca - i zobaczyła swoją małą córkę. Dziewczynka szła, szukając po omacku drogi, a gdy znalazła się już blisko, zawołała:

- Och, matko, żona kuzyna kazała pozwokć ci płakać, aż poczujesz ulgę. Ale przecież płaczesz już tak długo! I co? Jeszcze ci nie ulżyło?

Słowa dziecka sprawiły, że matka doznała wstrząsu. Poruszona do żywego, spojrziała na córkę, a potem westchnęła, usiadła i odgarnęła do tyłu rozsypane włosy. Następnie otarła zapuchnięte oczy i wstała. Dziewczynka wyciągnęła rączkę, szukając jej dłoni. Uczyniła to z zamkniętymi oczyma, raziała ją bowiem wieczorna zorza, która pojawiła się po zachodzie słońca.

- Ja nie chciałabym nigdy płakać - powiedziała żalnym tonem - bo kiedy płacę, to tak okropnie bołą mnie oczy!

Słyszając to, matka całkiem oprzytomniała, nagle oczyszczona. Tak, te kilka słów wypowiedzianych pod koniec tego dnia i ta mała rączka, szukająca jej dłoni, przywołały ją z głębi jej rozpacz, w której żyła pogrążona od kilku miesięcy. Teraz stała się na powrót matką. Popatrzyła na swoje dziecko i otrząsając się w końcu z oszołomienia, zapytała:

- Czy z twoimi oczami jest gorzej, moje dziecko?

- Jest chyba tak jak zawsze - odrzekła dziewczynka - tylko światło mnie bardziej razi i nie widzę waszych twarzy tak wyraźnie jak kiedyś. A poza tym teraz, kiedy mój brat tak urósł, nie potrafię powiedzieć, kto nadchodzi - on czy ty. Wiem to dopiero wtedy, kiedy usłyszę głos zbliżającej się osoby.

Gdzie byłem przez wszystkie te dni, pomyślała matka, prowadząc córkę z ogromną czułością, a potem, już głośno, dodała:

- Posłuchaj, dziecko, jutro skoro świt pójdę i kupię dla ciebie balsam, tak jak to zawsze obiecywałam!

Tej nocy dzieci miały wrażenie, że matka wróciła z jakiejś dalekiej podróży. Ze wróciła i jest znowu sobą. Postawiła bowiem dla nich na stole pełne miski i krzątała się po izbie z twarzą bladą i wymizerowaną, ale spokojną. Patrzyła na dzieci tak, jakby nie widziała ich od lat.

- Synku - zawołała w pewnej chwili, patrząc na młodszego chłopca - jutro upiore ci kaftan. Nie zauważyłam, jaki jest brudny i obszarpany. Jesteś zbyt ładnym chłopcem, żeby chodzić w czymś takim. A ja jestem przecież twoją matką.

Starszemu natomiast powiedziała:

- Mówiłeś któregoś dnia, że skaleczyłeś się w palec i że cię boli. Pokaż, niech to zobaczę.

A potem, kiedy już umyła mu dłoń i przyłożyła do rany trochę oliwy, zapytała jeszcze:

- Jak to się stało, synu?

A wtedy chłopiec otworzył ze zdziwienia oczy i odrzekł:

- Mówiłem ci, matko. Skaleczyłem się, ostrząc sierp na osełce, kiedy się przygotowywałem do ścinania jęczmienia.

- Tak, tak, teraz pamiętam - powiedziała szybko matka. - Mówiłeś mi o tym.

Dzieci, nie bardzo rozumiejąc, jak to się dzieje, poczuły nagle jakieś ciepło wokół siebie. Ciepło, które promieniowało z matki. Uradowane, zaczęły mówić jedno przez drugie, opowiadać jej różne rzeczy.

- Mam grosik - oznajmił mniejszy chłopiec - który wygrałem, kiedy z kolegami graliśmy na ulicy. Ja zawsze wygrywam. Takie mam szczęście! Matka popatrzyła na niego serdecznie i zobaczyła, jaki jest ładny i zdrowy. A potem, dziwiąc się sobie, że nie zauważyła tego dawno temu, odrzekła z nagłą czułością:

- To świetnie, że zaoszczędziłeś ten grosik. Ze nie zmarnowałeś go, nie wydałeś zaraz na słodycze. Dobre z ciebie dziecko!

- Ale matko - odrzekła chłopiec zmartwiony - ja go zaoszczędziłem tylko na dzisiaj. Bo tak myślałem... żeby jutro kupić sobie coś słodkiego.

Zresztą ja nie muszę oszczędzać, bo prawie codziennie potrafię wygrać grosik.

Tu przerwał, spodziewając się nagany. Matka jednak odpowiedziała łagodnie:

- Kup sobie, synu, kup, co chcesz. Ten pieniążek należy przecież do ciebie.

Teraz z kolei odezwał się milczący dotychczas starszy chłopiec:

- Matko, mam ci do powiedzenia coś dziwnego. Dzisiaj, kiedy by-kśmy razem w polu, pośrednik posiadacza ziemskiego mówił mi, że w tym roku po raz ostatni przychodzi do naszej wioski, bo postanowił spróbować szczęścia w innych stronach. Zmęczyło go chodzenie po naszych wiejskich drogach, zmęczył go też wieśniacy i ich żony, bo rok po roku powtarza się tutaj to samo. Dlatego postanowił udać się daleko stąd, do miasta.

Matka, słysząc te słowa, zamarła. Siedziała przez jakiś czas bez ruchu, wpatrując się w chłopca w słabym świetle migoczącej świecy, którą zapaliła tej nocy i postawiła na stole. Gdy chłopiec skończył mówić, odczekała chwilę, pragnąc, by jego słowa zapadły jej w serce. I tak się stało - słowa wniknęły w nie niby woda deszczowa w wysuszoną, spragnioną ziemię.

- Tak powiedział, mój synu? - zapytała matka. - Ale musimy już iść spać - dodała zaraz szybko, siląc się na obojętność. - Musimy odpocząć, bo jutro skoro świt idę do miasta po balsam, który wyleczy oczy twojej siostry. Jej głos był teraz dźwięczny i spokojny. Zaraz też przyszedł pies i zaczął się łaścić o jedzenie. Nakarmiła go zatem porządnie, a zwierzę jadło do syta - uszczęśliwione i zdumione, połykając pospiesznie i sapiąc z zadowoleniem.

Tej nocy matka spała. Spali zresztą wszyscy. Sen zstąpił na nich, na matkę i na dzieci, a oni, pogrążeni w nim głęboko, odpoczywali.



## XII

Nazajutrz dzień wstał szary i spokojny. W powietrzu wisiał niedokończony letni deszcz. Niebo chyliło się nisko nad doliną, ciężkie i brzemienne nadchodzącą ulewą, a pagórki skryły się we mgle. Mimo to matka wstała wcześniej i zaczęła się sposobić do drogi. Zamierzała pójść do miasta, zabierając ze sobą dziewczynkę. Tego, co pragnęła zrobić dla córki, nie mogła odkładać ani o dzień dłużej. Czekala z tym przecież już bardzo długo. Przez wiele, wiele dni, które zmieniły się w lata. Teraz jednak, wraz z przyływem nowych uczuć macierzyńskich, tak czystych, bo obmytych przez łzy, jej serce stało się bardzo czułe. Pragnęła więc działać jak najprędzej.

Co do dziewczynki, to ta aż dygotała z przejęcia. Uczesała swe długie włosy, wplotła w nie nową tasiemkę, włożyła też czysty, niebieski kaftan w białe kwiaty. Stroiła się tak, bo nigdy dotąd nie opuszczała ich małej wioski.

- Bardzo bym chciała, matko - powiedziała smutno - żeby moje oczy były dzisiaj czyste i żeby mogła zobaczyć wszystkie te cuda i dziwy, które są w mieście.

- Gdyby tak było - wtrącił się bystro młodszy chłopiec - nie musiałabyś wcale iść do miasta.

Uwaga ta była tak trafna, że dziewczynka się uśmiechnęła. Będąc jednak dzieckiem powolnym i łagodnym, milczała przez chwilę i odpowiedziała bratu dopiero po zastanowieniu:

- Masz chyba rację. Ale wiesz, ja nawet gdybym miała nie zobaczyć nigdy miasta, wolałabym mieć zdrowe oczy. Tak, tak, wolałabym, żeby moje oczy były zdrowe.

Chłopiec jednak nie pamiętał już własnych słów. Był bowiem dzieckiem niecierpliwym i szybkim, co objawiało się zarówno podczas zabawy, jak i podczas wypełniania drobnych obowiązków. Przerzucał się też błyskawicznie z jednej rzeczy na drugą i pod tym względem najbardziej z całej trójki przypominał ojca.

Matka nie słuchała gadaniny dzieci. Zdażyła się już ubrać i była gotowa do drogi. W pewnej chwili stanęła jeszcze przed otwartą szufladą, wyjęła z niej małą paczuszkę i przyjrzała się jej. A potem od-pakowała świecidełka z miękkiego papieru. Czy powinnam je zatrzymać, czy może wymienić-na monety, zastanowiła się. Nie mogę ich nosić, bo wszyscy uważają mnie za wdowę. Zresztą sama także nie wytrzymałabym, mając je na sobie. Mogłabym je jednak przechować aż do ślubu dziewczynki. Tak sobie myślała, trzymając błyskotki w dłoni i przyglądając się im uważnie. Nagle ogarnął ją gniew. Zapragnęła się od nich uwolnić, a także od wszelkich wspomnień. Nie, nie, powiedziała sobie stanowczo, nie będę ich przechowywała. Bo on, to znaczy mój mąż, może przecież wrócić. Gdyby, powróciwszy, znalazł je u mnie, nie uwierzyłby, że kupiłam je sobie sama. Szybko schowała paczuszkę za pazuchę i powiedziała dziewczynce, że muszą już ruszać w drogę.

Poszły więc razem przez wioskę, bardzo spokojną o tej wczesnej porze. Matka kroczyła swobodnie. Już dawno bowiem nie czuła w sobie takiej siły. Głowę niosła wysoko wśród porannej mgły. Prowadziła córkę za rękę, a ta starała się dotrzymać jej kroku. Nie miała jednak pojęcia, jak źle widzi. Koło domu, gdzie znała wszystkie ścieżki, poruszała się swobodnie, nogi niosły ją same. I nie zdawała sobie sprawy, że w rzeczywistości kieruje się dotykiem i węchem, a nie wzrokiem. Teraz natomiast znalazła się na drodze, która nie była jej znana. Ta droga, wyboista i nierówna, raz biegła pod górę, a raz w dół. Więc gdyby nie ręka matki, dziewczynka nieraz by upadła.

Matka widząc to, bardzo się przestraszyła. Jej serce wybiegło na spotkanie tej nowej zgryzoty.

- Moje biedactwo! - zawołała. - Wygląda na to, że jest już dla ciebie za późno! Ale nigdy nie mówiłaś, że nie widzisz. Myślałam zawsze, że oślepią cię tylko ten płyn, który zbiera ci się w oczach.

- A ja, matko, myślałam, że dobrze widzę - odrzekła dziewczynka. - Zresztą dalej tak myślę. Tylko że ta droga raz biegnie w dół, a raz pod górę. A poza tym ty idziesz tak szybko.

Matka zwolniła kroku i nie powiedziała nic więcej. Szły teraz powo- k i dopiero koło sklepu z medykamentami matka, całkiem bezwiednie, przyspieszyła. Tak bardzo bowiem pragnęła kupić już balsam dla córki. Było jeszcze wcześniej - okazały się pierwszymi klientkami. Właściciel sklepu zdejmował dopiero osłony z desek zabezpieczające drzwi. Robił to powoli, przerywał często. Ziewał, wsuwał palce w swoje długie, zmierzwiłone włosy i drapał się w głowę. Gdy stanął już za ladą i zobaczył przed sobą wieśniaczkę z dziewczynką, zawołał zdumiony:

- Czego wy chcecie o tak wczesnej porze? A matka, wskazując dziecko, odrzekła:

- Czy macie, panie, jakiś balsam, który jej pomoże na oczy? Mężczyzna przyjrzał się zaognionym, zaczerwienionym oczom dziewczynki, które ta z trudem otwierała.

- Jak to się stało, że jej oczy są w takim stanie? - zapytał.

- Z początku myśleliśmy, że to dym tak na nie działa - odrzekła matka. - Mój mąż nie żyje, a ja muszę sobie radzić sama. Pracuję jak mężczyzna. Wracam do domu późno, a moja córka podsyca w kuchni ogień. Ostatnio jednak kazałam jej trzymać się z dala od dymu. Więc wygląda na to, że to coś więcej, nie tylko dym tak działa na jej oczy. Wiecie panie, w niej tworzy się jakiś taki żar. Tworzy się sam z siebie. I wypala jej oczy. To jest taki ogień. Nie mam pojęcia, skąd on się bierze, bo moja córka to bardzo łagodne dziecko, które nigdy się nie złości.

Mężczyzna pokręcił głową i ziewnął znowu szeroko.

- Na świecie - odrzekł beztrosko - jest wielu ludzi z takimi oczami. Tych ludzi trawi wewnętrzny ogień. Są różne odmiany tego ognia,

jednak balsam na taką gorączkę nie istnieje. Ta gorączka będzie w dziecku rosła. Tak, tak. I nie ma na to lekarstwa.

Słowa te spadły na matkę i córkę niby cios twardym żelazem.

- Jednak... - zaproponowała matka cicho - może jakiś lek istnieje... Tak, tak... Musi być gdzieś jakiś lekarz... Czy znacie, panie, jakiegoś dobrego, niezbyt drogiego lekarza? Bo jesteśmy biedne.

Ale mężczyzna pokręcił tylko swoją rozczochraną głową.

- Nie ma na to sposobu. Nie da się sprawić, żeby ona widziała - powiedział, biorąc małe drewniane pudełko z lekami. - Jestem tego pewien, bo widywałem wiele takich przypadków. Codziennie zjawia się u mnie ktoś z takimi oczami, skarżąc się na trawiącą go wewnętrzną gorączkę. Tak to już jest. Nawet cudzoziemscy doktorzy nie znają na to lekarstwa. Tak powiadają ludzie. Tacy doktorzy potrafią rozciąć oczy, otworzyć je i potrzeć od środka magicznymi kamieniami, modląc się przy tym i wypowiadając zaklęcia. A mimo to ten wewnętrzny ogień i tak narasta. I nikt nie potrafi go stłumić, bo płonie on w miejscu, gdzie znajduje się życie człowieka. Ale macie tu, kobieto, taki chłodzący proszek. Ochłodzi on na jakiś czas oczy dziecka, choć wyleczyć ich nie jest w stanie.

To powiedziawszy, mężczyzna wyjął proszek mający postać małych kuleczek o barwie i wielkości ziaren ciemnej pszenicy. Po czym wsypał kuleczki do dutki z gęsiego pióra, którą zatkał łojem.

- Tak, moja gosposiu, wasza córka jest ślepa - powiedział.

A widząc twarz dziewczynki, na której odmalowało się przerażenie, dodał nieco łagodniej.

- Co wam przyjdzie z rozpaczy? Takie jest jej przeznaczenie. W którymś wcześniejszym życiu dziewczynka musiała zrobić coś złego albo przyglądać się czemuś zakazanemu. I stąd się wzięła ta klątwa. Mozkwe też, że zgrzeszył jej ojciec, a może nawet wy, gosposiu. Któż zna ludzkie serce? Jakkolwiek było, klątwa padła na nią i nikt nie zmieni woli niebios. Powiedziawszy to, ziewnął jeszcze raz, zapominając o swojej chwilowej zyczkwości, a potem wziął od kobiety grosz i dobrze go schował.

Matkę ogarnął gniew.

- Moja córka nie jest ślepa! - zawołała. - Kto słyszał, żeby od zaropiałych oczu traciło się wzrok?! Matka mojego męża miała takie oczy od dzieciństwa, a nie umarła niewidoma!

A potem wyszła ze sklepu, zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć. Mocno ścisnęła przy tym dziewczynkę za rączkę, żeby powstrzymać jej drżenie. Skierowała teraz swe kroki do złotnika, ale innego niż poprzednim razem. Znalazłszy się w jego sklepie, wyjęła zza pazuchy paczuszkę i podała ją brodatemu właścicielowi.

- Wymieńcie mi to, panie, na monety - powiedziała ścisłym głosem - bo umarł mi mąż i nie mogę już nosić tych rzeczy.

Stary człowiek położył błyskotki na wadze, chcąc zobaczyć, ile są warte. A tymczasem matka czekała. Dziewczynka zaczęła cicho płakać.

- Ja chyba nie jestem naprawdę ślepa, matko - powiedziała ze szlochem - bo zdaje mi się, że tam, na wadze widzę coś błyszczącego. A przecież gdybym była ślepa, to bym tego nie widziała, prawda? Ale powiedz mi, co to tak błyszczy?

Słyszając to, matka uświadomiła sobie, że dziewczynka naprawdę nie widzi, bo przecież świecidełka leżały o niecałe dwie stopy od jej twarzy.

- Masz rację, dziecko - odrzekła, ukrywając cierpienie. - To kawałek srebra. Pierścionek, którego nie mogę teraz nosić. Dlatego wymieniam go na monetę, którą będziemy mogli wydać.

Ta nowa zgryzota sprawiła, że kobieta ani przez chwilę nie żałowała swoich błyskotek. Myślała tylko, że choćby najjaśniej błyszczały, jej dziecko ich nie zobaczy. Stary człowiek wziął świecidełka i umieścił je w gablotce, w której przechowywał bransoletki, pierścionki i dziecięce łańcuszki, a także inne ozdoby. A matka, kompletnie zapominając, co dla niej znaczyły, wiedziała tylko jedno - że są błyszczącymi drobiazgami, których jej dziecko nie widzi.

Teraz została do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Matka wiedziała, że musi ją zrobić, bo dziecko jest naprawdę ślepe. Wzięła dziewczynkę za rękę i szła, osłaniając ją przed przechodniami. O tej porze bowiem na ulicach panował już tłok. Do miasta przybyło wielu ludzi, by coś kupić albo sprzedać własne produkty. Rolnicy i ogrodnicy rozstawiali wzdłuż ukcy kosze z zielonymi, świeżymi warzywami, a rybacy szafliki pełne ryb. Matka prowadziła dziewczynkę przez miasto. Szły dość długo, aż wreszcie dotarły do pewnego sklepu. Tu matka kazała córce zaczekać przed drzwiami, a sama weszła do środka. Gdy subiekt ją zapytał, czego sobie życzy, odrzekła:

- Proszę to.

I wskazała niewielki mosiężny gong z drewnianym młoteczkiem.

Gongami takimi posługują się ludzie ślepi, by ostrzegać innych, że nie widzą. Sprzedawca uderzył kilka razy młoteczkiem, demonstrując, ile wart jest jego towar. A wtedy dziewczynka podniosła głowę i zawołała:

- Matko, jest gdzieś tutaj jakiś ślepiec, bo słyszę dźwięk gongu tak czysty jak dźwięk dzwonu.

Sprzedawca roześmiał się na to głośno. Dobrze bowiem widział, że dziecko jest ślepe.

- Nie ma tu żadnego ślepca - zawołał - oprócz...

Nie dokończył, bo matka spojrzała na niego wzrokiem tak ciężkim, że słowa zamarły mu na ustach.

Zaraz też podał jej zapakowany gong i odprowadził ją zdumionym wzrokiem głupca, który nic nie rozumie.

Matka i córka ruszyły teraz w drogę powrotną. Dziewczynka cieszyła się, że wraca do domu, bo z upływem dnia miasto robiło się coraz bardziej hałaśliwe. Panował w nim straszny harmider i rozlegały się dźwięki, do jakich nie była przyzwyczajona. Ludzie targowali się głośno, coraz też potraçał ją ktoś, kogo nie mogła zobaczyć. Stawiała swoje małe stopki, wymacując ostrożnie drogę i - całkiem tego nieświadoma - uśmiechała się, cierpiąc. A tymczasem matka, która

w skrytości ducha bardzo nad tym bolała, szła, ściskając w dłoni tę rzecz, którą dopiero co kupiła i która była znakiem rozpoznawczym ludzi niewidomych.

No tak, kupiła mały gong, jednak nie potrafiła dać go dziewczynce. Nie była bowiem w stanie przyjąć do wiadomości, że oczy jej dziecka zupełnie nic nie widzą. Przeczekała całe lato. Przez ten czas zdążyli ponownie zebrać zboże i oddać jego część nowemu pośrednikowi przysłanemu przez posiadacza ziemskiego. Był to stary człowiek, kuzyn czy też daleki krewny tego wielkiego pana. A potem nadeszła jesień. Jednak matka wciąż nie mogła zdobyć się na to, by dać dziewczynce znak rozpoznawczy ślepcy. Doszła do wniosku, że najpierw musi się pomodlić, ponieważ patrząc codziennie na swoje niewidome dziecko, przypominała sobie słowa aptekarza: „Może to jakiś grzech popełniony przez rodziców? Któż zna ludzkie serce?”.

Postanowiła wybrać się do pewnej świątyni. Nie do pobliskiej przydrożnej kapliczki, nie do tych bogów, których twarze przykryła wtedy ubraniami - ale do świątyni położonej daleko, ponad dziesięć mil od wioski. W świątyni tej, jak słyszała, była pewna dobra i potężna bogini, wysłuchująca modłtwa nieszczęśliwych kobiet. Przedtem jednak wyjaśniła synom, po co tam idzie, a oni do nieszczęścia siostry odnieśli się z powagą, bo byli nim naprawdę przerażeni.

- Od dawna się obawiałem, że coś jest z nią nie tak - powiedział starszy, starając się naśladować dorosłego mężczyznę.

A młodszy zawołał zdumiony:

- A ja nie miałem pojęcia, że coś jej się stało w oczy! Byłem przyzwyczajony do tego, że ona jest taka, jaka jest!

Następnie matka zwróciła się do dziewczynki:

- Córko - powiedziała - udaję się na południe, do świątyni, w której mieszka potężna bogini. Ta sama, która dała syna żonie Li Szóstego, gdy ta przez długie lata będąc bezpłodną, dożywała już wieku,

w którym kobieta przestaje rodzić, i gdy jej mąż, zniecierpliwiony i wściekły, chciał wziąć sobie konkubinę. Żona Li Szóstego gorąco się wtedy modliła, a potem przyszedł na świat jej piękny i dorodny syn.

- Pamiętam to, matko - odrzekła dziewczynka. - Żona Li Szóstego uszyła wtedy parę jedwabnych pantofli i ofiarowała je bogini, kiedy chłopiec się urodził. Tak, tak, matko, idź tam szybko, bo to naprawdę dobra bogini. Zatem matka ruszyła w drogę, walcząc z wiatrem, który od miesiąca szalał bezustannie, nawiewając chłód z północy, z pustyni. Ten zimny wiatr warzył kście na drzewach i trawę przy drodze, sprawiał, że wszystko więdło i umierało. Jednak czymś gorszym od wiatru, czymś znacznie bardziej od niego przykrym, był strach, który czuła teraz matka - strach, że to jej własny grzech sprowadził na dziecko klątwę. Gdy matka dotarła w końcu na miejsce, nie zauważyła wcale, że świątynia jest ogromna i piękna. Nie zauważyła jej pomalowanych na czerwono ścian ani tego, że bogowie świecą się od złota. A także mnóstwa ludzi, którzy tu przybyk. Nie, matka nie widziała tego wszystkiego. Weszła szybko do środka i zaczęła się rozglądać za swoją boginią. Miała przy sobie kadzidło, zakupione przy wejściu, a natknąwszy się na jakiegoś siwowłosego kapłana, zapytała go zaraz, gdzie ma jej szukać.

A kapłan - sądząc po jej skromnym wyglądzie, że jest jedną z wielu kobiet, które przychodzą tu codziennie, by prosić o synów - ściągnął usta i ruchem głowy wskazał ciemny kąt. I wtedy matka zobaczyła, że między dwiema mniej ważnymi figurkami siedzi tam mała, stara i brudna bogini. Podeszła bliżej i przystanąła. Czekwała, aż jakaś leciwa, skurczona kobieta skończy mamrotać swoje modlitwy. Staruszka tymczasem modliła się za syna, który nie mógł się ruszać.

- Leży tylko na łóżku - żakła się bogini - i nie może nawet spłodzić kolejnego syna. Jeżek w naszym domu zdarzył się grzech - modliła się dalej - grzech, którego nie odpokutowaliśmy, to powiedz mi o tym, pani. Bo jeżeli właśnie to jest powodem jego choroby, to ja jestem gotowa odbyć pokutę.



Wypowiedziawszy te słowa, staruszka wstała i oddaliła się, pokasłując i wzdychając. A matka ukłękła na jej miejscu, by wypowiedzieć własne życzenie. Nie mogła jednak przestać myśleć o tamtej. Wydawało jej się bowiem, że bogini patrzyła na starą kobietę z góry. A jej gładka złota twarz była przy tym nieruchoma i zupełnie nieporuszona losem modlącej się grzesznej duszy, której grzech nie został odpokutowany.

Matka modliła się przez pewien czas. W końcu jednak podniosła się z klęczek, westchnęła ciężko, nie wiedząc, ile warta była jej modlitwa, zapaliła kadzidło i wyszła ze świątyni. A potem przebyła dziesięć mil drogi powrotnej. Gdy, przemarznięta i zmęczona, znalazła się ponownie przed drzwiami własnej chaty, usiadła na stołku i dzieciom pytającym, czy bogini wysłuchiwała jej modłów, odrzekła ze smutkiem:

- Skąd mam wiedzieć, co planują dla nas niebiosy? Ja mogłam się tylko pomodlić. A będzie, co będzie, zgodnie z wolą nieba. Trzeba nam zatem czekać. Poczekamy i zobaczymy.

Jednak w głębi serca gorzko żałowała swojego grzechu. I im bardziej pograżała się w tym żalu, tym bardziej dziwiła się sobie. Jak mogłam popełnić taki grzech?, pytała samą siebie. I wzbierał w niej coraz większy gniew na tamtego gładkoliciego mężczyznę. Czuła do niego wstręt za swój grzech, a także za to, że nie potrafiła w żaden sposób cofnąć tego, co się stało. I ten wstręt sprawił, że opuściły ją tamten żar i cała jej młodość.

Tak, matka została z nich wyleczona. Przestała być młoda. Na całym świecie nie istniał już teraz dla niej żaden mężczyzna. Istniała tylko trójka jej dzieci, z których jedno było ślepe.

### XIII

Teraz matka nie była już młoda. Miała czterdzieści trzy lata. Kiedy czasami nocą chciała policzyć, ile lat nie ma w domu ojca jej dzieci, musiała posłużyć się dwukrotnie palcami obu dłoni. Nawet lat, w ciągu których oszukiwała całą wioskę, pozwalając ludziom myśleć, że jest wdową, było więcej niż palców jednej ręki.

Mimo to trzymała się tak jak dawniej - chodziła wyprostowana i szczupła. Nie przybywało jej ciała. Inni zaczynali wysychać na szczapy albo tyć, tak jak żona kuzyna i stara plotkarka. A ona pozostawała wysmukła i silna. Tak samo wysmukła i silna jak za młodu. Tylko jej piersi zmalowały i wyschły, a w ostrym świetle dnia na jej twarzy dawało się zauważyć zmarszczki wokół oczu, pozostawione przez pracę w palącym słońcu. Skórę matka miała ciemną, bo przecież przez tyle lat słońce w polu piekło ją bezkrośnie. Poruszała się trochę wolniej niż kiedyś i nie tak lekko, bo od chwili, gdy wydarła z siebie tamto niechciane życie, nie powróciła już całkiem do dawnych sił. Kiedy wzywano ją do porodu w wiosce - co teraz zdarzało się często, gdyż była wdową i to już niemłoda - trudno jej było czasami działać wystarczająco szybko i sprawnie. Dlatego zdarzało się niekiedy, że rodząca sama schwytała swoje dziecko, a raz nawet matka dopuściła do tego, że noworodek upadł na ceglana podłogę i posiniaczył sobie główkę. Był to chłopiec, jednak na szczęście nic mu się nie stało, bo wyrósł na krzepkiego i całkiem zdrowego na umyśle młodzieńca. Dzieciom, które wciąż rosły, matka wydawała się stara. Starszy syn wciąż jej powtarzał, żeby odpoczęła. Zalecał, żeby podczas orki

nie zmagala się z wielkimi twardymi grudami, tylko zostawila tę robotę jemu. On bowiem - jako młody mężczyzna obdarzony siłą - mógł to uczynić bez trudu. Tak, chłopak starał się, żeby matka wykonywała tylko drobniejsze, lżejsze prace. A najbardziej cieszył się wtedy, kiedy ona w letni dzień spokojnie siedziała w cieniu na swoim stołku i szyła, a on sam mógł iść w pole bez niej.

Jednak w rzeczywistości matka nie była aż taką staruszką, za jaką uważał ją syn. Ze wszystkich swoich zajęć wciąż najbardziej lubiła pracę w polu.

Uwielbiała po takiej pracy wracać do domu, bo ciało

- mokre od czystego potu - osuszała jej wtedy powiew chłodnego wiatru, a we wszystkich kościach czuła jakieś słodkie zmęczenie. Jej oczy, nawykłe do pól, pagórków i wielkiej otwartej przestrzeni, z trudem przyzwyczajały się do patrzenia na drobne przedmioty takie jak igła.

No tak, czuli, że w ich domu brakuje kobiety młodej i o zdrowych oczach, bo teraz wszyscy już wiedzieli, że dziewczynka jest ślepa. Ona sama, biedactwo, także o tym wiedziała - od tamtego dnia, kiedy wraz z matką poszła do miasta. Wiedziała o tym tak samo dobrze jak matka. I żadna z nich nie pokładała zbytnej ufności w bogini. Matka

- ponieważ pełna lęku pamiętała o swoim grzechu. A dziewczynka

- bo uznała, że ślepotą to jej przeznaczenie.

- Zużyłaś już cały ten proszek, który był w dutce z gęsiego pióra?

- zapytała pewnego dnia matka.

- Już dawno go zużyłam. Do samego końca - odrzekła spokojnie dziewczynka, siedząca teraz na progu, bo światło, którego nie widziała, już jej nie raziło.

- Muszę ci kupić więcej - stwierdziła matka. - Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

Dziewczynka tylko pokręciła głową, a matka na ten widok poczuła, że serce przestaje jej bić.

- Och, matko, ja jestem ślepa! - usłyszała porywcze słowa córki.

- Jestem ślepa i dobrze o tym wiem! Teraz już zupełnie nie widzę twojej twarzy, a gdybym wyszła przed drzwi naszego domu, nie

dostrzegłabym drogi. Czy nie zauważyłaś, że nigdy nie wychodzę z chaty? Ze nie chodzę nawet w pole?

Dziewczynka rozplakała się. Krzywiła się przy tym i przygryzała wargę, bo płacz wciąż sprawiał jej ból. Płakała więc tylko wtedy, kiedy zupełnie nie mogła się powstrzymać.

Matka nic jej nie odpowiedziała. Bo cóż mogła odpowiedzieć swemu ślepemu dziecku? Po chwili jednak wstała i weszła do izby. A tam, z szuflady, w której kiedyś leżały świecidełka, wyjęła mały gong i wróciła do córki.

- Dziecko - powiedziała do niej - kupiłam to na wypadek, gdyby... Nie potrafiła dokończyć. Wcisnęła tylko gong do ręki dziewczynce, a ta wzięła go, pomacała, by sprawdzić, co to jest, ścisnęła mocno i uspokoivszy się nieco, powiedziała żalonym tonem:

- Tak, matko, ten gong jest mi potrzebny.

Kiedy wieczorem wrócił do domu straszny syn, matka kazała mu zrobić kostur z jakiegoś twardego drewna i wygładzić go tak, żeby pasował do dłoni dziewczynki. Teraz dziewczynka - z gongiem w jednej ręce i kosturem w drugiej - mogła poruszać się trochę swobodniej i śmieiej. A gdyby przytrafiło jej się coś złego, gdyby ktoś nieostrożny popchnął ją albo na nią wpadł i przewrócił, nie można by było winić o to matki, bo przecież dała jej do ręki znak informujący, że jest ślepa, znak, który każdy mógł zauważyć.

Od tej pory dziewczynka, wychodząc z domu, miała zawsze przy sobie te dwie rzeczy - kostur i gong. Nauczyła się też wydobywać z gongu cichy dźwięk i poruszała się spokojnie i pewnie. Była przy tym ładna, a jej smutna twarz o drobnych rysach miała w sobie ową charakterystyczną nieruchomość, jaką twarze ludzkie naznacza ślepotą.

Równocześnie jednak niewidoma dziewczynka po domu poruszała się w cudownie zręczny sposób. Tutaj niepotrzebny jej był gong czy kostur. Potrafiła też doskonale myć i gotować ryż. Matka nie pozwalała jej tylko rozpalać ognia. Dziewczynka zamiatała jednak izbę i klepisko, umiała zaczerpnąć wody ze stawu, a także odszukać jajka, które kura

zniosła nie tam, gdzie zwykle. Kierując się zapachem i różnymi odgłosami, wiedziała, gdzie są zwierzęta, i potrafiła je nakarmić. Tak, potrafiła zrobić prawie wszystko. Z wyjątkiem szycia i pracy w polu. Do pracy w polu była zbyt słaba, bo nękająca ją od małości choroba sprawiła, że nie urosła.

Matka z czułością patrzyła, jak dziewczynka krząta się po domu. Cierpiała też, zastanawiając się, jaki los przypadnie tej młodej istocie, kiedy przyjdzie czas wydania jej za mąż. Bo wydać ją za mąż trzeba było koniecznie. W przeciwnym bowiem razie po śmierci matki nie miałyby nikogo, kto by się nią opiekował. Nie należałyby też do nikogo, bo przecież kobieta w pierwszej kolejności należy do domu swego męża, a nie do tego, w którym się urodziła. Matka myślała o tym bardzo często. Zastanawiała się, kto weźmie ślepą dziewczynę. I co się z nią stanie, jeżeli nikt taki się nie znajdzie. Gdy o tym wspominała, starszy chłopiec oznajmiał niezmiennie:

- Ja się zaopiekuję siostrą, matko. Pod warunkiem, że ona będzie wykonywała swoją część roboty.

Słowa te stały się dla matki pewnym pocieszeniem. Jednakże z drugiej strony matka wiedziała, że mężczyzny nie zna się tak do końca, dopóki się nie pozna jego żony. Powtarzała więc sobie: Muszę mu znaleźć taką kobietę, która uwzględni potrzeby mojej ślepej córki i będzie dla niej dobra. Szukając żony dla mego starszego syna, muszę znaleźć taką, która zaopiekuje się dwojgiem - swoim mężem i jego siostrą.

Zresztą prawda była taka, że czas był najwyższy, by tej żony poszukać. Zanim matka się obejrzała, jej starszy syn miał już lat prawie dziewiętnaście. Mimo to nigdy nie prosił jej o żonę, nie okazywał też w żaden sposób, że żony potrzebuje. Był dotychczas najlepszym i najłagodniejszym z synów, jakiego matka mieć może. Pracował ciężko, nigdy o nic nie prosząc. Do herbaciarni zachodził rzadko, prawie

nigdy też w święto nie udawał się do miasta. Robił to tylko wtedy, kiedy miał tam do załatwienia jakieś sprawy. A gdy już znalazł się w mieście, nie uczestniczył nigdy w żadnych sprośnościach. Nie uprawiał nawet hazardu, tylko z daleka przyglądał się grającym. A w obecności starszych zawsze milczał.

Był więc idealnym synem. Jednak gdy wyrósł już z drobnych przywar dzieciństwa, pozostała mu jedna wada. Otóż nie oszczędza! on swego młodszego brata. Było to bardzo dziwne, jednak ten młody chłopak - choć tak spokojny i łagodny wobec całego świata, również wobec zwierząt, choć tak milczący, że nawet nie mówił matce, jakiego koloru chciałby mieć nowy kaftan - tam, gdzie chodziło o młodszego brata, okazywał się twardy. Pomstował na chłopca, gdy ten się lenił albo oddawał zabawie, i zmuszał go do wszelkich prac polowych. W domu wciąż wybuchały między nimi kłótnie. Młodszy chłopiec wykrzykiwał głośno gniewne słowa, a starszy milczał aż do chwili, gdy nie mogąc znieść tego dłużej, rzucał się na brata z tym, co mu wpadło w rękę albo i z gołymi pięściami. Bił, dopóki mały nie uciekł z płaczem z domu między drzewa albo nie znalazł sobie schronienia w chacie kuzyna. I za każdym razem, gdy doszło do czegoś takiego, cała wioska winiła starszego brata. Tak, ludzie winili go o to, że jest taki twardy. Spieszyli małemu na ratunek, a on, znajdując w tym zachętę, stawał się bezczelny. Unikał pracy i mieszkał przeważnie u kuzyna, wśród jego licznych dzieci, którym dawano mnóstwo swobody, a do domu wracał tylko wtedy, kiedy starszy poszedł w pole, do pracy.

Czasami jednak starszy brat, rozgniewany i wściekły, wracał do domu wcześniej i zastawał tam młodszego. Chwytał go wtedy mocno, pakując sobie jego głowę pod pachę, i dawał mu takie cięgi, że matka przybiegała z krzykiem.

- Dostyc już, dostyc, synu! - wołała. - Powinieneś się wstydzić! Bo kto to słyszał, żeby tak bić małego i tak straszyć siostrę!

- Co takiego?! - odpowiadał na to z gniewem młody mężczyzna. - Nie wolno mi go zganić? Przecież ojca nie mamy, a ja jestem jego

straszym bratem. To leń patentowany. I przy każdej okazji uprawia hazard. Wiesz o tym dobrze, matko. Ale cóż, ty zawsze kochałaś go najbardziej z nas trojga!

Była to prawda. Matka rzeczywiście ze wszystkich swoich dzieci najbardziej kochała najmłodszego syna. To na niego patrzyła zawsze z największym wzruszeniem. Najstarszy syn tak szybko stał się przecież mężczyzną. I był taki milczący, nic do nikogo nie mówił, a matka zachodziła w głowę dlaczego. Przypuszczała jednak, że jego gburowa-tość spowodowana jest zmęczeniem. Dziewczynkę natomiast kochała serdecznie. Chociaż jej miłość do tego dziecka pomieszana była z cierpieniem, bo niewidzące oczy córki stanowiły dla matki wyrzut sumienia. Matka nie potrafiła bowiem zapomnieć, że bogini nie wysłuchiwała jej modlitwy. Nigdy też nie zdobyła się na to, żeby pomodkć się ponownie, i ze strachem myślała o tym, że oto jej grzech powraca. I to na dodatek w postaci trudnej do zniesienia, bo dotyka jej dziecka. Więc choć serce miała zawsze pełne litości dla dziewczynki, ta nigdy nie stanowiła dla niej radości ni pociechy. Nawet wtedy, gdy córka przychodziła do niej z miłością, serdecznością i uśmiechnięta, kiedy siadała obok, by posłuchać jej głosu - matka wstawiała, znajdując jakąś wymówkę i jakieś inne zajęcie. Nie mogła bowiem znieść widoku zamkniętych, pustych oczu dziewczynki.

Tymczasem najmłodszy syn był i zdrowy, i wesoły. I jakże często przypominał matce swego ojca! Dlatego matka kochała go coraz bardziej. Całą miłość, którą kiedyś miała dla mężczyzny, przelała teraz na drugiego syna. Kochała go i nieraz stawiała między nim a starszym bratem. Gdy starszy syn usiłował chwycić chłopca, wpadała między nich i przyjmowała na siebie ciosy. Wtedy bowiem starszy brat, zawstydzony, powściągał gniew, a malec wymykał mu się i uciekał z chaty.

Doszło w końcu do tego, że prawie nie mieszkał w domu. Ukrywał się u kuzyna i włóczył się tu i tam. Zawędrowywał nawet do miasta. Potrafił zniknąć na kilka dobrych dni. Po czym wracał do domu kuzyna,

a stamtąd, jakby nigdy nic, do własnego, obserwując jednak bacznie, w jakim brat jest tego dnia humorze. Czasami nie było go bardzo długo. Matka czekała wtedy, aż starszy syn wyjdzie, po czym szła do domu kuzyna i zachęcała chłopca do powrotu, obiecując mu coś dobrego do zjedzenia. Starszego syna trochę się bała. Dlatego czasami wracała z pola wcześniej, żeby dać małemu jeść, zanim zjawi się jego brat. A malec z każdej potrawy wybierał to, co najlepsze. Matka kochała go tak bardzo, że mu na to pozwalała. Kochała go za jego wesołość, za jego gładką okrągłą twarz i za prężne, giętkie, tak podobne do ojcowskiego ciało. Starszy chłopiec zgarbił się już od ciężkiej pracy, rękę miał twardą i działał powoli, a mały skórę miał gładką i opaloną, był też szybki i lekkonogi niczym młody kocur. Tak, taki właśnie był, a matka go kochała.

Powolny starszy syn widział to doskonale. Zauważał serdeczność i miłość, którymi matka darzy brata. I zastanawiał się nad tym wszystkim. Przypominał sobie każdy swój ciężko przepracowany dzień, świadomy, że przecież oszczędzał matce tak wiele trudu. I dochodził do wniosku, że matka jest najokrutniejszą kobietą pod słońcem, że wcale nie dba o to wszystko, co on od wczesnego dzieciństwa dla niej robi. Gdzieś bardzo głęboko w jego sercu zbierała się powoli gorycz. A także wzrastała nienawiść do brata.



## XIV

sercu starszego syna nagromadziła się nienawiść i nikt, nawet matka, nie miał pojęcia, jak jest głęboka. Aż pewnego dnia ta nienawiść ujawniła się z wielką siłą. Runęła jak rzeka, zasilana przez niewielkie i nieznane ludziom źródła, rzeka, która wezbrała za zaporą tamy i przerwawszy ją, wprawia ludzi w zdumienie, bo nikt z nich nie wiedział, co się z nią dotychczas działo.

Ten dzień przyszedł podczas żniw ryżowych, pod koniec lata, kiedy wszyscy od świtu do zmierzchu muszą harować w polu. Tak, w tym okresie haruje każdy, kto nie jest na tyle bogaty, by robotę wykonywał za niego ktoś inny. Tego dnia pracował także młodszy chłopiec, choć myśli miał zajęte zupełnie czym innym. Matka jednak zachęciła go do pracy.

Gładząc ukradkiem jego szczupłą chłopięcą dłoń, powiedziała:

- Przykładaj się do pracy przez tych kilka dni, mój synu. Pracuj z nami, kiedy trwają żniwa, i pokaż starszemu bratu, jak doskonale sobie radzisz. Jeżek sprawisz się dobrze, a brat będzie z ciebie zadowolony, kupię ci po żniwach coś ładnego. Tak, kupię ci coś, czego pragniesz najbardziej.

Chłopiec obiecał matce, że będzie pracował, odął jednak swoje czerwone wargi, bo uznał, że jest wykorzystywany. Ale spełnił obietnicę - pracował całkiem nieźle, a raczej wystarczająco dobrze, by ocalić skórę, gdy padało na niego spojrzenie starszego brata.

Pewnego dnia podczas tych żniw zanosilo się na deszcz. Trzeba więc było bardzo szybko sprzątnąć snopki z pola. Wszyscy pracowali

dłużej niż zwykle. Matka zmęczyła się bardzo, bo od czasu, gdy pragnąc ratować honor, zażyła tamtej nocy gorzkie zioła, jej siły nie były już tak niespożyte jak dawniej. W pewnej chwili wyprostowała z westchnieniem obolałe plecy i powiedziała:

- Wiesz, synu, pójdę teraz do domu i dopilnuję, żebyś po powrocie miał ciepłą strawę, bo zmęczyłam się bardzo i wszystko mnie boli.

- Idź więc do domu, matko - zgodził się starszy syn trochę szorstko.

Okazał tę szorstkość mimo woli, bo przecież nigdy nie miał zwyczaju nakłaniać matki, by pracowała ponad siły.

Matka zostawiła więc braci samych i poszła, bo godzina była już zbyt późna nawet dla tych, co zbierali pokłosie.

Zaledwie jednak postawiła strawę na ogniu, od progu rozległ się głos dziewczynki, która wołała, że słyszy płacz młodszego brata. Matka wybiegła wtedy z kuchni i przekonała się, że to prawda. Pospieszyła więc na pole, a tam zobaczyła, że starszy syn, chwyciwszy młodszego za szyję, okłada go bez litości trzonkiem kosy. Młodszy zaś, wrywając się z uścisku, próbuje z krzykiem bronić się pięściami. Starszy jednak trzyma go bardzo mocno i wali tępym końcem trzonka. Matka podbiegła do starszego syna i czepiając się jego rąk, zawołała błagalnym tonem:

- Och, synu, przecież to jeszcze mały chłopiec! Synu! Synu! Tymczasem młodszy wywinął się z uścisku brata i śmignął przez pole niby młody zając. Po czym zniknął w mroku. A matka i rozwścieczony starszy syn zostali sami.

- To jeszcze dziecko, synu! - zawołała łamiącym się głosem matka. - Ma dopiero czternaście lat i myśli o zabawie.

- A czy ja byłem dzieckiem, kiedy miałem czternaście lat? - odrzekł jej na to młody mężczyzna. - Czy bawiłem się w czasie żniw? Czy musiałeś przekupywać mnie pierścieniami, nowymi szatami albo innymi rzeczami, na które nie zasłużyłem?

Matka zorientowała się, że mały głuptas pochwalił się bratu jej obietnicą i zaniemówił. Przyłapana na tym błędzie, patrzyła na syna w milczeniu. A on zawołał z goryczą:

- Matko, ty przechowujesz pieniądze, a ja oddaję ci wszystko, co zarobimy. Dla siebie nie biorę nigdy ani grosza. Nie palę nawet fajki, nie piję wina, niczego sobie nie kupuję. Choć przecież młodemu mężczyźnie coś się od życia należy. Tymczasem jemu obiecujesz rzeczy, których ja nigdy nie miałem! I za co? Za to, że wykona pracę, którą powinien wykonać za darmo? I za którą dostaje przecież strawę i ubranie?

- Ale ja mu nie obiecałam ani pierścieni, ani szat - odrzekła matka cicho, bardzo skłopotana.

Bała się go teraz trochę. Bo chłopak, tak zwykle poważny i spokojny, był w swojej wściekłości nie do poznania.

- Obiecałaś! - zawołał porywczo. - A jeżeli nie obiecałaś mu pierścieni i szat, to zrobiłaś jeszcze gorzej! On twierdzi, że gdy po żniwach będą już pieniądze i gdy podatki zostaną zapłacone, dostanie to, co zechce. Twierdzi, że tak brzmiała twoja obietnica!

- Ależ synu, ja miałam na myśli tylko jakąś drobną zabawkę, za grosz czy dwa grosze - odparła matka, bardzo zawstydzona, po czym, zbierając się na odwagę, dodała jeszcze: - I zrobiłam to jedynie dlatego, że chciałam ochronić go przed twoją wieczną złością. Bo cokolwiek on zrobi, ty go zadręczasz. Złym spojrzeniem, okrutnymi słowami, a teraz nawet biciem! Młody mężczyzna nie odpowiedział. Nie odezwał się już ani słowem. Zabrał się z powrotem do pracy i pracował z taką energią, jakby wstąpił w niego jakiś demon. A matka stała, patrzyła na niego i nie miała pojęcia, co zrobić. Czuła, że chłopak jest twardy dla małego, a równocześnie zdawała sobie sprawę, że sama właściwie nie ma racji. W pewnej chwili zauważyła, że syn jest bliski łez, że chcąc powstrzymać szloch, zaciska zęby. Widząc, że chłopak, który wydawał się zawsze taki zwyczajny, taki zadowolony i taki pozbawiony pragnień, objawił nagle w ten sposób swoje uczucia, uświadomiła sobie, że serce jej mięknie. Tak, serce jej zmięknęło, jak zawsze, gdy skrzywdziła własne dziecko.

- Synu - zawołała ogarnięta czułością - ja wiem, że nie mam racji! Ostatnio niedobrze cię traktowałam. Nie zauważyłam nawet, kiedy wyrosłeś na mężczyznę. Ale ty jesteś już mężczyzną, teraz to widzę. I zajmiesz w naszym domu miejsce mężczyzny. Będziesz miał pieniądze i najwyższą pozycję. Tak, tak, widzę dobrze, że jesteś już mężczyzną. I wkrótce, bardzo prędko, zrobię to, co odkładałam zbyt długo. Znajdę dla ciebie żonę. A wtedy przyjdzie wasza kolej: twoja i jej. Nie widziałam tego, co jest oczywiste, ale teraz dobrze to widzę.

W ten sposób matka obiecywała synowi wynagrodzić wszystkie krzywdy. On jednak mruknął tylko coś pod nosem i odwrócił się do niej plecami, nie odrywając się od pracy. Ale matka poczuła ulgę. Ruszyła więc do domu, wołając głośno:

- Mogę przysiąc, że ryż już się przypalił!

Chciała w ten sposób pokryć jakoś niezręczność i sprawić, by wszystko wróciło na swe zwykłe tory.

Będąc już w domu, zaczęła się energicznie krzątać, zapominając przy tym o zmęczeniu. Wtedy jednak odezwała się dziewczynka.

- Matko, o co chodziło? - zapytała. A matka odrzekła pospiesznie:

- O nic takiego, dziecko. Twój młodszy brat nie przykładał się do pracy. Tak w każdym razie twierdzi starszy. Ale mnie się zdaje, że bracia zawsze się kłóca.

Po czym pobiegła do kuchni i przygotowała dodatkową smaczną potrawę. Pokroiła świeżą rzodkiewkę w plasterki, a następnie dodała octu, oleju sezamowego i sosu z soi - wszystko tak, jak lubił jej starszy syn.

Przygotowując dla niego ten przysmak, myślała, jak wynagrodzić mu krzywdy. Tak, tak, mówiła sobie, mój syn powinien się ożenić. Polegałam przecież na nim jak na dorosłym mężczyźnie, gdy tymczasem on nie dostawał należnej mężczyźnie nagrody. Tak pomyślawszy, postanowiła zrobić wszystko, co mu obiecała.

W końcu starszy syn wrócił z pola. Zrobił to później niż zwykle, gdy było już całkiem ciemno. Tak ciemno, że matka nie widziała jego

twarzy. Dostrzegła ją dopiero, gdy chłopak znalazł się w kręgu światła świecy, którą wcześniej zapaliła i postawiła na stole. Spojrzała na niego wtedy uważnie i zorientowała się, że jej starszy syn znowu jest sobą, że z zadowoleniem przyjął jej słowa i że minęła mu złość. Widząc to, zawołała młodszego, który głodny kręcił się pod drzwiami. Nie miał jednak odwagi wejść do środka, dopóki się nie przekonał, w jakim humorze jest brat.

- Wejdz, wejdz, mały synku! - dobiegły go słowa matki. Wszedł, nie spuszczać oka ze swego starszego brata. Ten jednak - już całkiem spokojny - nie zwracał na niego uwagi. A matka, zadowolona i pewna, że podjęła dobrą decyzję, postanowiła spełnić do końca to, co obiecała.

Jak zwykle, kiedy miała jakiś kłopot, udała się do kuzyna i jego żony. Nie znała bowiem odpowiedniej dziewczyny. Z tych, które mieszkały w ich wiosce, nie mogła wybrać żadnej, bo wszystkie były z nimi spokrewnione i nosiły to samo co oni nazwisko. W mieście natomiast nie miała znajomości, ponieważ tam bywała tylko u sklepikarzy, którzy kupowali od niej to, co przyniosła na sprzedaż. Odwiedziła więc dom kuzyna. Przyszła wieczorem, bo choć zbliżała się już wczesna jesień, było jeszcze ciepło. Usiedli z kuzynem i zaczęli gawędzić, gdy tymczasem żona kuzyna karmiła piersią swoje najmłodsze dziecko. Po kilku chwilach matka wyjawiała, z czym przyszła.

- Czy znasz jakąś dziewczynę, moja siostrze? - zagadnęła. - Może w tej wiosce, w której mieszkałaś przed zamążpójściem? I wiesz, bardzo bym chciała, żeby to była dziewczyna podobna do ciebie: spokojna, skora do rodzenia i zdolna do ciężkiej roboty. Domem jeszcze przez wiele lat mogę zajmować się sama. Dlatego nie zmartwię się zbytnio, jeżeli nie będzie zbyt dobrą gospodynią.

Zona dobrego kuzyna roześmiała się głośno.

- Nie wiem - zawołała, patrząc na męża - co na to powiedziałyby mój mężczyzna! Czy mieć taką żonę jak ja to przekleństwo, czy błogosławieństwo?

Mężczyzna, z właściwą sobie powolnością, podniósł wzrok i żując kawałek ryżowej łydgi, odrzekł z namysłem:

- Nooo... tak... ujdzie taka żona...

Niezbyt to brzmiało entuzjastycznie, kuzynka jednak znowu się roześmiała.

- No cóż, siostró - odrzekła matce - mogę pójść do mojej rodzinnej wsi i się rozejrzeć. Mieszka tam ze dwadzieścia rodzin, prawie tyle, co w mieście. Więc z pewnością znajdzie się choć jedna dziewczyna gotowa do zamążpójścia.

Matka stwierdziła następnie całkiem szczerze, że cała ta sprawa nie może za sobą pociągnąć zbyt wysokich kosztów.

- Jestem biedna, kuzyni, mój syn nie posiada zbyt wiele ziemi - powiedziała. - Dzierżawimy bowiem więcej, niż mamy na własność.

Dlatego wiem, że nie mogę liczyć na partię pod każdym względem najlepszą.

- Macie jednak trochę własnej ziemi - zauważył kuzyn. - A w dzisiejszych czasach, kiedy wielu nie ma nic zgoła, to naprawdę coś. Jeżeli o mnie chodzi, to chętniej wydałbym swoją córkę za człowieka, który ma trochę ziemi i niewiele srebra, niż za takiego, co ma mnóstwo srebra, a brak mu twardego kawałka gruntu do postawienia stopy. Dobry mężczyzna i dobra ziemia, oto sokdna obietnica dla dziewczyny.

- No cóż, ojciec moich dzieci - odezwała się jego żona - jeżeli mi pozwolisz, to wyruszę do swojej rodzinnej wsi i rozejrzę się tam trochę.

- Dobrze - zgodził się lakonicznie kuzyn - pozwalam ci na to. Nasze córki są już duże, mogą cię czasem zastąpić.

Zatem żona kuzyna ubrała się zaraz czysto, wzięła niemowlę i kilkoro najmniejszych dzieci - chciała je bowiem pokazać rodzinie swego ojca - a także kilkoro starszych, do pomocy przy tych małych, wynajęła wózek, do którego wsadziła wszystkie, i dosiadła siwego osła swego

męża, którego on teraz, po żniwach, nie potrzebował, bo do kieratu mógł zaprząć wołu. Po czym ruszyli wszyscy w drogę i nie było ich przez trzy dni albo i dłużej. A gdy wrócili, żona kuzyna zaczęła opowiadać o wszystkich dziewczętach, które widziała w tamtej wiosce. Matka, usłyszawszy o jej powrocie, przybiegła natychmiast, bo chciała jak najprędzej usłyszeć nowiny.

- We wsi, z której pochodzę, dziewcząt jest mnóstwo - powiedziała żona kuzyna - bo nigdy ich tam nie zabijamy. Nie czynimy tego tak jak ludzie w niektórych miastach. Nie zabijamy dziewczynek po urodzeniu.

Pozwalamy im rosnąć, bez względu na to, ile ich jest w rodzinie. Dlatego we wsi jest ich bardzo dużo. Co do mnie, to obejrzałam ich tuzin. A wszystkie były mi znane, wyrosnięte, dobrze odżywione i rumiane.

Każda z nich nadałaby mi się doskonale dla własnego syna. Jednak potrzebna była tylko jedna. Dlatego wysiliłam wzrok i przyjrzałam się dobrze wszystkim. I wybrałam trzy. A potem przyjrzałam się ponownie i zobaczyłam, że jedna z nich pokasłuje i jest zasmarkana, a drugą dotknęła jakaś choroba oczu. Natomiast trzecia okazała się świetna. To bystra,

zręczna dziewczyna, przysięgam ci, siostrze. I bardzo ostrożna we wszystkim, co mówi i czyni. Ludzie powiadają, że w całej wsi najszybsza z niej szwaczka. Tak, tak, ta dziewczyna sama szyje sobie ubrania, a także obszywa cały dom. Szyje też dla obcych. Zarabia więc trochę srebra.

Możliwe, że dla twojego chłopaka jest trochę za stara. Była już raz zaręczona, ale jej narzeczony zmarł przedwcześnie. Gdyby nie to, byłaby teraz mężatką. Jednak to nie wada, bo ojciec bardzo chce ją wydać za mąż i nie zażąda za nią zbyt wiele. Nie jest może tak ładna jak pozostałe.

Twarz ma trochę żółtą od ciągłego szycia, ale oczy zupełnie czyste.

- To ważne - odrzekła pospiesznie matka - bo przysięgam, że dość mamy chorych oczu w naszym domu. A i moje własne nie są już takie dobre jak kiedyś. Potrzebny nam ktoś, kto szyje i kto lubi to robić. Dogadaj się więc, siostrze, z tą dziewczyną. Jeżeli nie jest starsza o więcej niż pięć lat od mojego syna, to się nam nada.

Rzecz została więc ustalona. Po czym udano się do geomanty i porównano dzień, miesiąc, roki godzinę urodzenia młodych. Okazało się, że wróżą korzystnie. Młody człowiek urodził się bowiem pod znakiem konia, a dziewczyna pod znakiem kota, a te nie pozerają się nawzajem, co zapowiada w małżeństwie harmonię. Po tych ustaleniach podarowano wymagane zwyczajem prezenty.

Matka wyjęła ze skrytki srebrne monety i miedziaki, za które kupiła porządną bawełnę, chcąc uszyć dziewczynie dwie szaty. Zgodnie ze zwyczajem panującym w tych stronach, musiała się postarać, żeby skroić ją jakaś szczęśliwa kobieta - mężatka i matka synom. A któraż kobieta w wiosce była szczęśliwsza niż żona kuzyna? Matka zaniósł więc materiał do niej.

- Użycz swojej ręki, siostró - powiedziała - bo chcę, żeby twoje szczęście spłynęło na żonę mojego syna.

Żona kuzyna uczyniła to, o co ją poproszono. Skroić szaty. I to tak, żeby były obszerne i luźne i żeby dziewczyna, gdy zajdzie w ciążę, mogła je swobodnie nosić. Nie będą się wtedy marnowały, pomyślała sobie.

Następnie matka wydobyla ze schowka jeszcze trochę srebra i wynajęła czerwoną lektykę ślubną. Wypożyczyła też koronę z paciorków, kolczyki ze sztucznych pereł oraz wszystko, co było tego dnia potrzebne, zwłaszcza czerwone spodnie, jakie w tych stronach, zgodnie ze zwyczajem, nosi panna młoda. A potem ustalono dzień ślubu. I wreszcie dzień ten zaświtał, a był to jasny, chłodny dzień zimowy.

Matka czuła się dziwnie, witając w swoim domu przybysza, młodszą od siebie kobietę, bo przecież przez tyle lat była zarówno panią tego domu, jak i jego panem. Kiedy ubrana w swój najlepszy przyodziewek stała w drzwiach, oczekując państwa młodych, gdy zobaczyła ślubną lektykę, w której niesiono pannę młodą, wydało jej się nagle, że zaledwie przed chwilą sama przybyła tutaj w takiej samej lektyce. Oczyma wyobraźni zobaczyła stojącą w drzwiach zmarłą już starą kobietę, ujrzała też własnego męża na miejscu syna. Ostatnimi czasy



rzadko myślała o mężu. Właściwie uwierzyła, że on naprawdę nie żyje. Jednak teraz, gdy tak stała, czekając na państwa młodych, poczuła za nim jakąś dziwną tęsknotę. I nie była to tęsknota ciała. Nie, nie, ta zdążyła już w niej umrzeć, odeszła. Była to inna tęsknota - tęsknota za pełnią właściwą jej wiekowi, bo matka czuła się samotna.

Spojrzała na syna w jakiś nowy sposób, bo oto nie był już w jej oczach tylko synem, ale także mężem innej kobiety. Stał teraz przed drzwiami, bardzo spokojnie i ze spuszczoną głową - sztywny w nowej czarnej szacie, którą dla niego uszyła, a także w butach na nogach, które zwykle były bosc. Wydawał się nieporuszony tym wszystkim. Tak przynajmniej myślała matka, dopóki nie zauważyła, że jego dłonie drżą na tle czarnej szaty. Westchnęła wtedy ponownie i ponownie pomyślała o własnym mężu. Przypomniała sobie, jak spoglądała na niego zza zasłonek lektyki, a jej serce rosło, bo widziała, że jest bardzo przystojny i piękny. Tak, jej mąż był znacznie urodziwszy niż ten syn, który żenił się dzisiaj. Był najurodziwszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Zanim jednak te myśli zdążyły ją zasmucić, zboczyło się czoło ślubnego orszaku. Niesiono drobne ślubne owoce oraz koguta, którego matka posłała do domu panny młodej i którego, zgodnie ze zwyczajem, jej rodzina odsyłała teraz wraz z kurą do pary. A potem przyniesiono lektykę i postawiono ją przed drzwiami. Następnie żona kuzyna, plotkarka oraz inne starsze wieśniaczki próbowały wydobyć z niej pannę młodą, ciągnąc ją za rękę. A ona, jak przystało na przyzwoitą dziewczynę, bardzo się opierała. W końcu jednak, choć nad wyraz niechętnie, wysiadła z lektyki i weszła do domu - ze spuszczonymi oczyma i nie podnosząc ich ani razu. Wtedy matka wycofała się do chaty kuzyna. Taki był bowiem zwyczaj w tych stronach, gdzie uważano, że żona syna nie powinna widzieć matki swego męża, ponieważ w przeciwnym razie mogłaby się jej później bać. Dlatego matka tego dnia pozostała w domu kuzyna.

Starła się jednak przebywać jak najbliżej drzwi i usłyszeć, co ludzie mówią o nowo poślubionej żonie jej syna. Usłyszała, jak ktoś woła:

- Świetna dziewczyna! Wygląda tak poważnie!

- Podobno dobrze szyje - dodał ktoś inny. - Jeżeli to prawda, że uszyła te pantofelki, które ma na nogach, to przysięgam, że posiada dziesięć zręcznych palców!

Niektóre kobiety podeszły do panny młodej i zaczęły dotykać jej czerwonej szaty weselnej. Zaglądały też pod kaftan, chcąc zobaczyć, co ma pod spodem. Wszystko, co dziewczyna miała na sobie, okazało się porządnie uszyte, a guziki były twarde i ładnie zrobione ze skręconego materiału. Kobiety przybiegły zatem do matki.

- To porządna, zdolna dziewczyna - mówiły. - A i wygląd ma niczego sobie.

Natomiast niektórzy mężczyźni pozwalak sobie na grubiańskie odzywki.

- Za chuda i zbyt żółta jak na mój gust - powiedział jeden. A znowu inny zawołał:

- Tak, ale zobaczysz bracie, że po paru miesiącach cała ta jej chudość zniknie! Bo na chudość dziewczyny nie ma lepszego lekarstwa niż mężczyzna!

Wśród całej tej wesołej, rubasnej gadaniny dziewczyna weszła skromnie do swego nowego domu. I była już poślubiona swemu mężowi.

Matka musiała teraz zwolnić łóżko, w którym sypiała przez tak długie lata. Tej nocy synowa przyszła przygotować dla niej posłanie. Zgodnie z panującym w tych stronach zwyczajem położyła siennik za zasłonką - w tym samym miejscu, w którym kiedyś sypiała stara, zmarła już kobieta, a później starszy syn. Ślepa dziewczynka dostała posłanie tuż obok matki, młodszy chłopiec - kiedy tylko nocował w domu - miał się kłaść teraz w kuchni, a na prawdziwym łóżku spał starszy syn ze swoją dopiero co poślubioną żoną.

Matce jednak nie przyszło łatwo oddać im to miejsce. Nocą, leżąc na dawnym posłaniu starej kobiety, miała wrażenie, że sama jest już stara. Za dnia potrafiła być taka jak dawniej - krzątała się po domu, dyrygowała wszystkimi, język miała szybki, gdy tylko trzeba było kogoś pouczyć. Ale nocą była stara. Budziła się często i wydawało jej się wtedy, że to niemożliwe, by właśnie ona była tą osobą, która leży na sienniku. Coś mi się zdaje, myślała, że kiedy przybyłam do tego domu, stara matka mego męża czuła się tak, jak ja czuję się teraz. Tak, tak. Tak pewnie czuła się ta starowinka, kiedy wkroczyłam tutaj jako panna młoda i wypędziłam ją z jej własnego łóżka, żeby położyć się tam z jej synem. A teraz z moim synem leży tam kolejna kobieta.

Było to jak obroty jakiegoś niewidzialnego koła - trwające w nie-skończoność i ogromnie dziwne. Jak przesuwanie się ogniów w jakimś niekończącym się łańcuchu. I sama myśl o tym wprawiała kobietę w oszołomienie. Oszałamiała ją ta myśl, bo matka nie była zdolna ogarnąć sensu tego wszystkiego, co działo się przed jej oczyma. Brała wszystko po prostu takim, jakim było na pierwszy rzut oka. Mimo to od tej pory czuła się umniejszona we własnych oczach. Choć z nazwy nadal była w rodzinie osobą najstarszą i pierwszą, i panią tego domu, widziała wyraźnie, że jej pierwszeństwo się skończyło.

Obserwowała żonę syna. Młoda kobieta okazała się posłuszna. Każdego dnia składała jej ukłon jako matce swego męża. Aż w końcu matka, zniecierpliwiona, zawołała:

- Dosyć!

Nie potrafiła jednak dopatrzeć się w młodej kobiecie żadnej wady. Zatem brak wad stał się w jej oczach przywarą.

- No cóż - pomrukiwała matka - z całą pewnością ona ma jakąś wadę ukrytą, taką, której nie widać od razu.

Działo się tak, ponieważ żona syna, inaczej niż niektóre inne dziewczęta, nie ujawniała tak od początku, jaka jest naprawdę. Była pracowita.

Cokolwiek robiła, robiła szybko i spokojnie. A gdy skończyła

pracę, zasiadała do szycia i szyła coś dla męża. I wszystko wykonywała bardzo starannie.

No cóż, trzeba stwierdzić, że na świecie nie ma dwóch kobiet, które wykonywałyby tę samą pracę w ten sam sposób. Matka jednak o tym nie wiedziała. Sądziła, że każda kobieta robi wszystko tak jak ona.

Tymczasem jej młoda synowa gotując ryż, nalewała zbyt dużo wody - tak w każdym razie uważała matka - i ryż okazywał się zbyt miękki. Na zwróconą uwagę młoda kobieta zacisnęła swoje blade usta i odparła:

- Ale ja zawsze gotuję w ten sposób. I ani myślała się zmienić.

Tak było ze wszystkim. Synowa zmieniała różne rzeczy w domu - całkiem według własnego widzimisię. Nie czyniła tego pośpiesznie ani ze złością, ale powok, ostrożnie, stopniowo, nie dając w ten sposób matce swego męża oczywistego powodu do gniewu. Pojawiła się też kolejna kwestia. Młodej kobiecie przeszkadzał zapach zwierząt przebywających nocą w chacie. Poskarżyła się więc na to. Jednak nie matce męża, tylko jemu samemu, a on wtedy wziął się do roboty. W ciągu zimy dobudował dodatkowe pomieszczenie, do którego przenieśli oboje swoje łóżko i odtąd sypiali tam sami. A stara kobieta taki nowy obyczaj przyjęła z wielkim zdumieniem.

Z początku, rozmawiając ze swoją niewidomą córką, mówiła, że nie będzie się złościć na synową. Zresztą złościć się na nią tak od razu było bardzo trudno, bo młoda kobieta postępowała dobrze i starannie wykonywała każdą pracę. Matka nie mogła więc powiedzieć: „To jest nie tak” albo: „To wykonałaś nie tak, jak należy”. Były jednak rzeczy, których wprost nie znosiła. Nie cierpiała zwłaszcza rozgotowanego ryżu. Utyskiwała często, że jest niesmaczny, a wreszcie stwierdziła:

- Nigdy nie czuję się syta po zjedzeniu takiego ryżu, a jedząc go, nie mam na czym zatrzymać zębów. Ta wodnista papka przelatuje przeze mnie niby wiatr i nie zostaje w żołądku tak jak dobra, twarda strawa.

Młoda kobieta nie zwracała jednak uwagi na to utyskiwanie. Dlatego matka udała się po kryjomu w pole, gdzie pracował jej syn.

- Synu - zwróciła się do niego - dlaczego nie każesz swojej żonie gotować ryżu tak, żeby był twardszy i bardziej suchy? Myślałam, że lubisz właśnie taki.

Na to syn przerwał pracę, wsparł się na motyce i odrzekł spokojnie:

- Bardzo lubię taki ryż, jaki robi moja żona. Matkę ogarnęła złość.

- Kiedyś - odrzekła - wcale takiego nie lubiłeś. A to, co mówisz, oznacza, że stajesz po jej stronie, nie po mojej. To wstyd, że lubisz ją tak bardzo, że aż zwracasz się przeciwko własnej matce.

Młody człowiek słysząc to, poczerwieniał na twarzy.

- Tak, lubię ją bardzo - potwierdził, po czym wrócił do pracy. Tego dnia matka uświadomiła sobie ostatecznie, że w domu rządzą ci dwoje. Jej najstarszy syn się nie zmienił, nie przestał być dobrym człowiekiem. Dobrze też wykonywał swoją pracę, lecz zarobione pieniądze zatrzymywał przy sobie. To prawda, że nie wydawał ich pochopnie, nie czyniła tego także jego żona, bo oboje byli oszczędni. Jednak stanowili parę małżonków, do których należały dom i ziemia. Matka natomiast była tylko starą kobietą mieszkającą w ich chacie. Gdy zaczynała mówić o polach, ziarnie i o całej tej pracy, którą znała tak dobrze z własnego doświadczenia, pozwalali jej to czynić. Ale gdy mówić skończyła, było tak, jakby z jej ust nie padło ani jedno słowo. Ci dwoje planowak i robili wszystko wedle własnej woli. Matce zaczęło się więc wydawać, że jest już nikim, że jej mądrość i doświadczenie wcale się nie liczą - a wszystko to miało miejsce w domu, który kiedyś był jej wyłączną własnością.

Na myśl o tym czuła prawdziwą gorycz. Było to ogromnie trudne do zniesienia. Gdy syn dobudował nową izbę i gdy młodzi się do niej przenieśli, matka powiedziała raz cicho do śpiącej obok ślepej córki:

- Nigdy w życiu nie widziałam takich fanabem! Przecież zapach zwierząt nie jest trujący! Mogę przysiąc, że oni urządzili sobie tę izbę

po to, żeby się od nas oddzielić. I żeby swobodnie omawiać swoje plany. To znaczy tak, żebyśmy ich nie usłyszeli. Nigdy mi nic nie mówią. O nie, tu nie chodzi o zwierzęta. Tu chodzi o to, że twój brat kocha tę swoją żonę tak, jakby nie miał wcale wstydu. Ty nic ich nie obchodzisz. Nie troszczą się też wcale o twojego małego brata. Ani nawet o mnie. Jestem tego pewna.

Dziewczyna milczała, więc matka zapytała ją jeszcze:

- Czy ty nie myślisz tak samo jak ja, córeczko? Czyja nie mam racji?

Dziewczyna wahała się-przez chwilę.

- Matko - odezwała się wreszcie w ciemności - ja mam ci coś do powiedzenia. Ale nie chcę o tym mówić, bo boję się, że cię zasmucę.

- Mów, dziecko! - zawołała na to matka. - Ja przywykłam do smutku.

- Matko, co zrobisz ze mną? - zapytała wtedy cicho dziewczyna. -

Przecież jestem ślepa.

Dotychczas matka zawsze sądziła, że jej córka - przynajmniej na razie - będzie mieszkała tutaj, razem ze wszystkimi. Dlatego zaskoczyło ją to pytanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć, moje dziecko? - odparła.

- Nie mam na myśli - powiedziała dziewczyna - że żona mego brata jest niedobra. Ona nie jest okrutna, matko. Ale sądzę, że nie wyobraża sobie sytuacji, w której ty wkrótce nie wydasz mnie za męża. Słyszałam, jak pyta małego, z kim jestem zaręczona. A kiedy on odrzekł, że z nikim, powiedziała zdziwiona: „Taka duża dziewczyna i wciąż nie ma teściowej?”.

- Ale ty jesteś ślepa, moje dziecko - powiedziała matka. - A wydać za męża ślepą dziewczynę nie jest łatwo.

- Wiem - odrzekła łagodnie córka. - Ale ty, matko - dodała po chwili z zaschniętymi z emocji ustami - ty, matko, wiesz, że potrafię robić bardzo wiele różnych rzeczy. Może znajdzie się jakiś biedak... jakiś wdowiec... albo ktoś jeszcze inny, kto mnie weźmie, jeżeli nie będzie musiał nic za mnie zapłacić. Może ja dzięki temu zamieszkać

we własnym domu. I po tym jak ty odejdziesz, będę miała kogoś, o kogo będę mogła się troszczyć. Bo tak sobie myślę, że moja siostra mnie tutaj nie chce.

- Ależ dziecko - zawołała na to matka - ja na to nie pozwolę! Nie pozwolę, żebyś odeszła w ten sposób do jakiegoś wdowca! Wiem, że jesteśmy biedni. Jednak potrafimy cię wyżywić. Wdowcy, moje dziecko, to najtwardsi i najpożądliwsi z mężów. Więc śpij i nie myśl o tym więcej. Ja jestem jeszcze krzepka i będę długo żyła, a twój brat nigdy nie był dla ciebie okrutny, nawet w dzieciństwie.

- W dzieciństwie mój brat nie był żonaty, matko - odrzekła dziewczyna z westchnieniem.

Ale potem zamilkła i zdawało się, że zasnęła.

Matka jednak nie mogła zmrużyć oka, choć normalnie sypiała głęboko i zdrowo. Leżała, rozmyślając. Analizowała poprzednie dni, jeden po drugim. Chciała się bowiem przekonać, czy prawdą jest to, co mówiła jej córka. I choć nie potrafiła przypomnieć sobie niczego określonego, miała wrażenie, że żona syna nie jest zbyt serdeczna. Nie, nie była serdeczna w stosunku do młodszego chłopca, a już z całą pewnością względem ślepej dziewczyny, mieszkającej w domu jej męża. Tak więc okazywało się, że matka będzie musiała znosić kolejną zgryzotę.

## XV

Dzień w dzień uważnie obserwowwała synową, chcąc sprawdzić, czy prawdą jest to, co powiedziała córka. I okazało się, że dziewczyna miała rację. Młoda żona nie była niegrzeczna. Przeciwnie,, słowa z jej ust padały gładkie i zawsze z pozoru uprzejme. Ale stosowała wobec ślepej dziewczyny setki drobnych szykan. Podawała jej na przykład niepełną miskę strawy - a w każdym razie matce tak się wydawało. Jeżeli na stole znalazły się jakieś przysmaki, nie podsuwała jej żadnego z nich, a ślepa dziewczyna nic nie widząc, nie miała pojęcia o ich istnieniu. Uszłoby to uwagi wszystkich - bo każdy chciał przecież zaspokoić tylko własny głód - więc uszłoby to uwagi wszystkich, gdyby nie to, że matka po rozmowie z córką stała się bardzo czujna.

- Córko, czy nie smakują ci wieprzowe płucka, które ugotowałyśmy dzisiaj w zupie? - wołała na przykład.

Na co dziewczyna odpowiadała łagodnie, całkiem zaskoczona:

- Nie wiedziałam, że one tu są. A bardzo je lubię.

Wtedy matka sięgała po własną łyżkę i dokładała córce mięsa, a także dolewała zupy, a żona syna mówiła uprzejmie, prawie nie poruszając swymi bardzo bladymi i grubymi ustami:

- Przepraszam cię, siostrze. Nie zauważyłam, że nie dostałaś mięsa. Jednak matka wiedziała, że synowa kłamie.

Do obowiązków żony syna należało szycie butów dla wszystkich. Jednak szyjąc je dla ślepej dziewczyny, nie przykładła się do pracy - podeszwy robiła cienkie i oszczędzała sobie trudu, nie ozdabiając pantofli kwiatami. Matka, widząc to, zawołała kiedyś:



- Co to jest?! Czy moja córeczka nie będzie miała kwiatków? Takich jakie masz ty na wszystkich swoich butach?

Zona syna otworzyła na to szeroko swoje małe, ciemne, pozbawione blasku oczy.

- Jeżeli tak mówicie, matko - odrzekła - to ozdobię jej buty. Myślałam tylko, że skoro jest ślepa i nie widzi kolorów... i skoro ja muszę uszyć tyle butów, bo przecież mały co miesiąc niszczy jedną parę albo i dwie, biegając wciąż do miasta...

Ślepa dziewczyna, która siedziała właśnie na progu, grzejąc się w słońcu, usłyszała słowa bratowej.

- Matko - zawołała pospiesznie - mnie nie zależy na kwiatach, a moja siostra ma rację. Czymże są kwiaty dla ślepej dziewczyny?

Wydawało się więc, że nie ma sporu. Inne drobiazgi także z pozoru go nie powodowały. Jednak pewnego dnia, w chwili gdy matka nalewała za domem pomyj dla świni, podszedł do niej starszy syn i oznajmił:

- Matko, mam ci coś do powiedzenia. Nie chodzi o to, że chcę wypędzić swoją siostrę z domu albo że mam do niej jakieś pretensje. Jednak człowiek musi myśleć o sobie. A ona jest młoda, matko, i ma przed sobą całe życie. Więc czyja mam ją przez całe to życie karmić? Nie słyszałem, żeby coś podobnego działo się w którymkolwiek innym domu. Który mężczyzna musi karmić swoją siostrę? Może tylko ten, którego dom jest bogaty i nigdy nie brak w nim strawy. Ale normalnie obowiązkiem mężczyzny jest karmić swoich rodziców, swoją żonę i swoje dzieci. Ale ją, dziewczynę tak młodą, że będzie z pewnością żyła równie długo jak ja? Zresztą i dla niej byłoby źle, gdyby nie wyszła za męża. Bo przecież dla każdej kobiety jest lepiej mieć męża.

Matka popatrzyła na niego gniewnie.

- To ta twoja żona nakładła ci takich rzeczy do głowy, mój synu! - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Leżycie co noc w tej waszej oddzielnej izbie i rozmawiacie bez świadków. I ona zatruwa cię swoją gadaniną. Nastawia cię przeciwko własnej krwi. A ty... ty jesteś jak

wszyscy mężczyźni... Kiedy tak leżysz w łóżku z kobietą, robisz się miękki jak błoto w rowie.

Odwróciła się rozgoryczona, nalała zarcia świni, a potem stała, przyglądając się, jak zwierzę zanurza ryj w brei. W rzeczywistości jednak wcale tego nie widziała, choć zwykle taki widok sprawiał jej przyjemność.

- A jakiego to męża dostanie twoja siostra? - zapytała smutno syna. - Kto ją zechce oprócz zupełnego biedaka albo mężczyzny, któremu kobieta umarła i który nie ma pieniędzy, by wziąć sobie drugą zdrową żonę?

- Ja także o niej myślę, matko - odrzekł syn pospiesznie. - Naprawdę. I sądzę, że lepiej będzie dla niej, jeżeli wyjdzie za męża. Nawet w wypadku, gdy jej mężczyzna nie okaże się tak dobry jak ten, którego by mogła mieć, będąc całkiem zdrowa.

- To są słowa twojej żony, mój synu - odrzekła mu na to z jeszcze większym smutkiem matka.

- Jeżeli nawet, matko, to ja się z nią zgadzam - brzmiała odpowiedź syna.

- Obawiam się, mój synu, że wy zgadzacie się w każdej kwestii, bez wyjątku.

Syn nic nie odrzekł na te słowa matki. Udał się w pole, milcząc, lecz nie zmieniając zdania.

Matka nie posłuchała syna. Przez bardzo długi czas nie robiła nic, żeby wydać córkę za męża. Upierała się, przekonując ślepa dziewczynę, swego młodszego syna, żonę kuzyna i każdego, kto chciał jej słuchać, o tym, że nie jest jeszcze tak stara, by nie dopiąć swego.

- Musi być dla mnie miejsce w domu - mówiła - a mój wiek nie jest jeszcze tak podeszły, by mi rozkazywano jak dziecku, kazano robić to czy tamto, zmuszano do uczynienia tego, czego nie chcę zrobić.

Nastawiwszy się przeciwko synowi i jego żonie, dobrze pilnowała córki. Baczyła, żeby wszyscy postępowali wobec niej jak należy i żeby nikt nie pozbawiał jej niczego, co dostawali inni.

Tymczasem żona syna im bardziej oswajała się z życiem w swoim nowym domu, tym zwyczajniej się wyrażała. No i narzekała coraz więcej. W końcu po jej dawnej uprzejmości nie było nawet śladu. Co więcej, zdarzało się często, że przebywając wśród ludzi z wioski albo szyjąc na słońcu wśród kobiet pod czyimiś drzwiami, mówiła głośno:

- Nie mam pojęcia, jak sobie poradzę, kiedy pojawią się dzieci. Bo przecież już teraz muszę obszywać wszystkich w domu. Matka się starzeje, a moim obowiązkiem jest opieka nad nią. To ja mam jej teraz zastąpić jej własne oczy, ręce i nogi. No i zaspokajać wszystkie potrzeby. Wiem o tym, bo tak nauczono mnie w domu. I mam nadzieję, że dobrze wypełniam ten obowiązek. Jest także wiecznie głodny młodszy brat mojego męża, który dosłownie nic nie robi. Z tym że on pewnego dnia się ożeni, więc odziewać go i żywić będzie jego własna żona. No, ale ta ślepa niezamężna dziewczyna! Z nią to jest problem! Zastanawiam się ciągle, czy ona do końca życia będzie dla mnie ciężarem. Chyba tak, bo przecież matka nie zdoła wydać jej za męża.

Mówiła takie rzeczy bardzo głośno i przy ludziach, a ci rozglądali się zaraz za ślepą dziewczyną. Jeżeli ta znalazła się w pobliżu, wlepiali w nią wzrok w taki sposób, że nawet ona czuła ich spojrzenia. Spuszczała wtedy głowę, wstydząc się, że jest takim ciężarem.

- No cóż - odzywał się czasami ktoś ze słuchaczy - na świecie jest wielu niewidomych ludzi. Niektóre rodziny uczą swoich ślepców na przykład przepowiadania przyszłości. I oni dzięki temu mogą od czasu do czasu zarobić parę groszy. Tak, ślepcy często mają jakieś wewnętrzne oko. Widzą rzeczy, których my, ludzie widzący, dojrzeć nie potrafimy. Ich ślepotą staje się wtedy siła, przerażająca innych ludzi. Tę ślepą dziewczynę także można by było nauczyć wróżbiarstwa albo czegoś podobnego.

- Są też przecież na świecie biedne domy - dodawał ktoś inny. - Zdarza się nieraz uboga rodzina, która ma syna, a nie ma pieniędzy na to, by go ożenić. Tacy ludzie gotowi są wziąć dziewczynę przygłupią

albo ślepa, kulawą albo niemowę i uważają, że jest lepsza niż żadna, zwłaszcza, że nie muszą za nią płacić.

- Bardzo chciałabym poznać takich ludzi - odpowiadała na to synowa matki. - Gdyby któraś z was, moje gospodynie, usłyszała o takiej rodzinie, to byłabym wdzięczna, gdybyście mnie z nią poznały.

Sąsiadki obiecały, że to zrobią. Przyznały jej też rację, że niełatwo jest przy braku pieniędzy i w takich ciężkich czasach wyżywić dodatkową gębę, której miejsce jest na dodatek całkiem gdzie indziej.

Skutek był taki, że pewnego dnia przyszła do matki wdowa plotkarka.

- Gosposiu - powiedziała - gdybyś chciała wydać swoją ślepa córkę, to znam pewną rodzinę mieszkającą w górach na północy. W rodzinie tej jest syn, mniej więcej siedemnastolatek. Jakiś czas temu, gdy panował głód, ludzie ci przywędrowali z pewnej północnej prowincji i osiedlili się na kawałku publicznej ziemi. Nie w mojej rodzinnej wiosce u stóp góry, tylko trochę wyżej. Później dołączył do nich jeszcze brat, no i teraz razem tam mieszkają. Ich ziemia jest nieurodzajna, więc w domu panuje bieda.

Ale ty, gosposiu, też jesteś biedna, a twoja córka jest ślepa. Jeżeli zapłacisz mi za podróż, to udam się tam i wszystkiego dopilnuję. Zresztą od dłuższego już czasu myślałam, żeby odwiedzić dom swojego ojca. Ale myśl o tym, że musiałabym brata mojego męża prosić o pieniądze na ten cel, jest mi nienawistna. Tak, tak, zapewniam cię, że ciężko jest być wdową żyjącą w cudzym domu.

Matka z początku nawet nie chciała tego słuchać.

- Moją niewidomą córką potrafię się zająć sama! - odrzekła stanowczo.

Jednak nieco później opowiedziała o tej rozmowie kuzynowi i jego żonie. Kuzyn popatrzył wtedy na nią z powagą.

- Posłuchaj, moja siostro - zwrócił się do niej - gdybyś żyła wiecznie, mogłabyś się zajmować swoją ślepa córką. Jednak co się z nią stanie, kiedy umrzesz i kiedy my umrzemy albo zestarzejemy się tak, że będziemy miek władzę nad dziećmi jedynie z nazwy? I co będzie,

jeżeli po twojej śmierci przyjdą złe lata, zmuszając rodziców, by myśleli przede wszystkim o własnych dzieciach? Matka nie znalazła na to odpowiedzi.

Wkrótce też dotarła do niej oczywista prawda: nie będzie żyła wiecznie. Jej życie może się zakończyć w każdej chwili - być może nawet wkrótce, bo od tamtej okrytej tajemnicą nocy brakuje jej przecież dawnego wigoru. Latem tego roku pojawiła się we wsi biegunka i położyła na niej swoją ciężką łapę. Matka zawsze uwielbiała jeść i jadła wszystko, nie wybrzydzając. Jednak tego lata przyszły wyjątkowe upały, nastąpiła też okropna plaga much. Muchy były wszędzie. Gdy powiał wiatr, wpadały chmarami do jedzenia. Matka wołała, żeby dać im spokój, że szkoda czasu na walkę z nimi, bo kiedy zabije się jedno, to zaraz i tak przy-fruwają następne. To lato było także porą wielkich arbuźów. A te, rozkrojone na pół, pokazywały, w zależności od gatunku, ciemnoczerwone albo jasnożółte wnętrza. Tak, tak, nigdy dotąd nie panował na arbuzy większy urodzaj niż tego lata.

Matka, która je uwielbiała, zjadała się więc arbuźami, których nie udało się sprzedać albo też tymi, które na sprzedaż były zbyt dojrzałe. Jadła i jadła, a gdy już była syta, jadła dalej, nie chcąc niczego zmarnować. I nie wiadomo, czy to z nadmiaru arbuźów, czy z powodu jakiegoś złego wiatru, czy też z powodu uroku, który ktoś na nią rzucił - choć nie знаła nikogo, kto by żywił do niej nienawiść - dość, że zachorowała. Biegunka zaatakowała ją, wyszarpując z niej wnętrza. Matka leżała chora przez wiele dni, z rozstrojem żołądka i wymiotując nawet po przełknięciu odrobiny herbaty.

W dniach jej choroby i wielkiej słabości żona syna spisywała się doskonale. Robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby zaopiekować się matką swego męża. Wszystkie potrzeby starej kobiety były więc zaspokojone. Ślepa dziewczyna także starała się zadbać o nią. Była jednak powolna, nie potrafiła na czas dostrzec, że matce czegoś potrzeba. Dlatego żona syna często ją od niej odpędzała.

- Usiądź gdzieś sobie, siostró - mówiła do niej - i nie wchodź mi w drogę. Przysięgam, że w ten sposób pomożesz twojej matce najbardziej.

Matka natomiast - chora i całkiem zależna od swojej energicznej i zaradnej synowej - była zbyt słaba, by bronić niewidomej córki. Jej młodszy syn tymczasem wpadał do domu tylko z rzadka, sprawdzając, jak się czuje, i zaraz gdzieś biegł, bo matka nie miała siły wstawić się za nim u starszego brata. W tej sytuacji opieka zręcznej i troskliwej młodej kobiety była jej naprawdę potrzebna. Kiedy w końcu choroba się skończyła, a biegunka, zgodnie z przeznaczeniem, przeniosła się z niej na kogoś innego, matka wstała, wspierając się mocno na ramieniu synowej, której tak nie lubiła, a która przecież okazała się wyjątkowo przydatna w potrzebie.

Matka odzyskiwała siły bardzo powoli i prawdę mówiąc, nigdy już tak do końca nie wyzdrowiała. Nie mogła teraz jeść kapusty, którą tak lubiła, ani arbuźów, ani orzeszków ziemnych, które przedtem zaraz po wykopaniu pogryzała na surowo. Od tej pory zawsze musiała się zastanawiać, co je, i sprawdzać, jak każdy rodzaj pożywienia działa na jej żołądek i jelita. A kiedy się zbuntowała - wołając, że będzie jadła to, co chce i lubi i niech żołądek to znosi - biegunka nawiedzała ją znowu. Czyhała na matkę także wtedy, gdy ta się przepracowała albo gdy przewiał ją wiatr. Tak, tak, w takich razach paskudna choroba wracała, sprawiając, że starsza kobieta ponownie stawała się na pewien czas całkiem bezradna.

W takim stanie wyraźnie uświadamiała sobie, że ślepą dziewczynę trzeba koniecznie wydać za męża. Ze dziewczyna musi mieć własny dom, ponieważ w domu brata i jego żony nie jest mile widziana. Zauważyła też, że jej niewidoma córka źle się tu czuje, bo dobrze wie, że jej w tym domu nie chcą. Pewnego dnia dziewczyna przyszła do matki i powiedziała jej w cztery oczy:

- Matko, ja nie mogę tutaj zostać. Nie mogę mieszkać w domu mego brata. Wolalabym wyjść za kogokolwiek. Bo wtedy mieszkałabym tam, gdzie byłabym chciana!

Tym razem matka nie sprzeciwiła się swojej ślepej córce. Postarała się tylko nieco ją pocieszyć. A potem pewnego zimowego dnia, kiedy poczuła się silniejsza - gdyż od czasu biegunki zawsze już lepiej czuła się w chłodniejszej porze - odszukała plotkarkę. Ta niemłoda już kobieta siedziała właśnie u siebie na progu i haftowała kwiaty na kawałku materiału - grubymi nićmi i niezbyt pięknie, bo wzrok już miała słaby.

- Miałaś rację - powiedziała matka tonem znużenia, podchodząc bliżej. - Teraz sama widzę, że mojej córce byłoby lepiej, gdyby się wydała. Więc dobrze, niech to już będzie ten, o którym mówiłaś, bo ja nie mam siły szukać jej męża. Od dwóch lat, od czasu tej biegunki, jestem bardzo słaba. Stara plotkarka ucieszyła się. Mam więc nowe zajęcie, pomyślała, które przy tym nic mnie nie będzie kosztowało. A potem wynajęła dwukołowy wózek z daszkiem i pojechała do położonej dziesięć mil stamtąd doliny, gdzie znajdował się dom jej ojca, i tam na parę dni zatrzymała się we wsi. A po powrocie, wieczorem, udała się do matki, zaciągnęła ją w kąt izby i szepnęła:

- Wszystko poszło bardzo dobrze, gosposiu. Sprawę da się zakończyć w ciągu miesiąca. Zmęczyłam się bardzo, ale zrobiłam to dla ciebie, bo jesteśmy przecież od dawna przyjaciółkami.

Matka wyjęła wtedy zza pazuchy sztukę srebra, którą trzymała na tę chwilę, i próbowała wcisnąć ją do ręki plotkarce. Jednak ta odepchnęła jej dłoń, zaklinając się, że nie weźmie pieniędzy.

- Wśród przyjaciółek tego się nie robi - mówiła. Wymawiała się tak przez kilka chwil, ale w końcu ustąpiła i wzięła monetę.

Załatwiwszy sprawę z plotkarką, matka opowiedziała o wszystkim żonie syna.

- Nie trzeba było się tak spieszyć, matko - odrzekła młoda kobieta, choć nie mogła ukryć zadowolenia. - Ja nie mam nic przeciwko twojej córce. Dla mnie mogłaby tu mieszkać jeszcze przez rok albo dwa,

albo nawet i przez całe życie. Rzecz jednak w tym, że jesteśmy biedni. Musimy więc liczyć gęby, które mamy do wykarmienia.

Stała się jednak znacznie życzliwsza. zaproponowała, że uszyje ślepej dziewczynie nowy kaftan i spodnie z ciemnoniebieskiego materiału, a także czerwone spodnie na dzień ślubu, jakie musi mieć nawet najbiedniejsza panna młoda. A oprócz tego kilka par pantofli ozdobionych czerwonymi kwiatkami. Ustalili jednak, że nie urządzą huczego wesela. Nie będzie szumu wokół tego ślubu - bo rodzina narzeczonego nie płaci za ślepą dziewczynę - ani prezentów, bo mężczyzna, za którego dziewczyna wychodzi za mąż, żeniąc się z nią, nie zyskuje zbyt wiele.

Ślepa dziewczyna nie powiedziała nic na to wszystko. Wysłuchiwała tylko słów matki, która poinformowała ją, co zostało ustalone. Jednak potem, w nocy, wyciągnęła rękę, wymacała twarz matki i szepnęła:

- Matko, ale to jest tak daleko. Nie będziesz więc chyba mogła mnie odwiedzić? Nie będziesz mogła sprawdzić, jak mi tam jest. A ja przecież nic nie widzę i nie zdołam przyjść do ciebie. Bo nie znam drogi, która prowadzi przez góry i doliny.

Słyszając to, matka także wyciągnęła rękę, a wyczuwszy, że jej córka drży na całym ciele, zapłakała ukradkiem. Po czym otarła łzy kołdrą i powiedziała:

- Odwiedzę cię, córeczko. Tego możesz być pewna. A kiedy się u ciebie pojawię, opowiesz mi wszystko. I zajmę się sprawą, jeżeli się okaże, że oni nie traktują cię dobrze. Więc wierz mi, nie będziesz źle traktowana. Ale ty przez całą noc nie śpisz - dodała jeszcze łagodnym tonem.

- To prawda - potwierdziła dziewczyna. - Od pewnego czasu każdą noc spędzam bezsennie.

- Nie masz się czego bać, dziecko - zapewniła matka serdecznie. - Jesteś najsprawniejszą i najszybszą ślepą dziewczyną, jaką w życiu spotkałam. Oni wiedzą, że nie widzisz, nie będą więc mogli cię za to winić. Nie będą mogli powiedzieć, żeśmy to przed nimi ukrywali.



Dziewczyna w końcu zasnęła. Spała już długo swoim lekkim snem, a matka wciąż czuwała, obwiniając siebie srogo. Czuła bowiem, że to zło, które tkwiło w niej samej, ściągnęło karę na dziewczynę. Nie bardzo wiedziała, na czym to zło polega, żałowała jednak gorzko, że nie była dotychczas lepszym człowiekiem. Winiła się także o to, że córka idzie za mąż tak daleko. Ze nie będzie mieszkała w wiosce, którą ona, jej matka, mogłaby odwiedzać mniej więcej co miesiąc. Albo że nie znalazła jej jakiegoś biedaka, który w zamian za niewielką opłatę gotów byłby przeprowadzić się do ich wioski. Z drugiej jednak strony wątpiła, czy syn i jego żona daliby na ten cel choćby najmniejszą sumę, bo przecież teraz pieniądze znajdowały się w ich rękach. Nie mogę nawet mieć nadziei, że moja córka nie będzie bita, pomyślała zgnębiona. Niewiele jest bowiem domów podobnych do naszego, gdzie ani mężczyzna, ani jego matka nie biją nowo przybyłej młodej żony. Bicie mojej córki rozdarłoby mi serce. Rozpaczałabym okropnie, wiedząc, że ktoś ją bije. Zwłaszcza gdyby to działo się bardzo blisko. Tak blisko, że bym to słyszała albo mogła się o tym dowiedzieć od córki, która przybiegłaby do mnie. Czułabym się wtedy całkiem bezradna. I nie zniósłabym tego. Więc może to lepiej, że ona będzie daleko, a ja nie będę mogła nic usłyszeć ani niczego się dowiedzieć. Oszczędzi mi to cierpienia i pozwoli łudzić się, że wszystko jest dobrze.

Leżała jeszcze przez chwilę, rozmyślając nad swoim ciężkim życiem. I nagle przyszło jej do głowy, że może dla córki zrobić choć jedną rzecz. Tak, da jej na własność kilka srebrnych monet, podobnie jak to uczyniła jej własna matka, gdy ona sama opuszczała dom rodzinny. Przed świtem, jeszcze po ciemku, wstała zatem i - poruszając się tak cicho, żeby nie obudzić i nie przestraszyć kur i zwierząt - podeszła do skrytki, odsunęła ziemię i wydobyła pieniądze. Odwinęła szmatkę i wzięła pięć sztuk srebra, po czym wsunęła je sobie za pazuchę. I trochę tym pocieszona pomyślała: Nie każda dziewczyna z biednego domu idzie za mąż z zapasem srebra. Tak, tak, moja córka będzie miała przynajmniej tyle!

Było to niewielkie pocieszenie, jednak matka, czepiając się go, w końcu zasnęła.

Mijały kolejne dni - wszystkie pozbawione radości. Kobiety nie cieszyła nawet myśl o młodszym synu. Mało ją obchodziło, gdzie chłopak bywa. Wystarczało, że jest zdrowy i uśmiechnięty - zajęty jakimiś nieznanymi jej sprawami. Aż w końcu nadszedł dzień rozstania z dziewczyną. Matka czekała z ciężkim sercem, pragnąc się wreszcie przekonać, jaki jest ten, który przyjedzie po jej córkę. Tak, bardzo chciała wiedzieć, kim jest człowiek, który ją zabierze.

Pojawił się pewnego dnia bardzo wczesną wiosną, którą zaledwie można było poznać po paru zimnotrwałych chwastach, wykopywanych i zjadanych przez wiejskie dzieci, a także po zielonkawym odcieniu gałązek wierzby i brązowych, jeszcze nienabrzmiąłych pączkach widocznych na drzewkach brzoskwini. Ziemia leżała wciąż naga, pszenica jeszcze nie wyrosła - powypuszczała dopiero malutkie pędy zieleniejące między grudami - a wiatr był zimny.

W taki to właśnie dzień przybył do wioski stary człowiek na siwym osle. Dosiadał go bez siodła, zamiast którego położył na grzbiecie zwierzęcia brudny, uszargany kaftan. Mężczyzna ten zajechał przed chatę matki i podał swoje imię. Matce na jego widok serce zamarło w piersi, bo ten przybysz wcale jej się nie spodobał. Uśmiechnął się do niej szeroko i ułożył usta w wyraz życzliwości. Jednak w jego ostrych rysach starego lisa wcale jej nie było. Oczy tego starca patrzyły bystro spośród głębokich zmarszczek, a nad jego wąskimi, pozbawionymi prawie warg ustami rosło zaledwie kilka białych kosmyków. Kąciki ust opadały przy tym w dół zbyt długo, by jego uśmiech mógł dzisiaj sprawiać wrażenie szczerego. Mężczyzna odziany był prawie w łachmany, a jego ubiór nie był ani porządnie połatany, ani czysty, a kiedy zsiadł już z osła, nie zademonstrował zwykłej uprzejmości, która powinna cechować każdego człowieka, czy to uczonego, czy całkiem prostego. Pokuśtykał tylko przez podwórko - bo jedną nogę miał tak krótką, że nie pasowała do drugiej

- a więc pokuśtykał w swoim starym, przepasanym w talii ubraniu i odezwał się szorstkim tonem:

- Przyjechałem po ślepą dziewczynę. Gdzie ona jest?

A na to matka, którą nagle ogarnęła nienawiść do tego starca, zapytała:

- Ale jak mi udowodnicie, że to właśnie wy jesteście człowiekiem, do którego ona ma należeć?

Staruch uśmiechnął się na to szeroko.

- Znam tę grubą gospodynię - odrzekł - która przyjechała do nas z wiadomością, że możemy wziąć za darmo dziewczynę dla syna mojego brata.

- Zaczekajcie tu, a ja ją zawołam - powiedziała wtedy matka. Po czym posłała swego młodszego syna, który tego dnia próżnował w domu, po wdowę plotkarkę. A ta przybiegła zaraz co sił w swoich starych nogach, spojrzała na przybysza, roześmiała się i zawołała:

- Tak, tak, gosposiu, to jest wuj chłopca, którego twoja córka ma poślubić. Jak się macie, gospodarzu? Jedliście dzisiaj?

- Tak - potwierdził stary, pokazując dziąsła w szerokim uśmiechu

- ale przysięgam, że niezbyt dobrze.

A wtedy matka, która przez cały czas przyglądała się mężczyźnie, zawołała do plotkarki - całkiem bez ogródek:

- Nie podoba mi się to wszystko! Myślałam o lepszym zamążpój-ściu dla mojej córki!

Na co plotkarka odrzekła głośno i ze śmiechem:

- Ależ gosposiu, to nie jest pan młody... A jego bratanek to najdelikatniejszy młodzieniec pod słońcem.

Teraz pojawiła się żona kuzyna, a także starszy syn kobiety i jej synowa oraz kuzyn i inni mieszkańcy wioski. Wszyscy oni stanęli kołem i przyglądali się przybyszowi. I wszyscy doszli do wniosku, że jego wygląd i zachowanie nie świadczą o tym, by był dobrym człowiekiem. Jednak obietnica została dana. Dlatego znaleźli się tacy, którzy mówili:

- No cóż, gosposiu, musicie pamiętać, że dziewczyna jest ślepa.  
- Rzecz została ustalona - oznajmiła żona syna - a obietnica jest obietnicą.  
Więc trudno byłoby teraz odmówić, matko. Jeżeli to uczynicie, to sprowadzicie na nas wszystkich kłopoty.

A jej mąż, słysząc te słowa, zachował milczenie.

Matka popatrzyła żałośnie na kuzyna. A ten, zauważywszy jej wzrok, odwrócił oczy i podrapał się w głowę. Nie wiedział bowiem, co na to powiedzieć. Był przecież tylko prostym, poczciwym człowiekiem, a wygląd tego starca nie budził także i jego zaufania. Ale trudno jest czasem stwierdzić, czy bieda i zło to jedno i to samo. Mogło być przecież tak, że złe wrażenie sprawiły łachmany tego człowieka. Trudno też było odmówić, skoro wszystko już zostało ustalone. Zatem kuzyn, nie mając pojęcia, co powiedzieć, milczał, po czym odwrócił głowę, wziął źdźbło słomy i zaczął je żuć.

Plotkarka natomiast, zorientowawszy się, że zagrożony jest jej honor, powtarzała:

- Ależ to nie jest pan młody, gosposiu.

A potem, bojąc się wielkiego wstydu, jaki przyniosłby jej fakt, że interes nie został ubity, zawołała jeszcze:

- Stary człowieku, prawda, że syn waszego brata jest delikatny jak nowo narodzone dzieciątko?

Stary uśmiechnął się na to od ucha do ucha i pokiwał głową. A potem roześmiał się półgębkiem i wysapał:

- Tak, tak, gosposiu, on taki jest! Delikatny jak nowo narodzone dziecię!

A poza tym - powiedział w końcu, całkiem zniecierpliwiony - muszę już wracać. Tak, muszę jechać, jeżeli mam ją dowieźć do domu przed nocą! Wtedy kobieta straciła głowę. Nie mając pojęcia, co jeszcze może zrobić, wsadziła córkę na grzbiet osła.

Dziewczyna miała na sobie nowe ubranie, a matka wcisnęła jej jeszcze do ręki małe zawiniątko ze srebrem, szepcząc pospiesznie:

- To jest tylko dla ciebie, córko. Nie daj sobie tego odebrać nikomu.

A potem, gdy stary człowiek popędził osła kopniakiem, zawołała jeszcze z wielkim bólem:

- Odwiedzę cię, córko, za kilka miesięcy. Zobaczę, jak oni cię tam traktują. Zapamiętuj wszystko i wszystko mi potem opowiedz. Jeżeli się okaże, że coś jest nie tak, ja się nie ulęknię, zabiorę cię z powrotem do domu.

- Tak, matko - odrzekła ślepa dziewczyna, poruszając z trudem drżącymi i spieczonymi ustami. - Cieszy mnie bardzo, że tak mówisz.

Jednak matka nie potrafiła jeszcze puścić jej od siebie. Rozpaczliwie szukała słów. Zastanawiała się, co powiedzieć, by zatrzymać córkę trochę dłużej. W pewnym momencie przypadła do dziewczyny i zawołała do starca:

- Mojej córce nie wolno podsycać ognia, stary człowieku... Nie wolno jej tego robić, bo to szkodzi jej oczom... Dym...

Stary, słysząc to, odwrócił się ku niej zdziwiony. Gdy pojał, o co chodzi, uśmiechnął się znowu szeroko.

- Tak, tak - potwierdził - dobrze, niech tak będzie... Powiem im o tym...

A potem kopnął osła po nogach i ruszyli - dziewczyna na osle, a on krocząc obok.

W ten to właśnie sposób odjechała ślepa dziewczyna, trzymając w ręce znak swojej ślepoty. Odjechała na osle, do którego grzbietu przywiązane zostało jej zrolowane ubranie. A matka stała i odprowadzała ją wzrokiem. Serce ścisnęło jej się w piersi, z oczu płynęły łzy, a ona biedaczka nie miała pojęcia, co mogłaby jeszcze zrobić. Stała więc nieruchomo aż do chwili, gdy między nimi wyrosło wzgórze, zasłaniając jej dziecko, którego więcej nie zobaczyła.

## XVI

Matka szukała teraz sposobu, by jakoś wypełnić sobie dni, by pozbyć się lęków i zapomnieć o pustce, która pozostała po ślepej dziewczynie. Dom wydawał jej się cichy. Cicha była też ulica, gdzie nie dawał się słyszeć żałosny dźwięk małego gongu, w który jej córka uderzała, wychodząc. Matka nie mogła tego znieść. Zaczęła znowu chodzić w pole, wbrew woli starszego syna.

- Matko - powiedział syn do niej, widząc, że bierze do ręki motykę
- wy nie musicie pracować. Ludzie widzą, że moja stara matka haruje w polu, a mnie przynosi to wstyd.
- Nie jestem jeszcze taka stara - odrzekła na to matka z takim gniewem jak dawniej. - Pozwól mi pracować. To mi przyniesie ulgę. Czy nie widzisz, jak bardzo tego potrzebuję?
- Mnie się zdaje - odpowiedział jej syn z właściwym sobie uporem
- mnie się zdaje, że martwicie się o coś, co w rzeczywistości nie ma miejsca, moja matko. Nie ma przecież potrzeby, byście pozwalali sercu uprzedzać wypadki, które być może nigdy nie nastąpią.
- Ty nic nie rozumiesz, mój synu - rzekła przygnębiona. - Jesteś zbyt młody... Nie rozumiesz nic zgoła.

Młodego człowieka poraziły te słowa. Nie miał pojęcia, co matka ma na myśli. Ona jednak nie chciała powiedzieć nic więcej. Wzięła motykę i w całkowitym milczeniu zabrała się do kopania.

Jednak syn miał rację. Matka nie mogła już ciężko pracować. Bo pot lał się z niej strumieniami, a nawet ciepły powiew wiatru sprawiał, że robiło jej się zimno i wkrótce ponownie dostawała biegunki. Musia

ła więc pogodzić się z bezczynnością. Gdy wyzdrowiała, nie pracowała już więcej. Siadywała teraz w drzwiach, nic nie robiąc. Zresztą nie musiała. Nie było nawet żadnej potrzeby, by krzątała się po domu, bo żona syna zajmowała się wszystkim. I robiła to bardzo dobrze, z wielką starannością.

Tak, tak, ona wszystko robi bardzo dobrze, myślała matka. Tylko nie rodzi dzieci! I myśląc tak, spoglądała nerwowo na próg, na którym kiedyś obserwowwała własne baraskujące maleństwa. Całymi dniami wspominała minione czasy. Wspominała, jak kiedyś siadywała tutaj - taka młoda i pełna życia, i skora do roboty. Przypominała sobie, że miała męża i małe dzieci. Tak, ona sama była wtedy młodą żoną, a starą matką - inna całkiem kobieta. Później jednak jej mężczyzna odszedł i nigdy od tej pory nie dał znaku życia. Matka skrzywiła się, nie chcąc o tym myśleć. I przyszło jej do głowy, że teraz w jej życiu zapanowała ogromna pustka. Starszy syn bowiem całymi dniami pracuje w polu - o, teraz właśnie sprzecza się o plony z nowym pośrednikiem, drobnym, zasuszonym kuzynem posiadacza ziemskiego, pośrednikiem, którego ona sama nigdy nie widziała, o którym jednak mówili jej ludzie. A więc starszy syn pracuje w polu, ślepiej dziewczyny nie ma, a młodszy syn wciąż przebywa w mieście i rzadko wpada do domu.

No, ale przynajmniej jest. Przesiadując na progu, matka myślała o nim często, bo wciąż kochała go najbardziej ze wszystkich swoich dzieci. A młodszy syn zjawiał się od czasu do czasu i jako jedyny rozświetlał jej pustkę. Gdy przyszedł do domu, matka wstawiała i otrząsała się, odpędzając smutek. Uśmiechała się, widząc, jaki jest przystojny. Był bowiem najpiękniejszym z jej dzieci. I tak podobnym do ojca jak młody kogucik do starego koguta, który go spłodził. Nie bał się już starszego brata tak jak kiedyś, bo miał w mieście pracę i zarabiał na siebie.

A co to była za praca? Nigdy nie mówił tego jasno. Twierdził tylko, że jego zajęcie przynosi mu nieraz duże dochody. Młodszy syn ma w takich razach furę pieniędzy. Ale czasami bywa też bez grosza. Tak opowiadał. Nigdy jednak nie pokazał swoich pieniędzy bratu. O jego

zamożności świadczyło tylko porządne ubranie. Czasami zjawiał się beztroski i pełen entuzjazmu. Wciskał wtedy matce do ręki trochę srebra. - Weź to, matko - powiadał ukradkiem - i wydaj na siebie.

Matka brała srebro i chwaliła chłopaka. Kochała go za to bardzo, bo starszy syn nigdy nawet nie pomyślał, by dać jej trochę pieniędzy. Od kiedy został panem domu, chował całe srebro dla siebie. Matka w jego domu jadła dobrze. Dobrze i z apetytem, bo jeść zawsze lubiła. Ubierała się też teraz lepiej niż kiedykolwiek, bo jej synowa przecież świetnie szyla. Uszyła jej nawet śmiertelny przydziewek, choć matka jeszcze długo nie zamierzała umierać. Starsza kobieta dostawała wszystko, o co poprosiła - i fajkę na pocieszenie, i dobry pocięty tytoń, i łyżeczek grzanego żółtego wina. Starszemu synowi i jego żonie nie przyszło jednak do głowy, żeby dać jej trochę srebra i powiedzieć:

„Wydaj je na jakiś drobiazg. Na coś, na co przyjdzie ci ochota”.

Matka dobrze wiedziała, że gdyby poprosiła o pieniądze, ci dwoje popatrzyliby po sobie. „Ale co ty sobie kupisz, matko? - zapytałoby niechybnie któreś z nich. - Czyżbyśmy my nie dawali ci wszystkiego?”.

Więc kiedy młodszy syn przynosił jej srebro, jej miłość do niego potęgowała się bardzo. Matka kochała go za to znacznie bardziej niż tamtych dwoje za wszystko, co dla niej robili. Wkładała srebro za pazuchę, a potem, nocą, wstawiała z posłania i ukrywała je w otworze w glinianej podłodze.

Jednak młodszy syn nieczęsto pojawiał się w wiosce, a na podwórku, gdzie nie bawiły się dzieci, siadywały teraz dwie kobiety - matka i jej synowa. I matce zdawało się, że w domu panuje absolutna pustka. Siedziała, wzdychała i paliła fajkę, nie miała do roboty nic poza rozmyślaniami o własnym życiu. Albo prawie nic - bo była przecież jeszcze ta jedna rzecz, o której myśleć nie chciała. Kiedy bowiem o niej pomyślała, przypominała jej się niewidoma córka i matka nie miała pewności, czy jedno z drugim nie zostało jakoś połączone rękami



bogów. Czasami, szukając pocieszenia, udawała się do jakiejś świątyni. Jednak jej dawny grzech wciąż istniał, a ona dochodziła do wniosku, że jest już za późno, by szukać wybaczenia. Dawała więc spokój, wzdychała i tylko od czasu do czasu mówiła coś ze smutkiem o ślepej dziewczynie.

Na co żona syna odpowiadała zawsze ostro:

- Z pewnością jest jej dobrze... Tak, nie ma co w to wątpić... To naprawdę wielkie szczęście, że udało się wam znaleźć kogoś, kto wziął ją dla swojego syna.

- Ależ to bardzo bystra, zręczna dziewczyna, moja synowo - odpowiadała matka porywczo. - Wiem, że ty nigdy nie uwierzysz, ile ona potrafiła zrobić. Zanim tutaj nastałaś, wykonywała mnóstwo czynności, do których ty później jej nie dopuszczałaś. Dlatego nie miałaś okazji się przekonać, jak świetnie sobie potrafiła radzić.

- Być może - odpowiadała na to żona syna, przysuwając do oczu szycie i sprawdzając, czy ścieg jest równy. - Ja jednak robię zawsze wszystko sprawnie i do końca, a ona jest taka ślamazarna.

Matka westchnęła na to i popatrzyła na próg, na którym nikt się nie bawił.

- Chciałabym, córko - powiedziała - żebyś urodziła dziecko. W domu powinno być ze dwoje albo troje dzieci. A taka pustka to nie jest coś, do czego przywykłam. Być może takie jest twoje przeznaczenie, być może nie będziesz miała synów ani córek. Jeżeli tak jest, to pragnęłabym, żeby mój młodszy syn się ożenił. Jednak widzę, że on jakoś tego nie chce.

Tak więc młoda żona miała swoją własną zgryzotę. Po prawie pięciu latach małżeństwa wciąż nie urodziła dziecka. Nie zanosilo się też na to, że je urodzi. Jakiś czas temu, w ścisłej tajemnicy, udała się do pewnej świątyni. Pomodliła się tam i odprawiła inne znane sobie obrządki. A mimo to jej ciało pozostawało tak samo bezpłodne jak przedtem. Była jednak zbyt dumna, by okazać swój ból. Odpowiedziała więc matce spokojnie:

- Z czasem będę miała synów. Na pewno.

- Ale czas na to już nadszedł - powiedziała matka zrzędlwym tonem. - Jak żyję, nie słyszałam, żeby zameżna kobieta w naszej wiosce była bezdzietna. Nasi mężczyźni zostają ojcami zaraz po ślubie, a kobiety są zawsze płodne. Dobre ziarno, dobra gleba. Musi być zatem tak, że to ty nosisz w sobie jakąś chorobę, która czyni cię bezpłodną. A to jest sprzeczne z naturą. Uszyłam ci obszerne, luźne ubrania. I na co się to zdało? Matka nieraz rozmawiała o tym z żoną kuzyna.

- Ja bardzo dobrze wiem - rzekła kiedyś, pochylając się do jej ucha - wiem bardzo dobrze, co jest nie tak. Moja synowa nie ma w sobie żaru. To blada i żółta, cherlawka kobieta. Jej dni nie różnią się niczym od siebie. Z wnętrza jej ciała nigdy nie wypływa potrzebny do tego strumień. I żadne takzmany ani luźne weselne szaty nie pokonają jej wewnętrznego chłodu. Zona kuzyna pokiwała głową.

- To prawda - przyznała ze śmiechem. - Takie blade, bezkrwiste kobiety rodzą bardzo późno. Ale, moja siostrze, nie każda kobieta może mieć w sobie taki żar jak ty w swoim czasie - dodała, spoglądając na matkę znacząco. - Wiesz zresztą, że to nie zawsze przynosi dobre skutki.

- O tak, wiem o tym doskonale - odrzekła pospiesznie matka. A potem, po chwili milczenia, dodała z pewnym ociąganiem:

- To prawda, że z tej mojej synowej jest porządna kobieta. Może aż za bardzo. Szoruje garnki tak często. Dam głowę, że marnuje się przy tym jedzenie i oliwa. No i sama myje się co chwila. Kto wie, może właśnie dlatego jest bezpłodna. Zbyt częste mycie nie zawsze jest zdrowe.

Nie wspomniała już jednak ani słowem o tym, że młodej kobiecie brak żaru. Obawiała się bowiem, że żona kuzyna ponownie wspomni o tamtej okropnej rzeczy, która stała się przed laty. Tak, obawiała się tego, choć żona kuzyna była najżyczliwszą duszą pod słońcem i nigdy dotąd do tego nie powracała. Być może napomknęła o czymś mężowi,

jednak matka nigdy tego nie odczuła. Gdyby nie te dwie zgryzoty - ślepotą córki i fakt, że starszy syn nie ma synów - matka całkiem by zapomniała o tamtym wydarzeniu. Bowiem czasy, w których wciąż jeszcze dotyczyły jej sprawy ciała, wydawały się bardzo odległe. Tak, zapomniałaby o tamtym wydarzeniu, gdyby się nie bała. Po pierwsze, bo to był grzech, a po drugie, bo uważała, że jej zgryzoty są karą za niego. No, ale cóż było robić - jej córka oślepiła i wyszła za męża, a w domu brakowało dzieci. Były tu tylko bawół, świnia i pies. I nawet te zwierzęta karmiła jej synowa.

Jedyną dobrą stroną tego wszystkiego, myślała matka, jest teraz to, że moi dwaj synowie nie kłócą się tak bardzo. Starszy, zadowolony z życia, jest panem swego domu, a młodszy znalazł dla siebie miejsce gdzieś w świecie. Gdy pewnego razu młodszy brat pojawił się w domu, a potem zaraz zniknął, starszy skomentował to szyderczo:

- Zachodzę w głowę, skąd mój brat ma takie eleganckie stroje, no i jaką to on ma pracę. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie należy do jakiejś bandy złodziei i nie jest wplątany w coś, co sprowadzi na nas kłopoty.

Matka jak zwykle broniła gorąco młodszego synka.

- Powiem ci, mój synu, że z niego jest bardzo dobry młodszy brat. Powinieneś go chwalić i cieszyć się, że znalazł sobie pracę, że nie mieszka tutaj i nie dzieli się z tobą ziemią!

- O tak, mogę przysiąc, że on zrobi wszystko, byle tylko trzymać się z daleka od roboty w polu - zakpił starszy syn.

Jednak jego żona milczała. Ostatnimi czasy żyła szczęśliwa, bo cały dom należał tylko do niej i całkiem nie dbała o to, co czyni młody człowiek. Nie zazdrościła mu elegancji, bo ubrania kupował sobie sam, więc nie musiała szyć dla niego.

Czas płynął. Nadeszła wiosna i minęła. Nastąpiło wczesne lato, a matka wciąż nie mogła zapomnieć o córce. Pewnego dnia usiadła

i zaczęła liczyć. Sprawdziała, ile dni upłynęło od chwili, gdy ślepa dziewczyna zniknęła jej z oczu za wzgórzem. Wyszło jej, że było tych dni dwanaście razy po tyle, ile palców liczą sobie dłonie, a potem straciła rachubę. Posmutniała więc i pomyślała: Muszę się do niej wybrać. To moje dawne brzemie tak mnie przytłoczyło, a ja się temu poddałam. A przecież powinnam była pojechać tam już jakiś czas temu. Gdyby moja córka była zdrowa, sama złożyłaby już nam wizytę, tak jak to czynią młode żony. A ja mogłabym ją zapytać, jak jej się żyje. Mogłabym też dotknąć jej dłoni, ramion i policzków, a także przekonać się, czy nie jest blada.

Matka dzień w dzień siadywała na progu, patrząc na okoliczne wzgórza. I obserwowała, jak nadchodzi pełnia lata, jak zielenią się wszystkie zbocza, jak zboże na polach wyrasta wysoko. A potem, pod koniec każdego dnia, dźwigała się z trudem, bo teraz, choć próżnowała, była zawsze zmęczona. Tak, muszę się tam wybrać i zobaczyć moją córkę, myślała. Wyruszę zaraz, bo przecież w polu nie jestem potrzebna. Siedzę tu tylko wciąż beczynnienie. Pojadę, zanim nastaną upały i zanim niespodziewanie zaskoczy mnie znowu biegunka. Tak... wyruszę w drogę jutro, bo na niebie nie ma śladu chmur... Niebo jest całkiem niebieskie... Tak pomyślawszy, spojrzała na niebo i widząc jego błękit, przypomniała sobie nagle - jak zwykle ostatnimi czasy - fragment swojego dawnego życia. Przypomniała sobie błękitną szatę, którą pewnego razu kupił sobie jej mąż, a także to, że zaraz potem odszedł z domu. Westchnęła ciężko na to wspomnienie. To w taki właśnie dzień - pomyślała z bólem - mój mąż kupił sobie tamtą szatę. A potem się pokłóciliśmy. Tak, to było w taki piękny dzień, bo pamiętam, że szata miała kolor nieba. Westchnęła jeszcze raz i wstała, chcąc pozbyć się tej myśli, a gdy pojawił się starszy syn, zwróciła się do niego:

- Myślę o tym - powiedziała - żeby jutro wybrać się do twojej siostry. Chcę zobaczyć, jak jej się wiedzie w domu męża. Muszę to zrobić, skoro ona nie może przyjechać do nas.

- Matko - zniecierpliwiał się syn - ja nie mogę pojechać z wami. Jutro mam bardzo dużo roboty. Zaczekajcie, aż skończą się żniwa, aż ziarno zostanie wymłócone i podzielone, a ja będę miał trochę wolnego czasu.

Okazało się jednak, że matka po prostu nie może czekać. Świadomość, że ma coś do zrobienia, dodawała jej sił. A poza tym zmęczyło ją już to bezczynne siedzenie w domu.

- Nie - zaprotestowała. - Pojadę jutro!

- Ale jak, matko? Jak pojedziecie? - zawołał syn, zły, że nie dała mu czasu do zastanowienia.

- Wsiądę na osła kuzyna. Bo myślę, że on mi go pożyczy. A ty każ jego synowi pójść i poszukać twojego brata. Twój brat poprowadzi osła i we dwoje dotrzemy na miejsce całkiem bezpiecznie, bo ostatnio nie słychać o grasujących w okolicy rabusiach. Mówi się tylko o takich, co grasują w mieście, zwanych komunistami, ale oni podobno nie krzywdzą ludzi biednych...

- To prawda - poparła matkę synowa. - Jeżeli twój młodszy brat pójdzie z matką, to nie widzę specjalnego niebezpieczeństwa.

Słyszając to, starszy syn, aczkolwiek niechętnie, zgodził się wreszcie. Tak więc matka dopięła swego. Posłano do miasta syna kuzyna, który odnalazł tam jej młodszego syna, a po powrocie oznajmił:

- Mój kuzyn, a wasz drugi syn, ciotko, niedługo tu się zjawi. Ale przysięgam - dodał, kręcąc guzikiem kaftana - że jego mieszkanie to miejsce dziwne i tajemnicze. I trudno je znaleźć. Bo wiecie, on mieszka w takiej długiej izbie nad sklepem, w której jest pełno łóżek, chyba ze dwadzieścia. Są tam też książki i papiery. Ale wasz syn nie pracuje w tym sklepie. Wiem, bo pytałem go o to. Nie miałem pojęcia, ciotko, że mój kuzyn potrafi czytać. I muszę powiedzieć, że jeżeli czyta te książki, to musi być bardzo uczony.

- Mój syn nie umie czytać - odrzekła matka, zdumiona. - I nigdy mi nie mówił, że żyje z książek. Przysięgam, że to bardzo dziwna sprawa! Muszę go o to zapytać.

Nazajutrz, siedząc na ośle, gdy wędrowali krętymi ścieżkami przez doliny, matka zebrała się na odwagę.

- Co to za książki i papiery, o których mówi syn kuzyna? - zapytała. - Te, które znajdują się w izbie, gdzie wszyscy mieszkacie? Nigdy mi nie mówiłeś, że potrafisz czytać ani że żyjesz z książek. A ja, mój synu, nigdy nie widziałam, żebyś przeczytał choćby jedno słowo.

Młody człowiek, który był obdarzony dobrym głosem i bardzo lubił śpiewać, przerwał teraz swoją pieśń i odrzekł:

- Tak, matko, nauczyłem się trochę.

A kiedy matka nie ustępowała, dodał wymijająco:

- Matko, nie pytaj mnie o to teraz. Pewnego dnia, gdy wybije właściwa godzina, dowiesz się wszystkiego. Będzie to wielki dzień, matko.

Śpiewałem właśnie o nim pieśń, którą w miejscu, gdzie pracuję, wykonujemy razem. Tego dnia zostaniemy wszyscy wyzwoleni. I nie będzie już biedaków i bogaczy, tylko wszyscy staniemy się równi.

Była to najbardziej szalona rzecz, jaką matka w życiu słyszała. Bo wiedziała przecież doskonale, że to, czy ktoś jest biedny, czy bogaty, zależy od woli nieba, a człowiek nie ma nic do powiedzenia i musi po prostu przyjąć swój los, i znosić go cierpliwie.

- Mam nadzieję, mój synu, że nie związałeś się z jakimiś złymi ludźmi - zawołała przerażona. - Ze złodziejami albo z kimś takim! Bo tak jak ty teraz mówią rabusie. Tak, mój synu! Wiesz dobrze, że biedak może stać się bogaczem tylko w jeden sposób - rabując, trudniąc się rozbojem. Nie ma innej drogi. Źle jest bogacić się w ten sposób, a potem, kiedy człowieka przyłapią na rabunku, stracić na dodatek życie!

- Matko, ty nic nie rozumiesz! - zawołał gniewnie młody człowiek. - A ja poprzysiągłem milczenie. Teraz nie mogę ci nic powiedzieć, ale pewnego dnia dowiesz się wszystkiego. Tak, dowiesz się, bo ja tego dnia nie zapomnę o tobie. Ale tylko o tobie, ponieważ nie podzielę się z tymi, co nie dzielili się ze mną.

Ostatnie słowa wypowiedział tak głośno, że matka z łatwością zorientowała się, że chodzi mu o brata. Milczała więc przez jakiś czas, bojąc się go rozgniewać.

Nie mogła jednak na tym poprzestać. Siedząc na grzbiecie osła i trzymając się jego sierści, zastanawiała się nad tym, co powiedział, i spoglądała ukradkiem na syna. On tymczasem szedł przodem, prowadząc osła za uzdę, i śpiewał znowu jakąś pieśń, której nigdy nie słyszała - rytmiczną, pełną ognia pieśń o niezrozumiałych słowach. Matka pomyślała, że musi się więcej dowiedzieć o życiu swego młodszego syna. Tak, tak. Musi go też w jakiś sposób bardziej związać z domem i z rodziną. Już wie. Ożeni go i jego żona zamieszka w jej domu. Wtedy młodszy syn będzie się często zjawiał w wiosce, a może nawet - ze względu na żonę - zamieszka razem z nimi. Matka pomyślała, że dobrze poszuka i znajdzie młodszemu synowi ładną, delikatną dziewczynę, którą on będzie mógł pokochać. Tak, starszy może mieć sobie żonę do roboty. Dla młodszego jednak trzeba znaleźć zupełnie inną dziewczynę. Kiedy matka już wszystko sobie przemyślała, poczuła ulgę. Jej serce się uspokoiło, bo plan wydał jej się dobry. A potem, nie potrafiąc ukryć własnych myśli, powiedziała do syna:

- Posłuchaj, synu, masz już ponad dwadzieścia lat, prawie dwadzieścia jeden, więc uważam, że trzeba cię wkrótce ożenić. Jak ci się podoba ten pomysł?

Któż jednak jest w stanie przewidzieć, co może czuć młody człowiek?

Chłopak, zamiast uśmiechnąć się w milczeniu - ucieszony, a równocześnie zawstydzony - przystanął, obejrzał się i odrzekł krnąbrnie:

- Czekałem, kiedy powiesz coś takiego... Matki myślą tylko o tym! Moi towarzysze twierdzą, że rodzice wciąż im powtarzają: ożeń się, ożeń, ożeń! Ale nie, matko, ja się nie ożenię! A jeżeli ty ożenisz mnie wbrew mojej woli, to nie zobaczysz mnie nigdy więcej! Bo ja nigdy więcej nie pokażę się w domu!

Po czym odwrócił się i ruszył w drogę. Szedł teraz szybciej, a matka nie miała odwagi odezwać się choćby słowem. Siedziała na osle

zdumiona i przestraszona, bo jej syn wpadł w gniew i teraz już nie śpiewał.

Wkrótce jednak w obliczu tego, co miało niedługo nastąpić, całkiem zapomniała o jego sprawach. Zbliżało się już południe, a ścieżka, którą wędrowali od wczesnego rana, robiła się stopniowo coraz węższa.

Wzgórza, które w okolicach ich wioski były takie łagodne, tak miękko rysowały się na tle nieba i zieleniły od trawy i pędów bambusa, teraz pięły się w stronę nieba ostro i gwałtownie. Gdy nadeszło samo południe i słońce zsyłało na ziemię swój największy żar, łagodne pagórki zniknęły, a w ich miejsce pojawił się łańcuch gór - nagich skał wznoszących się w przestwór surowymi turniami. Góry piaskowego koloru i całkiem pozbawione roślinności wydawały się strzelać w niebo tym ostrzej, że ono tego dnia było bezchmurne, jasne i błękitne.

Ścieżka wiła się u stóp potężnych, skalistych zboczy, a te nie były czarne i ciemne, tylko blade niby jasne światło i matka, patrząc na nie, nie mogła się im nadziwić. A na dodatek nigdzie wokół nic nie rosło, bo wszędzie brakowało wody. Kręta ścieżka biegła pod górę coraz wyżej i wyżej i w jakieś dwie godziny po południu matka z synem dotarli do położonej bardzo wysoko głębokiej, kolistej doliny. Tutaj musiało być trochę wody, bo zobaczyli małą wioskę - mającą kształt prostokąta i otoczoną kamiennym murem - a wokół tej wioski kilka zielonych poletek. Kiedy jednak zatrzymali się przed bramą i zapytali o miejsce, którego szukali, człowiek, który tam stał, wskazał palcem wyżej, w stronę górskiego grzbietu.

- Tam, gdzie kończy się zieleń - powiedział - na niższej krawędzi są dwa domy. To ostatnia krawędź z roślinnością. Wyżej są tylko skały i niebo. Matka patrzyła na góry z bezgranicznym zdumieniem. Zdziwiwały ją ich poszarpane kształty, ich jasny kolor i resztki zieleni. Całe swoje życie spędziła w dolinach, więc teraz, gdy kręta ścieżka pięła się w górę, ta śmiertelnie uboga ziemia napawała ją przerażeniem. Do



strzegą, jak płytka jest warstwa gleby na białych skałach i jak mizerne są tu plony, nawet w tej chwili, tuż przed żniwami.

- Nie podoba mi się to miejsce, mój synu! - zawołała. - Spójrz tylko, jak wszystko tutaj wygląda! Z pewnością twoja siostra ma tu zbyt ciężkie życie. Zabierzemy ją do domu. Tak, życie tutaj jest dla niej za trudne. W drodze powrotnej ja pójdę pieszo, a ją wsadzimy na osła. I niech ci ludzie mówią sobie, co chcą. Nie zapłacili za moją córkę ani grosza. Nie zażadam też teraz od nich niczego. Tylko tego, żeby mi pozwolili zabrać ją do domu.

Młody człowiek milczał. Był zmęczony i głodny, bo w drodze zjedli tylko odrobinę zimnej strawy, którą wzięli ze sobą. Chłopak nie mógł się już doczekać, kiedy dotrą do domu siostry, gdzie zamierzali spędzić noc. Ciągnął więc osła za uzdę tak mocno, że matka miała ochotę go złać. Nagle ich oczom ukazały się dwa domy - przycupnięte u podnóża grzbietu, na skałach. Matka od razu zorientowała się, że jej córka jest tutaj, bo w drzwiach jednego z domów stał tamten starzec o złowrogim wyglądzie. Widząc przybyszów, wybałuszył z niedowierzaniem oczy. I zaraz cofnął się do wnętrza. Po chwili przed chatę wyszli inni ludzie - drugi mężczyzna, ciemny i chudy, wyglądający dziko, i dwie kobiety oraz jakiś ospały chłopiec. Nie było jednak ślepej dziewczyny.

Matka zsiadła z osła i podeszła bliżej, a wszyscy ci ludzie gapili się na nią w milczeniu. Matkę ogarnęło przerażenie. Nigdy w życiu nie widziała takich typów. Ich wygląd zdumiewał. Kobiety miały nieuczesane, pełne rzepów włosy, a twarze wysuszone i pociemniałe od słońca. Całkiem nieumyte, nosiły jakieś brudne lachy. Zaraz też z drugiej chaty wyszło kilkoro cherlawych dzieci. Wszystkie były żółte od jakiejś gorączki, wargi miały spierzchnięte i popękane. I były tak brudne, że aż cuchnęły. Patrzyły w milczeniu, nie pozdrawiając przybyszów, oczyma dzikimi i bezrozumnymi niby u zwierząt.

Matka z sercem ściśniętym ze strachu podbiegła do stojących ludzi i zawołała:

- Gdzie jest moja córka?! Gdzie wyście ją ukryli?!

Po czym wmieszała się w gromadę. Tymczasem jej syn, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić, stał z boku, trzymając osła.

Odezwała się jedna z kobiet. Minę miała przy tym nadaśaną i niezbyt łatwo ją było zrozumieć. Jej akcent był bowiem jakimś surowym akcentem z północy, a słowa wydobywały się niewyraźnie zza połamanych zębów.

- Dobrze trafiliście, gosposiu! Ona dopiero co umarła. Tak, umarła wczoraj.

- Umarła! - powtórzyła szeptem matka i zamilkła.

Serce w jej piersi przestało bić, zabrakło jej tchu, nie mogła wydobyć głosu. Weszła jednak do stojącej bkżej chaty. I tu, na garści trzciny rzuconej na ziemię, zobaczyła swoją ślepą córkę. Dziewczyna leżała martwa, całkiem nieruchomo. Ubrana była w rzeczy, które miała na sobie opuszczając dom rodzinny, brudne teraz i uszargane. Po jej nowym ubraniu nie pozostało ani śladu, gdyż izba, poza tym że znajdowała się tu kupka sitowia i kilka z grubsza ciosanych stołków, była całkiem pusta. Matka podbiegła bliżej i padła na kolana. Wpatrywała się w nieruchomą twarz, w zapadnięte oczy i w małe usteczka córki. Wpatrywała się w te rysy - tak dobrze jej znane. I nagle wybuchnęła płaczem. Przypadła do ciała i chwyciła je za ręce. Odsunęła postrzępione rękawy, przyjrzała się ramionom, podciągnęła spodnie i sprawdziła, czy nogi są posiniaczone albo noszą jakieś inne ślady bicia czy złego traktowania.

Nie znalazła jednak niczego takiego. Nie, miękka skóra dziewczyny była nienaruszona, jej drobne kości całe - matka nie dostrzegała żadnych śladów. Dziewczyna leżała blada i żałośnie chuda. Ale chuda była zawsze, a śmierci towarzyszy przecież bladość. Matka pochyliła się i powąchała usta córki, chcąc się przekonać, czy nie pachną jakąś trucizną, ale nie poczuła żadnego zapachu, nic, z wyjątkiem nikłej woni śmierci.

Mimo to nie mogła uwierzyć, że jej córka zmarła śmiercią naturalną. Odwróciła się ku tym, co stali przy drzwiach, obserwując ją w milczeniu. Popatrzyła na nich przez chwilę i zobaczyła dzikie, grubo ciosane, całkiem jej nieznane twarze.

- Zabiliście ją! - zawołała, zanosząc się szlochem. - Dobrze wiem, że tak było... Bo jeżeli nie, to powiedzcie, jak to się stało, że moja córka umarła tak młodo, a ja, stara, wciąż żyję cała i zdrowa?!

Złowrogi starzec, do którego od pierwszego wejrzenia czuła taką niechęć, uśmiechnął się na to od ucha do ucha.

- Uważajcie, co mówicie, gosposiu! - powiedział. - Bo twierdzić, że to myją zabiliśmy, to tyle co rzucać poważne oskarżenie...

- Jak to się stało, że ona umarła?! - z wrzaskiem wpadła mu w słowo ponura kobieta o zmierzwionych włosach. - Umarła, bo się przeziębiła. Była taka mizerna, że umarła od głupiego przeziębienia!

To rzekłszy, kobieta splunęła, a potem dodała piskliwie:

- Nie nadawała się do niczego. Nic nie umiała zrobić... Nie potrafiła się nawet nauczyć, jak nosić wodę ze źródła. Potykała się ciągle, przewracała się albo gubiła drogę!

Matka wyjrzała przez drzwi i zobaczyła skalistą ścieżkę, prowadzącą w dół ku małej sadzawce.

- Chodzi wam o tę drogę?! - zawołała.

Lecz nikt jej nie odpowiedział, więc cierpiąc straszliwie, wołała dalej:

- Biliście ją! Tak, tak, na pewno biliście moją córkę codziennie!

- Sprawdźcie dobrze i zobaczcie, czy ma siniaki! - odrzekła na to pospiesznie kobieta. - Mój syn uderzył ją tylko raz, bo ruszała się zbyt powoli, kiedy ją do siebie zawołał. To wszystko!

Matka podniosła głowę.

- Gdzie jest wasz syn? - zapytała słabym głosem. Wypchnęli go naprzód i oto stał teraz przed nią - tyczkowaty chłopak, gapiący się bezmyślnie. Patrząc na niego, matka zorientowała się, że jest kompletnym przygłupem.

A potem skłoniła głowę, oparła ją o martwe ciało córki i zanosła się wielkim płaczem. Ten płacz wzmógł się jeszcze, gdy pomyślała, ile dziewczyna musiała wycierpieć wśród takich ludzi.

Tak więc matka płakała, a tymczasem ci, co stak naokoło, patrząc na nią, poczuk, że narasta w nich gniew. Po pewnym czasie ktoś dotknął ramienia matki, a ona, uniósłszy głowę, zobaczyła, że to jej syn. Miody człowiek pochylił się i szepnął:

- Matko, obawiam się, że grozi nam tutaj niebezpieczeństwo. Trzeba stąd uciekać. Matko, posłuchaj, moja siostra nie żyje. A zatem - co więcej możemy uczynić? Wygląda na to, że ta rodzina to bardzo źli ludzie. Nie mam pojęcia, co nam mogą zrobić. Chodź już. Wracajmy szybko do wioski. Kupimy tam coś do zjedzenia, a potem, jeszcze dziś wieczorem, wyruszymy w drogę powrotną!

Matka ociągała się jeszcze. Podniosła się powok i spojrzała na tych ludzi. A oni stak zbici w gromadę i coś do siebie niewyraźnie mówili. Nie spodobało jej się to wcale. Podobnie jak spojrzenia, którymi mierzyli ją i jej syna. Muszę myśleć o moim synu, powiedziała sobie w duchu. Mnie jest wszystko jedno, niech mnie zabiją, jeżeli taka ich wola. Ale on jest przecież młody.

Odwróciła się po raz ostatni i po raz ostatni spojrzała na zmarłą córkę. Wyglądziła jej ubranie i ułożyła ręce wzdłuż ciała. A potem wyszła z chaty. Było już późne popołudnie.

Gdy zebrana wokoło rodzina przekonała się, że matka uspokoiła się nieco i zamierza wsiąść na osła, odezwał się ojciec młodego przyglupa.

- Posłuchajcie, gosposiu - powiedział - jeżeli macie wątpliwości, czy z nas porządni ludzie, to spójrzcie na trumnę, którą kupiliśmy dla waszego dziecka. Kosztowała nas dziesięć sztuk srebra. Wydaliśmy na nią wszystkie nasze pieniądze. Więc jak myślicie, czy kupilibyśmy tę trumnę, gdybyśmy dziewczyny nie cenili?

Słyszając to, matka rozejrzała się dookoła. I rzeczywiście, zobaczyła, że przy drzwiach stoi trumna. Nie wyglądało jednak na to, że kosz

towała dziesięć sztuk srebra. Okazała się bowiem zwykłą skrzynią z niemalowanymi deskami - cienkimi niby papier. Tak, była to trumna, w jakich się chowa biedaków. Matka, widząc ją, już miała zawołać: „Co?! Ta skrzynka to ma być porządna trumna? Przecież to srebro, które dałam córce, wystarczyłoby na znacznie porządniejszą!”.

Powstrzymała się jednak. Bo niczym ciemna chmura w jasny dzień nasunęła jej się myśl: Trzeba się bać tych ludzi. Tak, ci dwaj złowrogo wyglądający mężczyźni i te dzikie kobiety, wszyscy oni budzili strach. A poza tym jej syn się już niecierpliwił. Ciągnął ją za rękaw.

- Nie mam nic do powiedzenia - oznajmiła więc stanowczo. - Dziewczyna nie żyje i żadne gniewy ani żadne słowa jej nie wskrzeszą.

Przerwała i powiodła po nich wszystkich wzrokiem.

- Stoicie w obliczu nieba i wszystkich bogów - dodała. - Niech oni was osądzą, cokolwiek uczyniliście!

Popatrzyła na nich uważnie, na każdego z nich po kolei. Lecz oni milczeli. Odwróciła się więc i wsiadła na osła, a jej syn poprowadził zwierzę w dół skalistą ścieżką. Po jakimś czasie obejrzał się pełen obaw, żeby sprawdzić, czy nie są ścigani.

- Nie spocznię - powiedział - dopóki nie dotrzemy do wsi, gdzie jest dużo ludzi. Tak, matko, nie spocznię, bo bardzo się boję.

Ale matka nic na to nie odrzekła. Bo cóż mogły znaczyć słowa wobec świadomości, że jej córka nie żyje?

## XVII

Zsiadając tej nocy przed swoją chatą ze ślaniającego się na nogach siwego osła, matka padała ze zmęczenia. Przez całą drogę powrotną płakała - raz głośno, a raz cicho - aż w pewnej chwili jej syn, nie mogąc słuchać jej płaczu, zawołał zrozpaczony:

- Matko, proszę cię, przestań zawodzić, boja tego znieść nie mogę! I matka, ze względu na niego, uspokoiła się nieco. Potem jednak ponownie wybuchnęła łkaniem. A wtedy młody człowiek w zapamiętaniu wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Gdybyż ten wielki dzień już nadszedł! Gdybym nie był tak biedny i gdyby biedni dostali to, co im się należy, i potrafili się bronić, moglibyśmy pozwać tych ludzi do sądu za to, że doprowadzili do śmierci mojej siostry! Ale co mamy robić, będąc takimi biedakami w kraju, w którym nie ma sprawiedliwości?

- To prawda - zaszlochała matka - to prawda, że na nic dla nas wszelkie sądy. Nie mamy przecież pieniędzy, by opłacić sobie drogę do sprawiedliwości. Zresztą - dodała zrozpaczona - żadne pieniądze i żadna sprawiedliwość pod słońcem nie przywrócą mi mojej ślepej córeczki. W końcu młody człowiek nie wytrzymał dłużej. Rozplakał się także i on. I płakał nie tyle nad siostrą czy nad matką, ile dlatego, że tak strasznie bolały go nogi, że był tak okropnie zmęczony. No a poza tym czuł, że cały jego świat nie jest taki jak trzeba.

Dotarł wreszcie do drzwi własnej chaty. A tu, zsiadłszy z osła, matka przywołała starszego syna. Wołała głosem tak przenikliwym, że syn wybiegł szybko z domu.

- Synu - krzyknęła wtedy głośno - twoja siostra nie żyje!

A potem, gdy syn patrzył na nią zdumiony, nie rozumiejąc prawie, co zaszło, zaczęła opowiadać. Słyszając jej krzyk, przybiegli także inni ludzie i po chwili cała wioska zgromadziła się wokół nich. Młodszy syn stał przez jakiś czas obok, osłabły ze zmęczenia, opierając się o osła. A potem wszedł do domu i rzucił się na ziemię. I leżał tam oszołomiony wszystkim, co się tego dnia wydarzyło. Leżał w milczeniu, podczas gdy jego matka płakała i głośno krzyczała.

- I tam znalazłam moją córkę nieruchomą i martwą! - zawołała przez łzy, spoglądając na ludzi. - Nie mogę sobie darować, że puściłam ją od siebie, że wysłałam ją z domu! A nie zrobiłabym tego, gdyby nie ta kobieta o zimnym sercu, żona mojego syna. Żałowała mojej malutkiej córeczce kawałka mięsa i kwiatka na bucie. Więc bałam się, że gdy umrę... Zresztą moja córeczka też się bała... Bało się to delikatne dzieciątko, które w przeciwnym razie nigdy by mnie nie opuściło! Przecież ona miała serce dziecka. Małżeństwo... Mężczyźni... Cóż ją to wszystko obchodziło? To było dziecko garnące się do domu i do matki. Och, synu, powiadam ci, to twoja żona sprowadziła na mnie to nieszczęście! Przeklinam dzień, w którym się tu pojawiła. Nic dziwnego, że jest bezdziejna, skoro ma takie twarde serce!

Matka mówiła długo. Wszyscy z początku słuchali w milczeniu, a potem, gdy z jej przerywanej płaczem opowieści zaczęła wyłaniać się cała ta historia, wydawali krótkie okrzyki. Następnie zaś próbowali pocieszać matkę, lecz ona pozostawała nieukojoną. Starszy syn milczał, stojąc ze spuszczoną głową. I dopiero gdy matka zaczęła przeklinać jego żonę i twierdzić, że nie powinna mieć dzieci, odezwał się spokojnie i tonem rozsądku:

- Nie, matko, moja żona nie kazała ci posyłać mojej siostry do tych ludzi. Ty sama to zrobiłaś. I to bardzo szybko. Załatwiłaś to, nie mówiąc nikomu ani słowa. Dziwiliśmy się nawet, że nie pojechałaś tam najpierw, żeby wszystko sprawdzić, zobaczyć na własne oczy. Prawda,

kuzynie? - zwrócił się do kuzyna ojca. - Pamiętacie, jak mówiłem, że dziwię się, że matka załatwiła tę sprawę tak szybko?

Kuzyn odwrócił wzrok i żując źdźbło słomy, odrzekł z ociąganiem i bardzo cicho:

- O tak, to było... trochę... szybko...

A jego żona, która stała obok z wnukiem w ramionach, zwróciła się do matki:

- Tak, to prawda, siostró - powiedziała ze smutkiem. - Ty zawsze działałaś bardzo szybko. I nigdy nikogo nie pytałaś, czy postępujesz dobrze. Zanim ktokolwiek z nas się zorientował, co zamierzasz, ty już zrobiłaś to, co chciałaś. A od nas oczekiwałaś tylko potwierdzenia, że postąpiłaś słusznie. Ty już taka jesteś z natury. I robisz tak przez całe życie.

Matka jednak tej nocy nie była w stanie znieść nagany.

- Ty... Ty się przyzwyczaiłaś do tego swojego powolnego męża - zawołała z gniewem do żony kuzyna. - I jeżeli to ktoś taki jak on twierdzi, że ktoś inny działa zbyt szybko...

Wyglądało przez chwilę na to, że między tymi dwiema kobietami, które przez całe życie się przyjaźniły, padną gorzkie słowa. Sytuację uratował kuzyn - człowiek dobiy i spokojny - który widząc, że żona poczerwieniała na twarzy i szykuje się do zgryźliwej odpowiedzi, zawołał głośno:

- Daj spokój, matko moich synów! Ona jest dzisiaj tak zbolą, że nie wie, co mówi.

A potem, żując nadal słomkę, dodał łagodnie:

- To prawda, że ja jestem bardzo powolny. Słyszałem to w życiu bardzo wiele razy. Ty, matko moich synów, też mi to mówiłaś... Tak, tak, powolny ze mnie człowiek - dokończył i popatrzył na sąsiadów.

- Tak, gospodarzu, jesteście powolnym człowiekiem - potwierdził szczerze jeden z nich. - Ruszacie się powoli, jest tak z całą pewnością. A poza tym wolno myślicie i wolno mówicie!



- Właśnie - przyznał kuzyn, po czym westchnął, wypluł przezutą słomkę i wyciągnął następną ze sterty słomy ryżowej znajdującej się obok. W ten oto sposób kłótnia została zażegnana. Jednak matka wcale się nie uspokoiła. Nagle jej wzrok padł na stojącą w tłumie starą plotkarkę, która w osłupieniu, z na wpół otwartymi ustami wysłuchiwała całej opowieści. Matkę na jej widok załapała świeża fala bólu i złości. Rzuciła się na kobietę. Podrapała ją po tłustej, okrągłej twarzy, a potem złapała ją za włosy, wrzeszcząc:

- A ty?! Ty przecież wiedziałaś, co to za ludzie! Wiedziałaś, że ich syn to przygłup! I nie wspomniałaś o tym ani słowem. Opowiadałaś, że to zwykli wieśniacy, tacy sami jak my. Nie wspomniałaś nic o tym, że moja córka będzie musiała wspinać się po skalistej ścieżce, nosząc im wszystkim wodę. To twoja wina! I przysięgam, że nie spocznę, dopóki mi jakoś za to nie zapłacisz!

Tu zaczęła plotkarkę, która nawet w najlepszych czasach nie dorównywała jej siłą, okładać pięściami. I nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby starszy syn nie wkroczył między obie kobiety i ich nie rozłączył. Młodszy, który wstał już z ziemi, pomógł w tym bratu. Wspólnymi siłami przytrzymali matkę, umożliwiając plotkarce ucieczkę. A ta, gdy już była dość daleko i gdy oddzielali ją od matki ludzie, uniosła się honorem i przystanęła, wołając:

- Może to i prawda, ale przecież twoja córka była ślepa. Więc który zdrowy mężczyzna by ją zechciał? Zrobiłam ci przysługę, gosposiu, a oto jak ty mi się za to odpłacasz!

To rzekłszy, uderzyła się w pierś, wskazała zadrapania na twarzy i zaczęła z płaczem sposobić się do dalszej kłótni.

Jednak tłum ją przepędził, a synowie wprowadzili zapłakaną matkę do chaty. Matka, całkiem wyczerpana, pozwołała im na to. Gdy już ją tam posadzki w jej własnej izbie, żona syna przyniosła miskę wody. Ta woda - bardzo gorąca - miała jej przynieść uspokojenie. Synowa gotowała ją podczas kłótni, a teraz zanurzyła w niej ręcznik, po czym obmyła matce twarz i ręce. A następnie naląła herbaty i przygotowała posiłek.

Stopniowo matka dała się uspokoić. Teraz popłakiwała jeszcze cicho i wzdychała. Aż w końcu napiła się herbaty, podjadła sobie, rozejrzała się i zapytała:

- Gdzie jest mój mały synek?

Młodszy syn zbknął się do niej. A wtedy matka zauważyła, jak bardzo jest blady i zmęczony. Przyciągnęła go więc ze smutkiem do siebie i kiedy usiadł obok na ławie, wzięła go za rękę i zaczęła namawiać, żeby zjadł i odpoczął.

- Spij dzisiaj tutaj, mój synku, śpij obok mnie, na posłaniu, na którym sypiała twoja siostra. Bo dziś w nocy nie zniosę pustki obok siebie. Młody człowiek usłuchał i w chwili, gdy się położył, zasnął twardym snem.

Tymczasem matka czuwała. Leżąc bezsennie, zmordowana długą podróżą i przygnębiona wielkim utrapieniem serca, czerpała pocieszenie jedynie z tego, że tuż obok słyszy głęboki oddech syna. Muszę zrobić dla niego coś więcej, pomyślała w przyływie czułości. Jest przecież ostatnim z moich dzieci. Muszę go ożenić. A jak już to się stanie, dobudujemy nową izbę. Mój mały synek zyska wtedy miejsce dla siebie i swojej żony. No a potem, kiedy pojawią się dzieci... Tak, tak, muszę mu znaleźć dobrą, krzepką żonę i sprawić w ten sposób, żebyśmy w domu mieli dzieci.

Myśl o małych dzieciach, które się w przyszłości urodzą, była odtąd jedyną jej pociechą.

Okazało się jednak, że stan, w którym znajdowała pociechę, nie trwał długo, ponieważ ponownie dopadła ją biegunka. Choroba tak matkę osłabiła, że nie była ona nawet w stanie przeżywać żałoby po śmierci córki. Leżała teraz całymi dniami na łóżku, całkiem wyczerpana, i nie miała siły ani rozpaczać, ani wykrzesać z siebie choćby iskierki nadziei. Odwiedzało ją wielu mieszkańców wioski. Przychodzili sąsiedzi, przychodziła też żona kuzyna. I wszyscy powtarzali:

- Posłuchajcie, gosposiu, wasze dziecko było w końcu ślepe.

- Posłuchajcie, gosposiu, człowiek nie może zmienić tego, co zgotowały mu niebiosy. Nie ma więc sensu rozpaczać po czymkolwiek w życiu. Bo to przecież nic nie daje.

- Pamiętajcie, gosposiu, że macie dobrych synów.

Aż wreszcie pewnego dnia, gdy to ostatnie pocieszenie powtórzyła żona kuzyna, matka odrzekła słabym głosem:

- To prawda, ale żona mojego starszego syna nie rodzi, a mój młodszy syn nie chce się żenić.

- Daj żonie starszego syna jeszcze rok albo dwa lata - poradziła jej tamta.

- Bo zdarza się przecież czasami, że prawdziwa natura kobiety objawia się dopiero po siedmiu latach. Widziałam to nieraz na własne oczy. Po takim okresie następuje u kobiety żniwo w postaci zdrowych dzieci. A co do młodszego, który twierdzi, że się nie ożeni... No to cóż, powiem ci, że on z pewnością ma gdzieś w świecie ukochaną. Trzeba się dowiedzieć, kim ta kobieta jest, i sprawdzić, czy nadaje się na żonę dla niego. Tak, ja jestem pewna, że twój młodszy syn znalazł sobie ukochaną. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie tak postępują. Musi tak być, bo przysięgam, że jak świat światem, nie było nigdy mężczyzny, który by się nie chciał ożenić!

- Pochyl się, siostró - wyszeptała na to matka - i przysuń ucho do moich ust.

Kiedy żona kuzyna to uczyniła, matka mówiła dalej:

- Widzisz, siostró, zgryzota mnie nie opuszcza. I nic mi się w życiu nie darzy. Dlatego boję się czasem, że wszystko to jest z powodu tego mojego dawnego grzechu, o którym bogowie przecież dobrze wiedzą. Więc może niebo nie da mi wnuków?!

Powiedziawszy to, zamknęła oczy, a spod powiek popłynęły jej dwie ogromne łzy. Przypomniała sobie wszystkie swoje grzechy, nie tylko ten znany żonie kuzyna. Przypomniała sobie, jak opowiadała ludziom, że jest wdową, przypomniała sobie rzekome listy od męża, które pisała sama, i wszystkie swoje kłamstwa. Nie żeby uważała kłamstwo za wielki grzech, bo przecież każdy człowiek musi od czasu do

czasu trochę kłamać - choćby ze względu na swój honor - jednak z całą pewnością popełniła grzech, mówiąc, że jej mąż nie żyje. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że tym kłamstwem przyłożyła rękę do jego śmierci, że ją na niego sprowadziła. A na dodatek pragnęła kłamstwem sprawić, żeby wziął ją inny mężczyzna. Wszystkie te grzechy - popełnione tak dawno, że, kiedy czuła się dobrze, całkiem o nich nie pamiętała - teraz, gdy była pogrążona w smutku i słaba, powróciły. I ciążyły jej, tym bardziej że nie mogła ich wyznać i musiała dźwigać je sama. Zwłaszcza że była przecież znana we wsi jako kobieta o doskonałej reputacji.

Była odtąd tak przygnębiona, że prawie nic nie mogło jej pocieszyć. Z jednym tylko wyjątkiem. Radość sprawiała jej jedynie obecność młodszego syna. Żona starszego opiekowała się nią bardzo troskliwie.

Przygotowywała dla niej gorące posiłki, przynosiła je do łóżka chorej, chodziła nawet do innej wioski po suszony serek z fasok. Matka wysługiwała się nią na różne sposoby, wołała ją na przykład, gdy chciała przewrócić się na drugi bok. Mimo to obecność tej młodej kobiety nie przynosiła jej żadnego pocieszenia. Często zdarzało się nawet, że synowa bardzo się starała, a matka ganiła ją - za to, że ma zimne ręce albo żółtą cerę - i niby naburmuszone dziecko, mierzyła ją wrogim spojrzeniem. Jednak nigdy już nie obwiniała jej o to, że jest bezdzietna. Nie, na ten temat więcej nie mówiła, bo miała jakieś mgliste przekonanie, że przyczyną bezdzietności synowej są jej własne grzechy.

W końcu wstała z łóżka. Jej cierpienie ustało z nadchodzącą jesienią. Teraz całymi dniami chodziła zasepiona, jednak nie szalała już dłużej. Myślała wciąż o swej córeczce, ale ostry ból serca ustąpił. I mawiała do siebie uspokajająco: Tak, tak, może to i prawda, co powiadają ludzie. Może to lepiej, że moja córeczka nie żyje. Jest przecież na świecie tyle rzeczy gorszych od śmierci.

I uczepliła się tej jednej jedynej myśli.

Cała wioska pomagała jej zapomnieć. Nikt nigdy więcej nie wspomniał przy niej o córce. A tak naprawdę to ani przy niej, ani w innych

okolicznościach - bo w ślepej dziewczynie nie ma przecież nic, co byłoby godne zapamiętania. No a poza tym na świecie żyje wiele dziewcząt do niej podobnych. Z początku więc ludzie nie mówili o niej przy matce, bo chcieli oszczędzić jej cierpienia. A potem nic o niej nie wspominali, bo po prostu nie mieli na ten temat nic nowego do powiedzenia. A także dlatego że nadchodziły wieści o różnych innych wydarzeniach i ludziach żyjących, podczas gdy tak niewiele znaczący żywot ślepej dziewczyny dawno się skończył.

Co do plotkarki, to ta przez pewien czas zachowywała w obecności matki sporą ostrożność. Starła się też nie zostawać z nią sama. Kiedy jednak się przekonała, że matka, wstawszy z posiana, jest bardzo słaba, poweselała znacznie i pozdrawiała ją głośno tak jak dawniej.

A matka pozwoliła milczeć przeszłości, która czasami odzywała się jedynie w jej sercu.

## XVIII

Wkrótce w domu zjawił się młodszy syn, zaczęło więc wyglądać na to, że serce matki znajdzie pewne pocieszenie.

- Przybyłem do domu, matko, żeby tu na trochę zostać - powiedział młodzieniec. - Na jak długo, nie wiem, ale co najmniej do chwili, gdy znów dostanę rozkaz, żeby odejść.

Matka cieszyła się z tego bardzo, jednak on odpowiadał na pytania półgębkiem i zdawał się całkiem nie być sobą. Milczał, nie śpiewał, nie trzymały się go żarty i figle, i nie gadał byle czego, jak to miał w zwyczaju. Matka zaczęła się zastanawiać, czy nie jest chory albo przygnębiony czymś, co utrzymuje przed nią w tajemnicy. Zwierzyła się z tych obaw żonie kuzyna.

- No cóż - odrzekła jej tamta łagodnie - może on w ten sposób wyrasta z dzieciństwa. Ile ma teraz lat? Powiem ci, siostrze, że tak samo jak on zachowuje się moje piąte dziecko, córka, prawie dwudziestoletnia i od czterech lat zamężna. Tak, tak, dwadzieścia jeden lat to w życiu człowieka czas wychodzenia z dzieciństwa. Mężczyźni w tym wieku nie powinni żartować i figlować tak jak kiedyś, choć co prawda twój mąż, jak pamiętam, potrafił to robić aż do ostatniej chwili.

- Rzeczywiście - przyznała matka z westchnieniem. Pamiętała teraz męża bardzo niewyraźnie, a wspomnienia o nim mieszały się w jej głowie z obrazem młodszego syna. Czasami nawet nie mogła sobie przypomnieć rysów mężczyzny, bo zamiast niego stawał jej przed oczami jej młodszy chłopak.

Ten zaś odszedł z domu po dziewięciu dniach - tak nagle, jak się pojawił, prawie potajemnie. W jaki sposób dostał wiadomość, że musi iść? Tego nikt nie wiedział. Dość, że odszedł, spakowawszy przedtem trochę ubrań do skórzanego kuferka. Kiedy matka zorientowała się, że odchodzi, była zrozpaczona.

- Myślałam, mój synu - zawołała - że wróciłeś, by zostać z nami! A syn odpowiedział:

- Och, matko, ja tu jeszcze wrócę!

Matce wydało się, że syn w głębi duszy się cieszy, że bardzo chce wreszcie odejść.

Później już zawsze był wesoły. Zjawiał się i znikał bez uprzedzenia.

Któregoś dnia przyszedł ze zrolowanym ubraniem pod pachą - tak po prostu. A potem przez parę dni próżnował w wiosce. Siadywał w herbaciarni, wygłaszając mowy. Narzekał na złe czasy. Perorował o niesprawiedliwości i o tym, że przyjdzie kiedyś wielki dzień - dzień, w którym wszystko się odmieni. I od tego dnia będzie lepiej. Mężczyźni słuchali go, popatrując po sobie. Nie mieli pojęcia, co o tym myśleć, a oberżysta podrapał się w pewnej chwili w głowę.

- Przysięgam - zawołał - że dla mnie to brzmi jak mowa jakiegoś rabusia i zbója! Tak, sąsiedzi!

Jednak ze względu na matkę i na jego starszego brata, który był człowiekiem porządnym, zostawili młodzika w spokoju. Doszk bowiem do wniosku, że jest jeszcze dziecinny i że gdy się ożeni i zacznie wieść życie mężczyzny, to zmądrzeje.

W domu młodszy syn matki także nic nie robił. Obijał się tylko albo też udawał, że pomaga bratu w jakiejś lekkiej pracy. Brat jednak odnosił się do tego z pogardą.

- Dziękuję ci, bracie - mawiał - ale przyzwyczailem się pracować sam, bez ciebie.

Wtedy młodzieniec patrzy! na niego kpiąco, bo ostatnio zrobił się bardzo bezczelny. Nie chciał się jednak kłócić, więc śmiał się tylko.

- Jak chcesz - odpowiadał, spluwając - jak sobie chcesz, mój starszy bracie.

Jego nonszalancja i spokój rozpały w starszym bracie nienawiść. Miał ochotę powiedzieć młodszemu, żeby sobie poszedł na zawsze.

Powstrzymywał się jednak od tego, bo powiedziawszy coś takiego własnemu bratu, straciłby dobrą opinię w oczach sąsiadów.

Matka tymczasem nie dostrzegała żadnych wad w młodszym synu. Była bezkrytyczna nawet wtedy, kiedy młodzik ze swadą krytykował starszego brata.

- Przysięgam - mówił - że tacy drobni posiadacze ziemi, którzy chcą przeżyć, muszą ją też dzierżawić, a więc przysięgam, że ci mali ludzie są tacy pyszni, że zasługują na to, co pewnego dnia ich spotka. A tego dnia cała ziemia stanie się wspólna i nikt nie będzie jej miał na własność.

Matka, która zrozumiała jedynie pierwszą część jego wypowiedzi, odrzekła żalonym tonem:

- Tak, tak, mój synu, ja też myślę, że twojego brata czasami rozpiera pycha. A przecież jego żona jest bezpłodna.

Uczepiła się tego swego młodszego syna tak kurczowo, że wszystko, co mówił, wydawało jej się mądre. Dzień, w którym się zjawiał w domu, był dla niej zawsze dniem świątecznym. Gdyby mogła, uczyniłaby także świętem każdy dzień jego pobytu. Zabiłaby dla niego kurę i przyrządziła lepszą strawę niż zwykle. Nie mogła jednak tego uczynić. Kury bowiem należały teraz do starszego syna. Podkradała więc jajka i chowała je dla młodszego. Gdy się zjawiał, wylewała je po kryjomu na gorącą wodę i dodawała do tego tę odrobinę cukru, którą udało jej się zaoszczędzić.

Doszło do tego, że gdy dostała od kogoś jakiś przysmak - bo nie musząc, ze względu na wiek, już nic robić, często odwiedzała sąsiadki w wiosce - a więc gdy ktoś dał jej na przykład brzoskwinię albo suszoną persymonę, albo trochę ciasta czy coś podobnego, chowała to dla młodszego syna.

Wiele też czasu poświęcała na sprawdzanie, czy te przysmaki nie spleśniały, i starała się przechować je jak najdłużej.



A kiedy młodszy syn się nie zjawiał i kiedy - nie chcąc, żeby się zepsuły - była zmuszona zjeść je sama, nie odczuwała żadnej przyjemności. Nie smakowało jej z tego nic, chociaż tak w ogóle jeść bardzo lubiła. Często otwierała szufladę, w której trzymała te zapasy i dotykając ich po kolei, mówiła do siebie: Mój syn się nie pojawia. Nie ma go tutaj. Gdybym miała małego wnuka, mogłabym dać mu te przysmaki. Tak, tak, kiedy mojego młodszego syna tu nie ma, nie mam nikogo i jestem zupełnie sama.

Dzień w dzień przesiadywała godzinami, patrząc na drogę. Pragnęła zobaczyć młodzieńca, kiedy tylko się pojawi, a gdy przypadkiem dojrzała błysk męskiej szaty, co sił w nogach biegła na spotkanie. Kiedy tylko jej młodszy syn zjawiał się w domu, brała jego ciepłą, gładką dłoń w swoją starą i wysuszoną, zaciągała go do swojej izby, nalewała mu herbaty, którą troskliwa synowa zostawiała dla niej, a potem, ucieszona, wyjmowała zapasy, które dla niego zgromadziła. Siadała następnie i czułym okiem obserwowała, jak on przebiera wśród nich, wyszukując to, co najlepsze. Zdarzało się też, że młodzik, kręcąc nosem, mówił do niej:

- To ciastko jest spleśniałe, matko. Albo:

- Nigdy nie lubiłem, gdy ciasto z mąki ryżowej było takie suche.

- Jest za suche, mój synu? - pytała wtedy zasmucona. - A ja myślałam, że i tak będzie ci smakowało.

Kiedy nie chciał jeść ciasta, zjadała je sama, żeby się nie zmarnowało. I smuciła się przy tym, że dla niego okazało się nie dość dobre.

Gdy młodszy syn zjadł już to, co mu zasmakowało, matka pragnęła usłyszeć, co ma do powiedzenia. A on nigdy nie odpowiadał na wszystkie jej pytania. Gdy matka domagała się odpowiedzi, zaczynał się nagle spieszyć i odchodził. Więc stara kobieta, zorientowawszy się, że zawsze jest tak samo, nauczyła się nie pytać o nic. Syn natomiast coraz umiejętniej ją zbywał. Trzeba bowiem powiedzieć, że starzejąc się, matka miała coraz słabszą pamięć. Z większą też łatwością dawała się zbyć. Chcąc to uczynić, syn opowiadał na przykład o jakimś cudownym zdarzeniu,

którego był świadkiem - o magiku, który wpuścił sobie do gardła węża, a potem wyciągnął go za ogon; o kobiecie, co urodziła dwugłowe dziecko, a potem pokazywała je za pieniądze tym, którzy je chcieli oglądać, albo też o czymś niezwykłym, co można znaleźć w każdym mieście.

Dla starej matki opowieści te stanowiły rozrywkę. Kiedy młodszy syn znika! już z domu, powtarzała je starszemu i jego żonie. Pewnego razu w trakcie takiego opowiadania starszy syn - który właśnie, schylony nad kamionkową misą, mył się po pracy w polu - podniósł głowę i z mokrą jeszcze twarzą, odezwał się gniewnie:

- Tak, tak, matko, on nie daje wam jeść i nic dla was nie robi. Rzuca wam tylko czasem monetę niby jakiejś żebraczce. Przychodzi tutaj, je i nigdy nie bierze się do motyki ani do pługa. Opowiada jedynie te bajdy. I znaczy dla was więcej niż...

Starszy syn nie dokończył. Pochył się z powrotem nad misą i chlapiąc się hałaśliwie, nie słuchał wcale, co matka mu na to odpowiada.

A oto wszystko, co stara matka wiedziała o swoim młodszym synu: знаła jego zwinne, urodziwe ciało, znała blade złoto jego skóry - odcień, jakim się cieszy człowiek z miasta, inny niż ciemny czerwony brąz skóry wieśniaków. Wiedziała też, że na dwóch małych palcach jej młodszy syn ma wyhodowane długie paznokcie; wiedziała, że zęby ma białe, a włosy czarne, natłuszczone i błyszczące. Wiedziała, że te włosy zapuszcza za uszami, i widziała, jak ruchem głowy odrzuca je z oczu i twarzy.

Tak, a ponadto znała i kochała jego uśmiech, do którego był taki skory, a także jego oczy o śmiałym spojrzeniu. Kochała jego niefrasobliwość w sprawach finansowych. Uwielbiała, jak sięgał za pas, żeby jej dać to, co miał, a jeśli nic nie miał - zapytać, czy ona ma pieniądze. I bardziej niż brać od niego kochała wmuszać mu swoje grosze. Wszystko, co jej podarował, odkładała, by mu oddać, kiedy będzie potrzebował. Bo był to według niej najlepszy sposób na wykorzystanie tych niewielkich oszczędności.

## XIX

Ale pewnego dnia młodszy syn nie pojawił się, tak jak jej obiecał. A skąd matka wiedziała, że ma się zjawić? Ano stąd, że trzy dni wcześniej zakradł się do domu nocą. Przyszedł ścieżkami przez pola, a nie przez wieś, i poskrobał cicho w drzwi. Matka bała się mu otworzyć, bo pomyślała, że to złodzieje. Nim jednak zdążyła podnieść krzyk, syn odezwał się pospiesznie, bardzo cichym głosem. Szczęście mu sprzyjało, bo w tej samej chwili kury siedzące na grzędzie przy łóżku matki narobiły hałasu, dzięki czemu starszy syn i jego żona nic nie usłyszeli.

Matka wstała pospiesznie, ubierając się po omacku i szukając świecy, a gdy otworzyła cicho drzwi, zorientowała się od razu, że o tej godzinie i w taki sposób jej syn zjawia się tutaj z powodu jakiejś tajemniczej sprawy. Przyproceedził bowiem dwóch innych młodych ludzi. A wszyscy byk ubrani jednakowo, całkiem na czarno, tak jak on chodził ostatnimi czasy. Miek ze sobą jakiś duży pakunek owinięty papierem i obwiązany sznurem, a kiedy matka otworzyła drzwi ze światłem w dłoni, jej syn zdmuchnął świecę. Ponieważ na niebie świecił słabo księżyc, nie było całkiem ciemno. Matka na widok syna wydała cichy okrzyk radości.

- Matko - wyszeptał syn - mam tu coś, co muszę schować pod waszym łóżkiem między zimowymi ubraniami. To coś należy do mnie, ale nikomu nic o tym nie mówcie, bo nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tę rzecz tutaj zostawiłem. Przyjdę później i ją zabiorę.

Matkę na dźwięk tych słów coś tknęło. Jej serce nawiedziło złe przeczucie. Otworzyła szeroko oczy i równie cicho jak syn powiedziała:

- Synu, mam nadzieję, że to nie jest nic ziego. Mam nadzieję, że nie zabrałeś komuś czegoś, co nie należy do ciebie.

- Nie, nie, matko - zapewnił ją syn pospiesznie. - Przysięgam, że to nie pochodzi z kradzieży. To są skóry owcze, które udało mi się tanio kupić. Mój brat będzie mnie o to obwiniał, bo przecież obwinia mnie o wszystko. A ja nie mam ich gdzie przechować. Kupiłem je bardzo tanio. A na przyszłą zimę, matko, dostaniecie jedną z nich na kozuch. Tak, tak, zimą, za rok, wszyscy będziemy dobrze ubrani!

Matka, bardzo zadowolona z takiej odpowiedzi, uwierzyła, że rzeczy nie pochodzą z kradzieży, i ucieszyła się, że może ze swoim ukochanym synkiem dzielić wspólny sekret.

- Możesz mi zaufać, synu - powiedziała pospiesznie. - W tej izbie jest wiele rzeczy, o których twój brat i jego żona nie mają pojęcia!

Dwaj towarzysze młodszego syna wnieśli pakunek i wsunęli go cichcem pod łóżko. Zagdakały wtedy obudzone kury, a bawół ocknął się także i zaczął przeżuwać.

Młodszy syn nie zamierzał zostać w domu. Matka, widząc, że się spieszy, zdziwiła się trochę.

- Przechowam je bezpiecznie, mój synu - zapewniła jednak. - A powiedz mi, czy tych skór nie trzeba wietrzyć i wystawiać na słońce? Bo przecież mogą się w nich zalegnać mole.

- Zostawiam je tylko na parę dni - odrzekł na to syn niefrasobliwym tonem - bo przeprowadzamy się do większego lokalu. Będę tam miał własny pokój i w bród wszystkiego, czego mi potrzeba.

Na dźwięk tych słów matka, swoim zwyczajem, pomyślała o jego ślubie. Odciągnęła syna na bok i popatrzyła na niego błagalnie. Fakt, że nie chce, by go ożeniła, był jedyną rzeczą, która jej się w nim nie podobała. Matka wiedziała bowiem, czym jest gorąca krew, widziała też w nim ten żar, który w młodości nosiła w sobie. Wiedziała, że trzeba ten żar jakoś spożytkować - nie chciała, żeby się zmarnował. Uważała, że najlepiej by było, gdyby syn ożenił się z jakąś cnotliwą dziewczyną i dał jej kilku małych wnuków. I nawet w tej chwili, gdy

syn się tak spieszył, gdy tamci dwaj tkwili przy drzwiach niby cienie, czekając na niego, nawet teraz matka położyła dłoń na jego dłoni i szepnęła błagalnym tonem:

- Ale synu, skoro będziesz miał tyle miejsca dla siebie, to dlaczego nie chcesz, żebym ci znalazła dziewczynę? Znajdę ci najlepszą i najładniejszą, jaka chodzi po ziemi... A może poznałeś już jakąś tam, w mieście? Powiedz tylko, a ja poproszę żonę kuzyna, żeby zaaranżowała małżeństwo. Nie sprzeciwiałabym ci się, synu, gdyby ta, która ci się podoba, spodobałaby się także i mnie.

Młody człowiek rzucił tylko głową, odgarniając dłonią włosy z twarzy, popatrzył w stronę drzwi i spróbował odsunąć dłoń matki. Matka jednak trzymała go mocno.

- Dlaczego twój żar, mój synu - zachęcała dalej - ma się marnować na jakieś dzikie chwasty? Nie dając mi przy tym wnuków? Zona twojego brata jest taka zimna. Nie spodziewam się więc, że na moich kolanach pojawią się jego dzieci. Ty musisz dać mi wnuki. Tak, tak, mój synu, ty jesteś podobny do własnego ojca, a ja go bardzo dobrze znałam. Rzuć swoje ziarno we własną ziemię, synu, i zbierz plon dla własnego domu! Ale młody człowiek roześmiał się tylko cicho, odrzucił znowu włosy i lekko zdziwiony, powiedział:

- Stare kobiety, takie jak wy, matko, nie myślą o niczym innym jak tylko o ślubach i rodzeniu dzieci. A my... my młodzi odrzuciliśmy dzisiaj to wszystko... Do zobaczenia, matko! Za trzy dni!

Wyrwał rękę z dłoni starej kobiety i już go nie było. Odszedł wraz z tamtymi dwoma przez pola tonące w półmroku.

Jednakże trzy dni minęły, a on się nie zjawił. A potem upłynęły jeszcze trzy, i trzy następne. Matka zaczęła się bać. Zastanawiała się, czy synowi nie przytrafiło się coś złego. Ponieważ jednak od roku nie chodziła już do miasta, nie pozostawało jej nic innego jak czekać. Więc czekała, rozdrażniona i przykra dla każdego, kto się do niej zbliżył. Nie miała przy tym odwagi wyjawic, czego się boi, a także

opuścić swojej izby, bo przecież żona syna mogłaby tam wejść i odsunąć zasłonki, zobaczyć pakunek leżący pod łóżkiem.

Wreszcie, pewnej nocy matka, nie mogąc spać, wstała i zapaliła świecę. A potem pochyliła się i zajrzała pod łóżko, przytrzymując jedną ręką zasłonki. Pakunek leżał tam, gdzie zostawił go syn - owinięty w gruby papier, duży, kwadratowy i mocno obwiązany konopnym sznurem. Matka pomacała go ręką i wyczuła, że w środku jest coś twardego i że z pewnością nie jest to owcza skóra.

- Jeżeli to owcza skóra, to trzeba ją wynieść na słońce - powiedziała do siebie, martwiąc się, że skórę mogłyby zjeść mole.

Nie miała jednak odwagi otworzyć pakunku. Zostawiła go więc w spokoju. A jej syn wciąż się nie zjawiał.

Dni płynęły jeden za drugim. Upłynął w końcu miesiąc. Matka odchodziła już prawie od zmysłów i naprawdę całkiem by się w swoim strachu o syna zatraciła, gdyby nie pewien fakt, który skierował jej myśli na całkiem inne tory. Fakt zadziwiający - ostania rzecz, o jakiej matce by się śniło. Oto żona starszego syna poczęła.

Tak, po wszystkich tych długich latach chłodu i bezpłodności, kobieta opamiętała się i spełniła swój obowiązek! I oto pewnego dnia, gdy matka siedziała na progu, podszedł do niej starszy syn i uśmiechając się tak, że na jego szczupłej twarzy pojawiły się zmarszczki, oznajmił:

- Matko, będziesz miała wnuka.

Matka ocknęła się z zamyślenia, w którym ostatnio pograżała się bezustannie, i popatrzyła na niego trochę już zamglonymi oczyma.

- Mówisz jak jakiś głupiec! - odrzekła opryskliwie. - Twoja żona jest zimna jak głaz i bezpłodna, a mój mały synek przebywa nie wiedzieć gdzie, trwoniąc na prawo i lewo swoje doskonale nasienie. I nie chce się ożenić, nie chce go zachować dla dobrego celu.

Starszy syn odkaszlnął na to i powiedział z prostotą:

- Zona twojego syna poczęła, matko.

Matka z początku wprost nie chciała w to uwierzyć. Spojrzała na starszego syna, a potem wstała, wspierając się na kosturze i zawołała:

- Nie, nie, to niemożliwe... Ja nigdy w to nie uwierzę!

Wyraz twarzy starszego syna świadczył jednak, że to prawda. Matka weszła zatem pospiesznie do chaty i zastawszy żonę syna w kuchni przy siekaniu pora, przyjrzała się jej uważnie.

- Masz w końcu coś w środku? - zapytała.

A żona syna, nie przerywając swego zajęcia, kiwnęła tylko głową. Jej blada twarz była pokryta czerwonymi plamami. Widząc je, matka upewniła się ostatecznie, że to prawda.

- Od kiedy o tym wiesz? - pytała dalej.

- Od ponad dwóch miesięcy - odrzekła synowa. Stara matka, słysząc to, rozgniewała się bardzo.

- Dlaczego ani słowem nie wspomniałaś mi o tym? - zawołała, waląc kosturem o ziemię. - Dlaczego ja, która przez tyle lat zamartwiałam się, czekając na taką nowinę, nic o tym nie wiedziałam? Dwa miesiące... Czy jest na świecie druga tak zimna kobieta? Czy jest taka druga, która nie powiedziałaaby o tym już pierwszego dnia?

Młoda kobieta przestała siekać i odrzekła w swój zwykły ostrożny sposób:

- Nie powiedziałam o tym, matko, bo gdybym się pomyliła, zasmuciłabym was. Tak, zasmuciłabym was bardziej, niż gdybym wam nigdy nie dała nadziei.

Matka jednak nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Splunęła więc i zapytała:

- A czy nie sądzisz, że ja, matka trojga dzieci, nie mogłabym ci powiedzieć, czy się myksz? Ale nie, ja w twoich oczach zdziecinniałam już ze starości. I zgłupiałam do cna. Ja wiem, co ty sobie myślisz...

Okazujesz mi to na każdym kroku.

Młoda kobieta milczała. Zacisnęła tylko swoje pełne, blade wargi, a następnie z kamionkowego stojącego na stole imbryka naląła do czarki herbaty i poprowadziła matkę na jej miejsce pod ścianą.

Jednak matka, usłyszawszy taką wieść, nie mogła po prostu usiedzieć spokojnie. Nie, nie, ona musiała pójść do kuzyna i powiedzieć

o wszystkim jego żonie! Kuzyn wraz z żoną byli w domu, bo teraz w polu pracowali ich trzej synowie, pozostali natomiast poszli już z domu, żeby zarabiać gdzie indziej na chleb. Kuzyn jednak wciąż był sprawny. Krzątał się, wykonując drobne roboty. Ale nawet on nie był w stanie pracować tak jak dawniej. A co do jego żony, to ta przesypiała całe dni i budziła się tylko wtedy, kiedy zapłakało któreś z wnucząt.

Matka przeszła na drugą stronę wioskowej uliczki i bez ceregieli obudziła żonę kuzyna.

- Przysięgam - zawołała - że ty nie będziesz już jedyną babką w naszym sąsiedztwie! Ja też za parę miesięcy będę miała wnuka!

Zona kuzyna oprzytomniała powoli, uśmiechnęła się, obkazała zaschnięte podczas snu wargi i otworzyła swoje małe, łagodnie patrzące oczy.

- Naprawdę, kuzynko? - powiedziała. - Mam zatem rozumieć, że twój mały synek się żeni?

Matka straciła trochę zapał.

- Nie, to nie to - odrzekła.

A wtedy odezwał się oszczędny w słowach kuzyn - ten mały, zaszuszonego człowieka, który siedział właśnie na niskim bambusowym stołku i skręcał słomiane powrósła po to, by jedwabniki miały na czym budować swoje kokony.

- A więc, kuzynko, chodzi o żonę twojego starszego syna?

- Tak - potwierdziła matka szczerze i z satysfakcją.

Usiadła, by wszystko z siebie wyrzucić. Nie mogła jednak zbyt otwarcie okazywać radości, postarała się więc ją ukryć, narzekając trochę.

- No i najwyższy na to czas - powiedziała. - Czekałam osiem lat. Gdybym była bogata, przyprowadziłabym mu nową kobietę. Sądziłam jednak, że zanim jego brat dostanie dwie żony, mój młodszy syn powinien dostać swoją szansę. Zresztą w dzisiejszych czasach małżeństwo to rzecz kosztowna. Kosztuje nawet druga żona, jeżeli się chce, żeby była porządna i nie pochodziła ze złej rodziny. Zona mojego



starszego syna to kobieta bardzo powolna. I temperament ma inny od mojego. Jest zimna niby jakiś wąż.

- Ale, gosposiu, ona nie jest zła - odezwał się kuzyn, który był człowiekiem sprawiedliwym. - Radzi sobie ze wszystkim bardzo dobrze i jest taka staranna. Macie teraz kaczkę i kaczory, które pływają w stawie, a przedtem nie mieliście ich przecież. Znalazła też samca dla starej bawolicy i pojawiło się u was cielę. A kur trzymacie dwa razy więcej niż kiedyś, chyba z dziesięć albo dwanaście, poza tymi, które co rok sprzedajecie.

- Nie, moja synowa nie jest zła - przyznała niechętnie matka

- ale wolałabym, żeby ruja w jej domu nie pojawiała się tylko u ptactwa i zwierząt.

- Tak, ona jest inna niż ty, kuzynko - odrzekła wciąż zaspana żona kuzyna, ziewając. - Z całą pewnością jest inna... Ty byłaś zawsze kobietą gorącą. I bardzo pracowitą. Zresztą wciąż jesteś pełna wigoru. Na przykład chodzisz tak... No, gdyby nie ta twoja biegunka... Zawsze cię podziwiam, że chodzisz tak prędko. Bo ja sama potrafię tylko dreptać między ławą a stołem albo między stołem a łóżkiem. Tak, tak

- dodała - i jeść nie mogę więcej niż połowę tego, co kiedyś. A ty, słyszysz to dobrze, siedzisz przy stole i tylko pokrzykujesz, żeby ponownie napełnili ci miskę.

- To prawda - potwierdziła skromnie matka, którą ucieszyły te pochwały - jem dobrze. Tak samo dobrze jak kiedyś. Trzy miski strawy, a często i cztery. Mogę jeść wszystko, z wyjątkiem rzeczy twardych, bo wypadły mi przednie zęby. I kiedy nie mam biegunki, jestem całkiem zdrowa.

- Tak, zdrowa z ciebie starucha - powiedziała cicho żona kuzyna, a potem zdrzemnęła się trochę.

Gdy się ocknęła, widząc matkę, powiedziała z uśmiechem:

- Wnuk, powiadasz? Tak, tak, wnuk. My mamy ich już siedmioro. No, ale wnuków nigdy nie jest za wiele...

Po czym zasnęła ponownie i spała dalej snem spokojnym i głębokim.

Tak więc wspaniała nowina zajęła myśli matki, której dni były dotychczas takie puste. Młodszy syn wciąż się nie zjawiał, ale radość z powodu wnuka złagodziła niepokój matki o syna. Kobieta wmówiła sobie, że młodzik wcześniej czy później wróci. I więcej o tym nie myślała.

Z drugiej jednak strony jej radość nie była tak do końca czysta i niezmacona. Matka żywiła bowiem przekonanie, że jak w każdej jej radości, jest tutaj domieszka jakiegoś zła, które może spowodować, że sprawy nie potoczą się całkiem dobrze. No bo prawdą było, że żona syna oczekiwała dziecka. Ale mogła przecież urodzić dziewczynkę.

- Tak - mruzczała do siebie matka. - Byłby to pech, który prześladowuje mnie przez całe życie.

Dreńczona niepokojem, bardzo pragnęła udać się do tej małej bogini, do której chodziła w dawnych czasach i która była taka potężna. Miała ochotę przekupić boginię, ofiarowując jej czerwoną szatę, parę nowych pantofli albo coś jeszcze innego i prosić, by sprawiła, żeby dziecko okazało się chłopcem. Uczynić tego nie miała jednak odwagi. Bała się bowiem, że bogini przypomni sobie jej dawny, nieodkupiony jeszcze grzech. Bo w rzeczywistości, choć cierpiała tak wiele, nie odkupiła tego grzechu. Tak, tak, bogini - widząc ją znowu i słysząc, że mówi o wnukach - mogłaby sobie przypomnieć, wyciągnąć rękę i zabić maleństwo w łonie młodej żony. Lepiej tam nie iść, pomyślała matka zgnębiona. Lepiej wcale jej się nie pokazywać. Tak, tak, zostanę w domu i nie powiadomię bogini, że dziecko jest w drodze. Może do tej pory, po tak długim czasie, ona zapomniała już o mnie i te narodziny okażą się dla niej po prostu narodzinami kolejnego śmiertelnika, a nie mojego wnuka. A poza tym muszę zaufać losowi i liczyć, że to będzie chłopiec.

Te myśli sprawiły, że się zasepiła i ogarnął ją niepokój. Doszła też do wniosku, że dziecko, będąc wielką radością, stanowi równocześnie nowe wrota, przez które może wkroczyć smutek i cierpienie. Bo przecież istnieje możliwość, że urodzi się martwe albo ułomne, przygłupie

albo ślepe. Może się także okazać dziewczynką. Myśląc o tym wszystkim, matka znienawidziła boginie i bogów obdarzonych mocą pozwalającą obciążyć skazą każdą istotę śmiertelną.

Czyż ja, zapytywałam siebie, nie zostałam już srogo ukarana? I to za każdy swój najdrobniejszy grzech? Któż mógł przewidzieć, że bogowie dowiedzą się, co uczyniłam tamtego dnia? Domyślałam się, że ten stary bóg w kapliczce wyczuł grzech obok siebie i w jakiś sposób powiadomił o nim boginię, choć ja zakryłam mu przecież oczy. No cóż, jako osoba grzeszna muszę się trzymać z dala od bogów. Jestem tak grzeszna, że nawet gdybym chciała, to nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, żeby odkupić to, co wtedy uczyniłam. Przysięgam, że gdyby położyć na wadze radości i smutki, których doświadczyłam w życiu, szala ze smutkami opadłaby w dół. Tak, tak, opadłaby jak obciążona kamieniem. A moje nędzne radości ważyłyby tyle co puch ostu. Nie urodziłam przecież tamtego dziecka, a moja ślepa córka umarła. Czyż zgryzota nie jest odkupieniem grzechów? Ja przez całe życie miałam mnóstwo zgryzot i na dodatek byłam zawsze biedna. Ale cóż, bogowie nie znają sprawiedliwości.

Tak rozmyślała, smutna i przygnębiona. Miała teraz dwie zgryzoty. Po pierwsze, obawiała się, że wnuk nie urodzi się zdrowy albo że urodzi się dziewczynką. A po drugie, czekała na młodszego syna, który wciąż się nie zjawiał. Czasami przychodziło jej do głowy, że całe jej życie polega na czekaniu. No bo kiedyś czekała na powrót męża, który nigdy nie wrócił, a teraz czeka na syna i wnuków. Takie jest moje nędzne życie, myślała.

Ale równocześnie przekonywała siebie, że musi mieć nadzieję. Każdemu, kto szedł do miasta i wracał stamtąd do wioski, zadawała pytanie:

- Widziałeś gdzieś mojego synka?

Chodziła po domach we wsi, dopytując się bezustannie:

- Kto chodził dzisiaj do miasta?

A gdy ktoś taki się zgłosił, pytała znowu:

- Widzieliście dziś mojego synka, gospodarzu?

Ludzie w wiosce przyzwyczaili się już do tego. Widząc ją, wspartą na kosturze, który syn zrobił jej z gałęzi własnego drzewa, i słysząc jej zadawane drżącym głosem pytanie: „Sąsiedzie, widzieliście dzisiaj mojego synka?”, odpowiadali dobrotliwie: „Nie, nie, matko. Zresztą jak moglibyśmy go widzieć na targu, skoro on, jak mówicie, to wielki człowiek, który żyje z książek?”.

Matka odwracała się wtedy, ponownie pozbawiona nadziei.

- Tak naprawdę to nie wiem - mówiła cicho. - Ale tak sobie myślę, że on ma do czynienia z książkami.

Na co oni, chcąc ją rozweselić, odpowiadali ze śmiechem:

- Jeżeli kiedyś będziemy przechodzili obok miejsca, gdzie sprzedają książki, zajrzemy tam, żeby sprawdzić, czy wasz syn stoi za kontuarem. Matka wracała więc do domu, by czekać dalej. I zastanawiać się, czy mole nie zjadły owczych skór ukrytych pod łóżkiem.

Aż wreszcie pewnego dnia, po wielu miesiącach oczekiwania, nadeszły wieści. Po porannym posiłku matka, jak zwykle ostatnimi czasy, siedziała przy drzwiach z długą fajką w dłoni. Słońce zdążyło wzejść ponad łagodnie zaokrąglonymi wzgórzami, czekała więc z nadzieją, że się zaraz ogrzeje, bo jesienne poranki bywały już chłodne. Nagle przed jej chatą pojawił się najstarszy syn kuzyna. Podeszedł do jej własnego starszego syna, który stał pochylony, zawiązując zerwany rzemyk sandała, i powiedział coś przyciszonym głosem.

Matka przypomniała sobie wtedy, że widziała chłopaka tego dnia o świcie - bo gdy tylko była zdrowa, z przyzwyczajenia wstawała tak wcześnie - otóż widziała go, jak wyrusza do miasta ze świeżo ściętą trawą. A teraz wrócił - i to bardzo wcześnie. Już miała zapytać, czy tak szybko udało mu się sprzedać trawę, gdy usłyszała pełen przerażenia okrzyk starszego syna.

- Mój brat?! - zawołał młody mężczyzna.

Matka na starość wcale nie ogłuchła, usłyszała więc te słowa wyraźnie.

- Co z moim małym synkiem?! - zapytała głośno.

Ale dwaj mężczyźni nie przerwali rozmowy. Patrzyli przy tym na siebie z niepokojem i wielką powagą. Matka, nie mogąc tego dłużej znieść, wstała, pokuśtykała w ich stronę i wałąc kosturem w ubitą ziemię, rozkazała:

- Mów, o co chodzi, mój synu!

Słyszając to, syn kuzyna wycofał się bez słowa, a jej własny starszy syn zwrócił się do niej:

- Matko, coś jest nie tak - powiedział przerywanym głosem. - Nie wiem, o co chodzi... ale muszę iść do miasta... Gdy się przekonam... wtedy powiem wam wszystko...

Matka postanowiła nie dać się zbyć. Nie chciała też pozwolić starszemu synowi tak po prostu odejść.

- Nie pójdziesz! - zawołała, chwytając go mocno za rękę. - Nie pójdziesz, dopóki mi nic powiesz, o co chodzi!

Jej głośny krzyk wywabił z domu synową.

- Powiedz jej - zwróciła się młoda kobieta do męża - bo inaczej twoja matka rozchoruje się ze złości.

- Mój kuzyn twierdzi... - zaczął zatem starszy syn z namysłem i ociąganiem - twierdzi, że widział dziś rano mojego brata wśród wielu innych ludzi. Mój brat ręce miał skrepowane z tyłu konopnym sznurem.

Ubrany był w łachmany i przechodził obok targu, gdzie kuzyn sprzedawał trawę. Maszerował nie sam, tylko wśród dwudziestu albo może trzydziestu podobnych sobie mężczyzn. Widząc kuzyna, odwrócił oczy... Ale kuzyn zwrócił się do strażników, którzy pilnowali tej grupy. A ci mu powiedzieli, że wszystko to są osadzeni w więzieniu komuniści, którzy zostaną jutro zgładzeni.

Gdy padły te słowa, cała trójka popatrzyła po sobie. Matce zaczęła drżeć szczęka.

- Słyszałam to określenie - rzekła, spoglądając to na syna, to na jego żonę  
- ale nie wiem, co ono oznacza.

- Ja też zapytałem o to kuzyna - odrzekł powoli starszy syn. - A on pytał strażnika, który roześmiał się i powiedział, że komunista to taka nowomodna odmiana rabusia.

Matce, gdy to usłyszała, przypomniał się natychmiast pakunek schowany pod łóżkiem. Wszczęła więc głośny lament, nakrywając sobie głowę kaftanem.

- Powinna była się domyślić od razu tamtej nocy... - powiedziała, szlochając. - Tak, tak, ten pakunek pod moim łóżkiem... To są rzeczy pochodzące z kradzieży!

Słyszając to, starszy syn i synowa rozejrzeli się ukradkiem, po czym wciągnęli ją szybko do chaty.

- Co chcecie przez to powiedzieć, matko? - pytali.

A potem żona syna, spoglądając na męża, uniosła zasłonkę.

- Nie wiem, co tam jest - rozszlochała się matka, wskazując paczkę. - Wiem tylko, że on przyniósł to tutaj pewnej nocy. I kazał mi przez parę dni nikomu nic o tym nie mówić. Ale potem... od tamtej pory... nie pokazał się już w domu...

Mężczyzna, słysząc słowa matki, podszedł szybko do drzwi, zamknął je i zarygłował, kobieta natomiast zasłoniła okno, wieszając w nim jakąś część garderoby. Następnie wspólnymi siłami wyciągnęli pakunek spod łóżka i rozwiązali sznury.

- Owcze skóry... On mówił, że to owcze skóry - powiedziała cicho matka. Ale młodzi milczeli. Nie wierzyli w ani jedno jej słowo. Pakunek mógł zawierać cokolwiek. Gdy poczuli, jaki jest ciężki i twardy, przyszło im do głowy, że to złoto.

Jednak gdy go rozpakowali, okazało się, że to tylko książki. Było tam mnóstwo książek - niewielkiego formatu i napisanych czarnym drukiem - a także liczne arkusze papieru z dziwnymi obrazami. Obrazy te przedstawiały krwawe sceny śmierci. Widniek na nich olbrzymi

bijący małych ludzi albo zadający im ciosy nożami. Widząc te książki i papiery, matka, starszy syn i jego żona popatrzyli po sobie zdumieni. Nie mieli pojęcia, co to oznacza i po co ktoś miałby kraść i ukrywać zwykły zadrukowany papier.

Wpatrywali się w zawartość paki, jednak znaczenie tego wszystkiego pozostawało dla nich niezrozumiałe. Żadne z nich nie potrafiło czytać, nie mieli też pojęcia, co mogą oznaczać obrazy. Wiedzieli tylko, że przedstawiają zadźganych i konających ludzi albo też ludzi poćwiartowanych na kawałki. Czyli rzeczy, które zdarzają się tylko tam, gdzie pojawili się złoczyńcy i rabusie.

Byli tym wszyscy troje naprawdę przerażeni. Matka zaczęła się bać o młodszego syna, a starszy syn i jego żona o siebie. Strach budziła w nich już sama myśl, że ktoś mógłby się dowiedzieć, że takie rzeczy znajdują się w ich domu.

- Zapakujcie to wszystko z powrotem - odezwał się wreszcie mężczyzna.  
- I niech leży do wieczora. A nocą weźmiemy te książki i papiery do kuchni i spalimy.

Jednak jego żona okazała się ostrożniejsza.

- Nie - powiedziała - nie możemy spalić ich wszystkich naraz. Bo wtedy ludzie, widząc wielki dym, zaczną się dziwić, co robimy. Trzeba to wszystko spalić stopniowo. Tak, zrobię to po trochu, dzień po dniu, tak jakbym paliła siano, gotując strawę.

Stara matka myślała jednak o czym innym. Wiedziała teraz tylko jedno - wiedziała, że jej młodszy syn znalazł się w rękach swoich wrogów.

- Synu - zwróciła się do starszego - co zrobisz dla swego małego braciszka? Jak go odnajdziesz?

- Matko, ja wiem, gdzie on jest - odrzekł powoli i niechętnie mężczyzna. - Kuzyn mówił, że zabrak go do pewnego więzienia położonego w pobliżu południowej bramy, tam, gdzie znajduje się miejsce kaźni.

Matka na te słowa zbladła tak, że jej twarz przybrała barwę gliny.

Starszy syn, widząc to, zawołał na żonę, po czym oboje podnieśli dyszącą ciężko starą kobietę i położyli ją na łóżku.

- Och, synu - wyszeptała matka, sparaliżowana strachem o młodszego syna - czy... czy ty byś tam nie poszedł... Twój brat...

- Tak, matko - odrzekł starszy syn powoli, zapominając o strachu o siebie i zdjęty litością dla niej - tak, pójdę tam... pójdę...

Następnie zmienił ubranie i zaczął wkładać buty, a tymczasem matce czas dłużył się nieznośnie. Wreszcie, kiedy starszy syn był już gotowy do drogi, przywołała go do siebie, przyciągnęła jego głowę do swoich ust i szepnęła mu do ucha:

- Synu, nie żałuj pieniędzy. Jeżeli twój brat naprawdę jest w więzieniu, to chcąc go stamtąd wydostać, trzeba sporo wydać. Ale pieniądze, mój synu, potrafią tego dokonać. Bo czy kto kiedy słyszał o więzieniu, z którego za pieniądze nie da się uwolnić człowieka? Synu, ja mam ich trochę... Tam, w schowku w podłodze... Trzymałam je tylko dla niego... Weź je... Weź wszystko, co mamy...

Twarz mężczyzny była nieporuszona. Popatrzył na żonę, a ona odwzajemniła spojrzenie.

- Wydam wszystko, matko, co będę mógł - powiedział. - Wydam te pieniądze, matko, ze względu na was.

- Ze względu na mnie?! A jakież to dla mnie może mieć znaczenie?! - zawołała matka. - Ja jestem stara i niedługo umrę. Zrób to dla brata!

Ale mężczyzny już nie było. Poszedł po syna kuzyna, tego, który widział jego brata, po czym obaj ruszyli do miasta.

A co pozostawało teraz matce? Tylko czekać. Czekwała więc i było to w jej całym życiu najbardziej gorzkie oczekiwanie. Czuła taki niepokój, że nie mogła leżeć. A kiedy wstawała, okazywała się bardzo słaba. W końcu jej okropny wygląd przeraził żonę starszego syna. Młodą kobietę przeraziło także to, że stara, wpatrując się w przestrzeń, mamrocze coś i uderza dłońmi o swe wychudzone uda. Poszła więc po kuzyna i jego żonę, a gdy ci się zjawili, usiedli wraz z matką i cała trójka staruszków czekała teraz razem.



Towarzystwo tych dwojga okazało się dla matki pewną pociechą, bo byli to ludzie, z którymi mogła rozmawiać.

- Zgrzeszyłam, to prawda, ale czy nie dość miałam zgryzot? - powtarzała z płaczem. - Jeżeli zgrzeszyłam - dodawała zaraz - to dlaczego nie umrę? Dlaczego nie umrę ja sama, a nie kto inny? Dlaczego nie umrę i koniec? Dlaczego zamiast tego zabiera mi się najpierw jedno dziecko, a potem drugie? I bez wątpienia zabierze mi się także wnuka? Tak, tak, jestem pewna, że nie zobaczę mojego wnuka! Bo to nie ja jestem tą, która ma umrzeć.

Na myśl o takim smutku ogarnął ją gniew.

- Ale gdzież na świecie jest kobieta idealna? - zawołała z płaczem. - Kto z ludzi jest bez grzechu? Więc dlaczego to ja tak cierpię?

Na to włączyła się żona kuzyna, bojąc się, że matka w swoim cierpieniu wykrzyczy zbyt wiele.

- Z całą pewnością wszyscy jesteśmy grzesznikami! - odrzekła pospiesznie. - Gdyby oceniano nas po naszych grzechach, to nikt nie miałby dzieci. Bo spójrz tylko na moich synów i wnuki. A przecież ze mnie też straszna grzesznica. Nigdy bowiem nie chodziłam do świątyni. Rzadko nawet znajdowałam się w jej pobliżu. A gdy przyszła do mnie mniszka, mówiąc, że powinnam się dowiedzieć, którędy wiedzie droga do nieba, byłam zbyt zajęta dziećmi. Tak bywało w młodości. A znowu teraz, gdy mi mówią, że powinnam zająć się tym, zanim będzie za późno, odpowiadam, że jestem już za stara na nauki i muszę się obejść bez nieba - chyba że przyjmą mnie tam taką, jaka jestem.

Tak pocieszała zrozpaczoną matkę, a gdy umilkła, odezwał się kuzyn.

- Zaczekaj, kuzynko, aż usłyszemy, jakie naprawdę są wieści - powiedział. - Bo być może wcale nie masz powodu do rozpacz. Być może dzięki pieniądzom da się uwolnić twojego młodszego syna. Albo też się okaże, że mój syn się pomylił, a twój wcale nie znajdował się wśród więźniów.

Żona kuzyna postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Posłała synową kuzynki do swojej chaty, polecając jej coś sprawdzić. Nie chciała bowiem, żeby młoda kobieta, znajdując się w pobliżu, usłyszała zbyt wiele. Matka mogła przecież powiedzieć więcej, niż zamierzała, a to, po tak wielu latach milczenia, byłoby z wielką szkodą dla niej.

Kiedy młoda kobieta już poszła, czekali na powrót obu młodych mężczyzn tylko we trójkę. Dla matki było to łatwiejsze niż oczekiwanie w samotności.

Młodzi mężczyźni nie pojawili się jednak przed nocą. Matka jeszcze po południu zwlokła się z łóżka i usiadła pod wierzbą. Kuzyn i jego żona poszli w jej ślady. I tak siedzieli razem, obserwując drogę. Patrzyli na nią bez przerwy i uważnie, tylko żona kuzyna od czasu do czasu zapadała w drzemkę, od której nie była jej w stanie powstrzymać nawet zgrzyzota. W końcu, gdy słońce już prawie zaszło, matka zobaczyła, że nadchodzą. Wstała więc zaraz, wsparła się na kosturze i osłoniła dłonią oczy przed złocistym wieczornym blaskiem.

- To oni! - zawołała i pokuśtykała w ich stronę.

Krzyczała tak głośno i szła tak szybko, że wszyscy w wiosce wylegli przed domy. Wieśniacy wiedzieli bowiem o całej sprawie, choć nie mieli odwagi przyjść do matki z obawy przed posądzeniem, że mają coś wspólnego z jej młodszym synem. Dlatego przez cały dzień chodzili koło swoich spraw, trawieni ciekawością, a równocześnie ciężko przestraszeni - jak to wieśniacy w sytuacji, gdy jest mowa o więzieniu i władzach.

Teraz powychodzili z domów i w pewnej odległości od chaty matki kręcili się po wsi. Czekali, co się okaże. Kuzyn także wstał ze swego miejsca i poszedł za matką. Jego żona uczyniłaby tak samo, gdyby nie fakt, że ostatnio chodziła tylko wtedy, kiedy musiała. Pomyślała zresztą, że nic się nie stanie, jeżeli trochę później usłyszy nowiny. A poza tym spodziewała się, że te nowiny okażą się dobre. Dlatego, oszczędzając siły, siedziała na ławie i spokojnie czekała.

Matka tymczasem podbiegła do starszego syna i chwyciła go za ramię.

- Co z moim małym synkiem? - zawołała.

Badała przy tym wzrokiem twarze obu mężczyzn. I natychmiast się zorientowała, że wypisane są na nich złe nowiny. Dwaj młodzi mężczyźni popatrzyli na siebie, a potem odezwał się starszy syn.

- Mój brat jest w więzieniu, matko - powiedział z powagą.

Po czym spojrział jeszcze raz na syna kuzyna, który zaraz odwrócił wzrok, drapiąc się w głowę. Widać było, że nie ma pojęcia, co powiedzieć.

Dlatego to starszy syn odezwał się znowu.

- Matko - powiedział - wątpię, czy mojego brata można uratować. Bo jest, wraz z dwudziestoma innymi, skazany na śmierć. Mają ich zgładzić rano.

- Na śmierć?! - zawołała matka. - Śmierć! - powtórzyła wielkim głosem. I upadłaby, gdyby jej nie podtrzymali.

Zaprowadzili ją też zaraz do najbliższej chaty, a tam ostrożnie pomogli jej usiąść. Matka zaczęła płakać. Szlochała jak dziecko. Jej starcze usta drżały, a łzy płynęły po policzkach. Zaciśniętymi pięściami biła się w wysuszone piersi, oskarżając starszego syna.

- To oznacza - wołała - że ty, mój synu, nie zaproponowałeś im wystarczającej ilości pieniędzy! Mówiłam ci przecież, że mam ich trochę... Zresztą nie tak mało... Czterdzieści sztuk srebra i dwie drobne sztuki, które twój brat mi dał ostatnim razem... Ci ludzie na nie czekają! Syn milczał. Stał ze spuszczoną głową, jego górną wargę oraz skronie zrosiły kropelki potu. Matka, widząc to, splunęła na niego ze złości.

- Ty także - zawołała - nie dostaniesz z tego ani grosza! Jeżeli twój brat umrze, te pieniądze nie dostaną się w twoje łapy! Prędzej wrzucę je do rzeki!

- Nie, ciotko - zaczął bronić krewniaka syn kuzyna, marszcząc przy tym twarz w tej chwili rozpaczy - nie obwiniajcie swojego

starszego syna. On tym ludziom zaproponował dwa razy więcej niż wszystko to, co wy mu daliście. Zaproponował za brata sto sztuk srebra. I to zarówno ludziom niżej, jak i wyżej postawionym. Proponował łapówki tak wysoko, jak tylko dało się dotrzeć. Wielu z nich pokazywał srebro, ale oni nie pozwolili mu nawet na widzenie z bratem.

- W takim razie proponował za mało! - krzyknęła matka. - Kto słyszał o strażnikach więziennych, którzy nie biorą łapówek? Ale poczekajcie tylko, ja zaraz przyniosę te pieniądze! Wykopię je i sama zaniosę, gdzie trzeba. Tak, zrobię to ja, stara! I przyprowadzę mojego synka do domu! A on nigdy więcej mnie nie opuści, bez względu na to, co powiedzą ludzie! Dwaj młodzi mężczyźni popatrzyli po sobie ponownie. Starszy syn błagał wzrokiem kuzyna, by przemówił za nim raz jeszcze.

- Ależ ciotko - zawołał zatem kuzyn - oni nie pozwolą wam nawet się z nim zobaczyć! Nikogo z nas tam nie wpuszczą. Tu nie pomoże nawet srebro, bo gubernator na takich przestępców okrutnie się sroży. To jest taki nowy rodzaj przestępstwa, potworna zbrodnia.

- Mój syn nigdy nie popełnił przestępstwa! - zawołała z dumą matka, podnosząc kostur i grożąc nim młodemu kuzynowi. - Ja wiem: gdzieś tutaj jest wróg, który płaci więcej niż my za to, żeby go trzymali w więzieniu!

To powiedziawszy, powiodła wzrokiem po stojących naokoło ludziach, którzy słuchak tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczyma i ustami.

- Czy ktoś z was widział, żeby mój synek popełnił jakieś przestępstwo? Ludzie popatrzyli po sobie i nikt nie odezwał się ani słowem, a matka, widząc ich powątpiewające miny, poczuła, że serce jej pęka.

- O tak! - zawołała, wybuchając płaczem. - Wy go nienawidziliście za jego urodę... Był przecież znacznie przystojniejszy od tych waszych czarniawych synów, którzy są tylko prostymi chłopami... Tak, wy nienawidzicie każdego, kto jest od was lepszy...

Po czym wstała i potykając się, poszła do domu. A płakała przy tym gorzko.

Kiedy wraz z kuzynem, jego żoną i dwoma młodymi mężczyznami już się tam znalazła, otarła łzy i wciąż jeszcze roztrzęsiona, ale spokojniejsza, zwróciła się do starszego syna:

- Posłuchaj, synu, nie wolno nam zmarnować tej resztki czasu, którą jeszcze mamy. Opowiedz mi wszystko dokładnie, a może jeszcze uratujemy twojego brata. Mamy całą noc. No więc. jakie przestępstwo popełnił naprawdę? Weźmiemy wszystkie pieniądze, oddamy wszystko, co mamy. I uratujemy go jeszcze.

Syn spojrział na żonę, a młoda kobieta odwzajemniła to spojrzenie. Oboje tracili już cierpliwość.

- Nie wiem, matko, co to za przestępstwo - zaczął syn. - Wiem tylko, że jak ci już mówiłem, nazywają mojego brata komunistą. To jest takie nowe słowo. Powtarzano je często, a kiedy pytałem, co oznacza, dowiadywałem się od ludzi, że komuniści tworzą takie bandy. Bandy rozbójników. Gdy pytałem o brata strażnika w więzieniu, takiego, który stoi tam z bronią, odpowiedział mi na to: „Kim on jest? Ano powiem ci: to taki człowiek, który nawet tobie odebrałby ziemię. Zagarnąłby ją dla siebie. A poza tym knuje przeciwko państwu. I dlatego musi umrzeć, podobnie jak jego kompani". Oto na czym polega jego przestępstwo. Matka słuchała starszego syna w skupieniu, a w świetle świecy na jej policzkach błyszczały zaschnięte łzy.

- Moim zdaniem - powiedziała, starając się opanować drżenie głosu i mówić stanowczym tonem - moim zdaniem, on nigdy nie mówił niczego takiego. Ja w każdym razie nie słyszałam tego od niego. Nigdy też nie słyszałam o takiej zbrodni. Zabić człowieka, obrabować czyjś dom, pozwolić matce czy ojcu głodować - to są zbrodnie. Ale jak można ukraść ziemię? Czy ziemię można zrolować tak jak materiał, zabrać ze sobą i gdzieś schować?

- Nie wiem, matko - odrzekł syn i ze zwieszoną głową usiadł na niskim stołku.

Wciąż miał na sobie swoją jedyną szatę, jednak - nieprzyzwyczajony do jej noszenia - założył połę za pas. Teraz poprawił ją i po namyśle powiedział:

- Nie mam pojęcia, co jeszcze ludzie mówią na ten temat. To wszystko, co słyszałem. Gadano o tym, bo jutro jest egzekucja i zgładzą podczas niej bardzo wielu. No i dlatego w mieście jest święto. A ty kuzynie, czy słyszałeś coś jeszcze?

Syn kuzyna podrapał się w brodę, przełknął ślinę i powiódł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych w izbie.

- Ludzie w mieście mówili dużo - odrzekł. - Ale ja nie miałem odwagi zadawać im pytań, bo kiedy próbowałem się dowiedzieć, o co ta cała wrzawa, strażnik więzienny naskoczył na mnie. „Ty też jesteś jednym z nich? - zawołał. - Co cię to obchodzi, że zostaną straceni?”. Tak, tak zapytał. A ja bałem się powiedzieć, że jestem krewniakiem jednego z tych ludzi. Odszukaliśmy wtedy komendanta straży, daliśmy mu trochę pieniędzy i poprosiliśmy o rozmowę na osobności. A on zaprowadził nas za swój dom, w taki ukryty zakamarek. Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy uczciwymi wieśniakami, że mamy trochę własnej ubogiej ziemi, że dzierzawimy też większy kawałek i że jeden ze skazanych jest naszym dalekim krewnym. Powiedzieliśmy też, że chcemy go ratować jedynie ze względu na honor rodziny, bo nikt z jej członków nie zginął dotąd z ręki kata. I dodaliśmy, że będziemy go ratować jedynie pod warunkiem, że to się nie okaże zbyt kosztowne, bo jesteśmy biedni. Wtedy ten komendant wziął srebro i zapytał, jak chłopak wygląda. Opisa-kśmy go, a on na to: „Chyba go znam. To ten, co bardzo źle znosi więzienie. Wyśpiewałby nam pewnie wszystko, co wie, gdyby nie pewna bezczelna dziewczyna, która go podjudza. Tak, tak, niektórzy z nich są twardzi. I tak odważni, że nie obchodzi ich, jak i kiedy umrą. Ale ten chłopak się boi. Wątpię, czy wie, co zrobił i dlaczego umrze, bo wygląda na prostego wieśniaka. Oni posługują się takimi prostakami, obiecując im Bóg wie co. Moim zdaniem jego przestęp

stwo polega na tym, że przyłapano go z książkami. Rozdawał te książki ludziom, a pisało się w nich o tym, że trzeba obalić państwo i podzielić się pieniędzmi oraz ziemią".

Matka, słysząc to, spojrzała na starszego syna i znowu wybuchnęła płaczem.

- Wiedziałam, że trzeba mu dać trochę ziemi! - zawołała. - Mog-kśmy przecież wziąć więcej w dzierżawę i podzielić się z moim małym synkiem... Ale nie, mój starszy syn i jego żona zagarnęli wszystko dla siebie! A jemu wszystkiego żalowali...

Starszy syn już miał coś odpowiedzieć, przerwał mu jednak stary kuzyn.

- Nie mów nic, synku - powiedział spokojnie. - Niech matka sobie ulży. Niech sobie gada, niech cię obwinia. A my wszyscy i tak wiemy, jakim jesteś człowiekiem. Wiemy też, jaki był twój brat, jak nienawidził ciężkiej pracy na roli, a także wszelkiego innego trudu.

Starszy syn matki usłuchał stryja i zachował spokój. Milczał, a tymczasem syn kuzyna opowiadał dalej:

- Zapytaliśmy komendanta straży, za ile srebra da się uwolnić naszego krewnego. Ale on tylko pokręcił na to głową i powiedział, że gdyby więzień był synem jakiegoś potężnego bogacza, srebro z pewnością by poskutkowało. A dla biednego wieśniaka nikt nie będzie ryzykował. I dlatego nasz krewniak musi umrzeć.

- A zatem - zawołała matka - on umrze dlatego, że jest synem biednej kobiety?! Ale przecież my mamy własną ziemię! Już wiem, sprzedamy ją, żeby go uwolnić. Tak, sprzedamy ją jeszcze dziś wieczorem. W naszej wsi są ludzie, którzy...

- A z czego, matko, z czego będziemy potem żyli?! - sprzeciwił się głośno starszy syn. - Przecież z tego, co mamy, i tak jest trudno wyżyć!

Gdybyśmy po tych nowych drakońskich stawkach zechcieli ziemię wydzierżawić, zostalibyśmy żebrakami! Ta mała działka to wszystko, co mamy. I ja jej nie sprzedam, matko! Nie, nie, ta ziemia jest moja! Nie sprzedam jej za nic!

Starszemu synowi zawtórowała jego żona, która dotychczas siedziała, słuchając w milczeniu, z bladą, poważną i niewzruszoną twarzą.

- Matko, jest przecież syn, którego noszę w sobie! Trzeba myśleć o nim!

- Tak, tak - dodał z trudem mężczyzna - ja to właśnie robię!

Stara matka umilkła, słysząc te słowa. Umilkła i rozpłakała się znowu. A potem tej nocy na wszelkie jej dalsze nalegania padała zawsze ta sama, ta właśnie odpowiedź.

Spierali się całą noc, a przed świtem matka zebrała się na odwagę.

- Pójdę tam sama - oznajmiła. - Pójdę jeszcze raz do miasta

1 skoro mój synek ma umrzeć, zobaczę go chociaż po raz ostatni.

Słyszając to, wszyscy zaczęli błagać, żeby tego nie robiła.

- Matko - zwrócił się do niej starszy syn z powagą. - Ja pójdę do miasta i go przywiozę... Potem, już po wszystkim. Bo wy, widząc jak umiera, sami stracie życie.

- No to co z tego? - odrzekła na to matka.

Umyła twarz, uczesała swoje rzadkie siwe włosy, włożyła czysty kaftan, jak to czyniła zawsze, kiedy wybierała się do miasta, i poleciała:

- Idźcie teraz i przyprowadźcie mi osła kuzyna. Pożyczysz mi go, kuzynie, prawda?

- O tak - zgodził się kuzyn, całkiem bezradny i z wielkim smutkiem. Dwaj młodzi mężczyźni przyprowadzili zwierzę, a potem posadzili starą matkę na jego grzbiecie i poprowadzili do miasta. Syn niósł przy tym latarnię, bo było jeszcze zbyt ciemno, by swobodnie podróżować. Matka, milcząca i osłabła od płaczu, jechała, nie bardzo wiedząc, co się z nią dzieje. Trzymała się jednak mocno osłego grzbietu. Siedziała ze zwieszoną głową i nie podniosła jej nawet, by spojrzeć na wschodzące słońce. Wpatrywała się tylko w jasny pył drogi, ledwo jeszcze widoczny w półmroku. Mężczyźni także milczek. W tych smutnych okolicznościach nie mieli pojęcia, co mogą powiedzieć. Przez pewien czas wędrowali tak wszyscy krętą drogą, aż wreszcie dotarli do południowej bramy miasta, która wciąż jeszcze była zamknięta.



Przed bramą czekało już jednak mnóstwo ludzi, ponieważ po okolicy rozeszły się wieści o egzekucji. Wielu ściągnęło więc tutaj na to widowisko i przyprowadziło ze sobą dzieci. Gdy bramę otwarto, cała ta ciżba wlała się do miasta, a wraz z nią matka na osła i dwaj młodzi mężczyźni. Wszyscy oni skierowali się zaraz ku otwartej przestrzeni w pobliżu miejskich murów. A tam, w świetle wczesnego poranka, stał już ogromny tłum, zbity i milczący, czekając na śmiertelne przedstawienie. Małe dzieci, zdjęte bezmiernym strachem przed nieznanym, czepiały się rodziców, niemowlęta głośno płakały uciszane przez matki, a tłum milczał w zachłannym oczekiwaniu, rozkoszując się myślą o tej okropności, którą spodziewał się zobaczyć, i nienawidząc jej równocześnie.

Ale matka i dwaj młodzi mężczyźni nie pozostali wśród tego tłumu.

- Podejdźmy do wrót więzienia i ustawmy się przy nich - wyszeptała matka, bo w swoim biednym sercu wciąż żywiła nadzieję, że gdy zobaczy syna, nastąpi jakiś cud i znajdzie sposób, by go uratować.

Starszy syn skierował więc osła ku więziennemu murowi, którego szczyt jeżył się od ostrych kawałków tłuczonego szkła. Dotarli do bramy, przy której, przeciągając się, stał strażnik, a obok niego płonęła latarnia.

Umieszczona w niej świeca ociekała roztopionym, czerwonym niby krew łojem. Nagle w pewnej chwili, wraz ze świtem, pojawił się chłodny wiatr i zdmuchnął świecę. Matka zsiadła z osła i cała trójka czekała teraz, stojąc razem na zakurzonej ulicy. Czuwali tak przez jakiś czas, aż wreszcie usłyszeli miarowe kroki wielu maszerujących po kamieniach ludzi. A zaraz potem ktoś krzyknął:

- Otworzyć bramę!

Strażnicy wyprężyli się, każdy z bronią na ramieniu, i brama się otworzyła.

Matka wyteżyła wzrok. Wypatrywała pilnie syna. Jej oczom ukazało się bardzo wielu młodych ludzi. Szli ze skrzepowanymi rękami, powiązani konopnym sznurem w pary, przy czym każda z par związana była z parą idącą przodem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to

sami chłopcy, jednak po chwili dało się wśród nich rozpoznać i dziewczęta. Trudno je było jednak odróżnić, bo włosy miały przystrzyżone krótko, tuż przy skórze. A poza tym wszystkie nosiły męskie ubrania. Jednak każdy, kto przyjrzał się im uważniej, dostrzegał ich drobne piersi i wąskie talie i widział, że to dziewczęta, choć ich twarze miały wyraz takiej dzikości i zaciętej odwagi jak oblicza mężczyzn.

Matka wpatrywała się w idących. Badała wzrokiem każdą twarz po kolei, aż nagle zobaczyła syna. Tak, jej syn tam był! Szedł ze spuszczoną głową, przywiązany za ręce - i to bardzo mocno - do jakiejś dziewczyny.

Matka rzuciła się ku niemu, padła mu do stóp i obejmując je, bardzo głośno zawołała:

- Synu! Mój synu!

A w chwilę potem podniosła wzrok i spojrzała młodzieńcowi w twarz - twarz przeraźkwie bladą, o sinych wargach i oczach bez wyrazu. A on, widząc matkę, pobladł jeszcze bardziej i gdyby nie to, że przywiązano go do dziewczyny, upadłby na ziemię. Dziewczyna pociągnęła go jednak, nie dopuszczając do upadku. Nie pozwoliła mu też stać w miejscu, a widząc u jego stóp starą siwą kobietę, roześmiała się głośno - śmiechem całkiem pozbawionym radości, a przy tym zuchwałym.

- Towarzyszu! - krzyknęła, ciągnąc go za sobą. - Pamiętajcie, że nie macie teraz ni ojca, ni matki, ani nikogo bliskiego! Macie tylko naszą wspólną sprawę!

Zaraz też podbiegł strażnik, podniósł matkę i odepchnął ją na bok, a ona upadła w pył zakurzonej drogi. Tymczasem tłum więźniów

pomaszerował w kierunku południowej bramy i zniknął jej z oczu.

Usłyszała tylko, jak z ust maszerujących buchnęła jakaś dzika pieśń. Tak, wszyscy oni szli na śmierć, śpiewając.

Tymczasem do matki dotarli w końcu dwaj młodzi mężczyźni. Próbowali ją podnieść, lecz ona nie pozwoliła im na to. Leżała przez pewien czas wśród kurzu i pyłu, jęcząc i wsłuchując się w tę dziwną pieśń, oszołomiona i nieświadoma oprócz tej pieśni dosłownie niczego.

Zaraz jednak zbliżył się do niej strażnik pilnujący więziennej bramy. Szturchnął ją brutalnie karabinem i głośno zawołał:

- Precz stąd, ty stara czarownico!

Dwaj młodzi mężczyźni, bardzo tym przestraszeni, zmusili wówczas matkę, by wstała. A potem posadzili ją na osła i ruszyli powoli w drogę powrotną. Zanim jednak dotarli do południowej bramy, zatrzymali się na chwilę przy murach. Czekali.

I doczekali się, bo po paru chwilach w powietrze wzniósł się wielki ryk tłumu. Mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem przenieśli wzrok na starą matkę. Ona jednak - jeżeli nawet słyszała ten ryk i domyśliła się, co zaszło - nie dała tego po sobie poznać. Siedziała zgarbiona na osle, wpatrując się w pył pod jego kopytami.

Następnie wszyscy troje ruszyli dalej. W pewnej chwili napotkali tłum, który się już rozchodził, ale jeszcze od czasu do czasu wznosił okrzyki. Dwaj mężczyźni milczeli, a stara matka wyglądała tak, jakby nic nie słyszała. Nagle ktoś z tłumu zawołał:

- Zginęli radosną śmiercią! I pełni odwagi! Czy widzieliście tę dzielną dziewczynę, która do końca śpiewała? Przysięgłbym, że jej głowa, nawet tocząc się po ziemi, wciąż śpiewa.

- A widzieliście - dodał ktoś inny - widzieliście tego chłopaka, którego krew trysnęła na nogi kata, sprawiając, że ten zaklął?

Niektórzy ludzie z tłumu się śmiali. Jedni mieli twarze czerwone, inni blade, a gdy matka wraz z młodymi mężczyznami zbliżyła się do miejskiej bramy, minęła młodzieńca o twarzy białej jak glina, który oparłszy się o mur, wymiotował.

Być może słyszała i widziała to wszystko. Być może. Nie odzywała się jednak ani słowem. Zdawała sobie sprawę, że jej syn już nie żyje. Tak, jej syn był martwy i ani srebro, ani cokolwiek innego nie mogło na to nic poradzić. Nie pomogłoby też obwinianie kogokolwiek, nawet gdyby była w stanie obwiniać. Matka miała teraz jedno jedyne pragnienie - chciała wrócić do domu, odszukać tamten stary grób i zapłakać. Stwierdziła też z goryczą, że - inaczej niż inne kobiety - nie ma

nawet własnego grobu swoich zmarłych, na którym może to zrobić. Nie, ona chcąc ulżyć sercu, musi iść na jakiś stary grób nieznaney osoby. Potem jednak i to przestało sprawiać jej ból i pragnęła już tylko wypłakać się i doznać ulgi.

Gdy dotarli wreszcie przed drzwi chaty, zsiadła z osła i zwróciła się do starszego syna.

- Zaprowadź mnie poza wioskę - poprosiła. - Muszę trochę popłakać.

Słyszając te słowa z ust matki, żona kuzyna pokręciła tylko głową i otarła łzy rękawem.

- Tak - powiedziała - niech ta biedaczka sobie popłacze. Płacz przynosi ulgę...

Więc syn, milcząc, zaprowadził matkę na grób, gdzie wymościł jej do siedzenia miejsce w trawie. Matka usiadła, oparła głowę o mogiłę i spojrzała na niego zbolalym wzrokiem.

- Odejdź - poprosiła - i zostaw mnie samą, żebym się mogła wypłakać.

Gdy syn się zawahał, wpadła w gniew.

- Zostaw mnie! - zawołała. - Bo jeżeli się zaraz nie wypłaczę, to po prostu umrę!

- Dobrze matko, zaraz sobie pójdę... - odrzekł syn. - Ale niedługo po ciebie wrócę - dodał, bo wprost nienawistna była mu myśl, że ma ją tu zostawić.

Matka została więc sama. Siedziała i patrzyła przed siebie pośród spokoju tego dnia, który stawał się coraz jaśniejszy. Patrzyła na słońce ozłacające pola, tak całkiem zwyczajnie, jakby tego dnia nikt nie umarł. Patrzyła na pola, z których zebrano już plony, na żółcące się ziarno i na równie jak ono żółty blask, który spływał z nieba na ziemię. Siedziała i czekała, pragnąc, żeby smutek wezbrał wreszcie łzami, które płynąc z oczu, przyniosą ulgę jej złamanemu sercu. Myślała

o całym swoim życiu, o wszystkich swoich zmarłych i o tym, że przez wszystkie te lata tak bardzo mało doznała dobrego. I jej smutek wezbrał. Pozwoliła mu na to, nie walcząc już dłużej i nie czując złości. Przyjęła go w siebie w całej pełni. I zdruzgotana, dała mu się przytłoczyć do ziemi. Tak, tak, poczuła, że smutek ją wypełnia i przyjęła go w siebie bez protestu.

- Czy to jest odkupienie? Czyż nie zostałam wreszcie należycie ukarana? Tak pomyślała, a z jej oczu polały się łzy. I płynęły wielkim strumieniem. Matka oparła swoją starą głowę o mogiłę, skłoniła twarz między chwasty i płakała.

Płakała w ten jasny poranek bardzo, bardzo długo. Wspominała każdy doznany smutek - i mały, i wielki. Przypomniła sobie, jak mąż pokłócił się z nią i odszedł. A także to, że nie ma już małej dziewczynki, która przyjdzie i zawołają do domu. A w końcu oczyma wyobraźni zobaczyła młodszego syna, jak szedł przywiązany do tamtej dziewczyny. I płakała nad całym swoim życiem.

Gdy tak siedziała, płacząc, nadbiegł nagle jej starszy syn. Tak, tak, młody człowiek biegł przez zalane słońcem pola, machał ręką i coś do niej wołał. Jednak matka, pogrążona w smutku, z początku go nie usłyszała.

Podniosła więc głowę, nadstawiając ucha.

- Matko, matko! - dobiegł ją jego głos. - Przyszedł na świat mój syn...

Urodził się wasz wnuk, matko!

Te słowa staruszka usłyszała bardzo wyraźnie. I nawet nie zauważyła, jak łzy przestały jej płynąć. Wstała i chwiejąc się, ruszyła w stronę syna.

- Kiedy... Kiedy? - zawołała głośno.

- Teraz, przed chwilą - odkrzyknął syn ze śmiechem. - W tym właśnie momencie... To syn... W życiu nie widziałem większego noworodka! A jak ryczy! Ryczy niczym duże dziecko, urodzone przed rokiem albo dwoma. Przysięgam, matko!

Matka, na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem, położyła synowi dłoń na ramieniu. A potem, wspierając się na nim, pospieszyła do domu na swych starczych, słabych nogach, całkiem zapomniawszy o sobie.

Gdy tam dotarli, weszli oboje do izby, w której leżała położnica. W środku pełno już było wiejskich kobiet, które przybiegły, by usłyszeć nowinę. Znajdowała się między nimi nawet plotkarka - najstarsza teraz gospodyni w wiosce, głucha i zgięta we dwoje. I ta, widząc matkę, zatrajkotała:

- Szczęśliwa z ciebie kobieta, gosposiu! Myślałam, że przyszedł już koniec twojego szczęścia,\* a tymczasem znowu narodziło się dziecko, syn twojego syna... Podczas gdy mnie nie zostało za moje cierpienia nic oprócz tego mojego starego ciała.

Matka nie odezwała się na to ani słowem. Nie dostrzegła też wokół siebie nikogo. Weszła do izby, zbkżyła się do łóżka i spojrzała. I zobaczyła dziecko. Chłopca. Chłopiec leżał i ryczał tak głośno, jak mówił jego ojciec. Usta rozwierał szeroko, a ciało miał krzepkie. Stara matka pochyliła się, porwała go w ramiona i przycisnęła do siebie to niemowlę - tak gorące i silne. I tak pełne nowego życia.

Obejrzała następnie wnuka dokładnie - od stóp do głów. A potem zaśmiała się i obejrzała go znowu. W końcu rozejrzała się po izbie za żoną kuzyna. Kobieta była tu - z dwojgiem wnucząt, które, ciekawe jak wszyscy, przybiegły zobaczyć, co się dzieje. Stara matka uniosła w górę maleństwo, pokazując je kuzynce i zapominając o tym, że w izbie jest pełno ludzi. A potem z zapuchniętymi od płaczu oczyma, a jednak roześmiana, zawołała głośno:

- Widzisz, kuzynko! Chyba nie byłam tak grzeszna, jak myślałam! Kuzynko, patrz, oto mój wnuk! Patrz na mojego wnuka!



„Twarz matki nie była piękna, świadczyła jednak o jej namiętej naturze i dobroci. Można by powiedzieć: ot kobieta porywcza, która jest jednak serdeczną żoną Taka była matka, zanim miejskie rozrywki i przyjemności wywabily jej męża z domu. Zanim została sama, zmuszona radzić sobie z trudami codziennego życia, ze ślepotą córki i faktem, że syn dostał się w sidła nowej, niebezpiecznej ideologii...

Wspaniała powieść psychologiczna, która jak w krzywym zwierciadle ukazuje odwieczny dramat samotnej matki.

i  
1

PEARL BUCK (1892 -1973),  
z domu Sydenstricker, urodziła się w Wirginii Zachodniej i jako dziecko wyjechała z rodzicami, misjonarzami Kościoła prezbiteriańskiego, do Chin. Dziewczynka poznawała język chiński równoległe z angielskim. Spędziła tam wiele lat. Na studia wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Wróciła do Chin, by wykładać literaturę angielską na tamtejszych uczelniach. W roku 1932 musiała opuścić ogarniętą rewolucją Chin.

Napisała osiemdziesiąt pięć książek. Zdobyła Nagrodę Pulltzera, a w 1938 roku Nagrodę Nobla.

[www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)